Dziś

Próbny egzamin gimnazjalny z Operonem
Część matematyczno-przyrodnicza z odpowiedziami – s. 26-29

2,90 zł

CZWARTEK
12 GRUDNIA 2013
redaktor prowadzący
WŁODZIMIERZ NOWAK

NR 289. 8018 nakład 234 tys. 2
wydaje Agora SA,
numer indeksu

Dołącz do nas na
facebook.com/wyborcza

Nam nie jest wszystko jedno

gazeta WYBORCZA.PL

REKLAMA

TANIE LATANIE

Nasza dziennikarka na tanich biletach lotniczych zaoszczędziła 50 tys. zł – s. 20

KONSOLE POD CHOINKĄ

Która jest lepsza i w czym? Jakie są ukryte koszty – s. 22

INTERWENIUJEMY I POMAGAMY

Rozwiązujemy problemy czytelników z bankami i kablówką – s. 24

ILE OSÓB POTRZEBA, BY PRZEŻYĆ

W hordzie pierwotnej znaliśmy 150-300 osób. A teraz?

GONIĄC GESSLERA

Warszawski urzędnik od dwóch lat tropi celebrytę, by odzyskać dług

MAJDAN CZEKA I ŚPIEWA

– W ciągu 24 godzin coś powinno być zrobione, by rozwiązać kryzys na Ukrainie – zapewnił wczoraj szefową unijnej dyplomacji prezydent Janukowycz. Sam nagle wezwał opozycję do rozmów. Opozycja postawiła warunki. A Majdan odbudował barykady po nocnym ataku milicji. Co noc piosenkarka Ruslana Łyżyczko (na zdjęciu) **znana z pomarańczowej rewolucji rozmawia z tłumem ze sceny Majdanu i co godzinę intonuje hymn Ukrainy.**

O sytuacji na Ukrainie – s. 2 i 9 oraz w „Dużym Formacie"

Rząd chce ratować „upadłych" kredytobiorców

BĘDZIE ŻYCIE PO KREDYCIE

Marek Wielgo

Tysiące rodzin w Polsce żyje w strachu, że mogą stracić dom, mieszkanie i zostać do końca życia z potężnym długiem wobec banku. Rząd zaproponuje ustawę, która umożliwi wyjście z tej matni.

W trudnej sytuacji są zwłaszcza ci, którzy wzięli kredyt mieszkaniowy we frankach szwajcarskich w 2008 r. Wtedy nieruchomości osiągnęły cenowy szczyt, a kurs franka spadł do najniższego poziomu (ok. 2 zł). Kiedy wybuchł kryzys finansowy, złoty i nieruchomości zaczęły tracić na wartości. Efekt? Kredytobiorcy frankowi mają teraz więcej do spłaty, niż gdy zaciągali kredyt. Ba, zadłużenie może przewyższać wartość mieszkania lub domu.

Mecenas Paweł Kuglarz z kancelarii Wolf Theiss przyznaje, że jeśli taki kredytobiorca popadnie w tarapaty finansowe, nie tylko traci nieruchomość, lecz także może zostać do końca życia z długiem. W przypadku kredytu na 200 tys. zł zaciągniętego na początku 2008 r. tylko z powodu wzrostu kursu franka trzeba oddać bankowi dodatkowe 83 tys. zł! A jeśli za mieszkanie można dziś wziąć o 10-15 proc. mniej, to po jego zlicytowaniu przez komornika pechowy kredytobiorca zostanie z ponad 100 tys. zł długu.

Banki nie ujawniają, ilu mają takich klientów. Szacuje się jednak, że „pod wodą" może być nawet 150-200 tys. osób, które wzięły kredyty we frankach, mając niewielki wkład własny. A zdarzało się, że banki udzielały kredytu nawet na 120 proc. wartości nieruchomości.

Tomasz Sadlik, który wspólnie z 30 osobami złożył właśnie w krakowskim sądzie wniosek o rejestrację Stowarzyszenia na rzecz Obrony Praw Konsumenta i Obywatela „Pro Futuris", twierdzi, że kredytobiorcy nie byli rzetelnie informowani o ryzyku kredytu frankowego. Np. Sadlika zapewniono, że ryzykuje jedynie utratę kredytowanej nieruchomości. Tak jest w USA, gdzie w 2012 r. banki zabrały niewypłacalnym kredytobiorcom blisko 700 tys. nieruchomości. Sadlik i jego żona, mimo utraty nieruchomości, wciąż mają komornika na karku.

Wprawdzie od marca 2009 r. Polacy – podobnie jak w innych krajach UE – mogą starać się o oddłużenie w ramach tzw. upadłości konsumenckiej, ale do tej pory udało się to zaledwie 70 osobom. Dla porównania w Niemczech – ponad 100 tys. rocznie. U nas przeszkodą są nieżyciowe procedury oraz wysokie koszty związane np. z publikacją stosownych ogłoszeń. Jest jednak szansa, że to się zmieni. Ministerstwo Sprawiedliwości zakończyło właśnie prace nad projektem założeń ustawy Prawo restrukturyzacyjne, dzięki której sądy będą mogły o wiele częściej oddłużać konsumentów, w tym kredytobiorców. Maciej Gerromin z resortu sprawiedliwości nie wyklucza, że już w styczniu projekt założeń przyjmie rząd. Jednak najpewniej kolejnych kilka miesięcy zajmie mu przygotowanie projektu ustawy.

Nawet 200 tys. osób, które wzięły kredyt we frankach, może być zagrożonych utratą mieszkania lub domu

Zdaniem mec. Kuglarza jest to dobra wiadomość dla kredytobiorców, których zadłużenie wobec banku przewyższa wartość mieszkania lub domu. Wprawdzie upadłość konsumencka oznaczałaby utratę nieruchomości, ale syndyk po jej zlicytowaniu wypłaciłby „upadłemu" część uzyskanych w ten sposób pieniędzy na najem mieszkania przez dwa lata. Pozostałe pieniądze syndyk zwróciłby wierzycielom bądź jednemu wierzycielowi, np. bankowi.

Warunkiem oddłużenia byłoby rzetelne realizowanie przez kolejne trzy lata tzw. planu spłaty wyznaczanego przez sąd. „Upadły" konsument musiałby przeznaczać część zarobków na spłatę wierzycieli (np. banku). Oczywiście dłużnik, w naszym przypadku kredytobiorca, nie pozostanie bez grosza. Będzie się jednak musiał liczyć z tym, że sąd i syndyk skontrolują jego wydatki. A gdyby kredytobiorca nie mógł pracować, np. na skutek choroby? – Sąd od razu mógłby umorzyć jego zobowiązania, nawet wobec banku – wyjaśnia Geromin. Ale zastrzega, że decyzje o każdym oddłużeniu będą podejmowane przez sądy indywidualnie, po dokładnym sprawdzeniu m.in. rzetelności kredytobiorcy (np. tego, czy nie zaciągnął kredytu, zakładając, że go nie spłaci). ●

Pomysły Ministerstwa Sportu

Sztuczny zbiornik na Kasprowym?

Szykuje się niezła awantura. Ministerstwo Sportu ma pomysł na budowę sztucznego zbiornika w rejonie Kasprowego Wierchu. Woda z niego ma być wykorzystywana do produkcji sztucznego śniegu. Wszystko dla narciarzy. Zdecydowanie nie chce tego szefostwo Tatrzańskiego Parku Narodowego. I organizacje ekologiczne. ●

Szczegóły – s. 3

Naukowa draka o płeć mózgu

Ona z Wenus, on z Marsa?

Różnice w budowie mózgu męskiego i kobiecego nie są większe niż w budowie mózgów dowolnych ludzi. Jednak wiele poważnych gazet na stronach naukowych opublikowało badania, które miały dowodzić, że kobiety są z Wenus, a mężczyźni z Marsa. – Interpretacja wyników badań jest wulgarnie uproszczona – komentuje neurobiolog prof. Małgorzata Kossut z PAN – s. 14

Sześciolatki

Maluchy w szkole bez lekcji

Jak nowa minister edukacji Joanna Kluzik-Rostkowska zmienia szkołę dla sześciolatków? Nie będzie 45-minutowych lekcji, będzie zabawa. W szkole więcej ruchu i więcej pracowników do opieki nad maluchami. Kluzik-Rostkowska do Elbanowskich: – Mogę rozmawiać o tym, jak poprawić szkołę. Na dyskusje pod hasłem „ta reforma się nie uda" szkoda mi czasu – s. 4

Dziś **Próbny egzamin gimnazjalny z Operonem**

Część matematyczno-przyrodnicza z odpowiedziami – **s. 26-29**

2,90 zł

CZWARTEK
12 GRUDNIA 2013
redaktor prowadzący
WŁODZIMIERZ NOWAK

NR 289. 8018 nakład 234 tys. **2**
wydaje Agora SA,
numer indeksu

Dołącz do nas na
facebook.com/wyborcza

Nam nie jest wszystko jedno

gazeta WYBORCZA.PL

REKLAMA

TANIE LATANIE

Nasza dziennikarka na tanich biletach lotniczych zaoszczędziła 50 tys. zł – **s. 20**

KONSOLE POD CHOINKĄ

Która jest lepsza i w czym? Jakie są ukryte koszty – **s. 22**

INTERWENIUJEMY I POMAGAMY

Rozwiązujemy problemy czytelników z bankami i kablówką – **s. 24**

ILE OSÓB POTRZEBA, BY PRZEŻYĆ

W hordzie pierwotnej znaliśmy 150-300 osób. A teraz?

GONIĄC GESSLERA

Warszawski urzędnik od dwóch lat tropi

MAJDAN CZEKA I ŚPIEWA

– W ciągu 24 godzin coś powinno być zrobione, by rozwiązać kryzys na Ukrainie – zapewnił wczoraj szefową unijnej dyplomacji prezydent Janukowycz. Sam nagle wezwał opozycję do rozmów. Opozycja postawiła warunki. A Majdan odbudował barykady po nocnym ataku milicji. Co noc piosenkarka Ruslana Łyżyczko (na zdjęciu) **znana z pomarańczowej rewolucji rozmawia z tłumem ze sceny Majdanu i co godzinę intonuje hymn Ukrainy.**

O sytuacji na Ukrainie – **s. 2** i **9** oraz w „**Dużym Formacie**"

Rząd chce ratować „upadłych" kredytobiorców

BĘDZIE ŻYCIE PO KREDYCIE

Marek Wielgo

Tysiące rodzin w Polsce żyje w strachu, że mogą stracić dom, mieszkanie i zostać do końca życia z potężnym długiem wobec banku. Rząd zaproponuje ustawę, która umożliwi wyjście z tej matni.

W trudnej sytuacji są zwłaszcza ci, którzy wzięli kredyt mieszkaniowy we frankach szwajcarskich w 2008 r. Wtedy nieruchomości osiągnęły cenowy szczyt, a kurs franka spadł do najniższego poziomu (ok. 2 zł). Kiedy wybuchł kryzys finansowy, złoty i nieruchomości zaczęły tracić na wartości. Efekt? Kredytobiorcy frankowi mają teraz więcej do spłaty, niż gdy zaciągali kredyt. Ba, zadłużenie może przewyższać wartość mieszkania lub domu.

Mecenas Paweł Kuglarz z kancelarii Wolf Theiss przyznaje, że jeśli taki kredytobiorca popadnie w tarapaty finansowe, nie tylko traci nieruchomość, lecz także może zostać do końca życia z długiem. W przypadku kredytu na 200 tys. zł zaciągniętego na początku 2008 r. tylko z powodu wzrostu kursu franka trzeba oddać bankowi dodatkowe 83 tys. zł! A jeśli za mieszkanie można dziś wziąć o 10-15 proc. mniej, to po jego zlicytowaniu przez komornika pechowy kredytobiorca zostanie z ponad 100 tys. zł długu.

Banki nie ujawniają, ilu mają takich klientów. Szacuje się jednak, że „pod wodą" może być nawet 150-200 tys. osób, które wzięły kredyty we frankach, mając niewielki wkład własny. A zdarzało się, że banki udzielały kredytu nawet na 120 proc. wartości nieruchomości.

Tomasz Sadlik, który wspólnie z 30 osobami złożył właśnie w krakowskim sądzie wniosek o rejestrację Stowarzyszenia na rzecz Obrony Praw Konsumenta i Obywatela „Pro Futuris", twierdzi, że kredytobiorcy nie byli rzetelnie informowani o ryzyku kredytu frankowego. Np. Sadlika zapewniono, że ryzykuje jedynie utratę kredytowanej nieruchomości. Tak jest w USA, gdzie w 2012 r. banki zabrały niewypłacalnym kredytobiorcom blisko 700 tys. nieruchomości. Sadlik i jego żona, mimo utraty nieruchomości, wciąż mają komornika na karku.

Wprawdzie od marca 2009 r. Polacy – podobnie jak w innych krajach UE – mogą starać się o oddłużenie w ramach tzw. upadłości konsumenckiej, ale do tej pory udało się to zaledwie 70 osobom. Dla porównania w Niemczech – ponad 100 tys. rocznie. U nas przeszkodą są nieżyciowe procedury oraz wysokie koszty związane np. z publikacją stosownych ogłoszeń. Jest jednak szansa, że to się zmieni. Ministerstwo Sprawiedliwości zakończyło właśnie prace nad projektem założeń ustawy Prawo restrukturyzacyjne, dzięki której sądy będą mogły o wiele częściej oddłużać konsumentów, w tym kredytobiorców. Maciej Geromin z resortu sprawiedliwości nie wyklucza, że już w styczniu projekt założeń przyjmie rząd. Jednak najpewniej kolejnych kilka miesięcy zajmie nam przygotowanie projektu ustawy.

Nawet 200 tys. osób, które wzięły kredyt we frankach, może być zagrożonych utratą mieszkania lub domu

Zdaniem mec. Kuglarza jest to dobra wiadomość dla kredytobiorców, których zadłużenie wobec banku przewyższa wartość mieszkania lub domu. Wprawdzie upadłość konsumencka oznaczałaby utratę nieruchomości, ale syndyk po jej zlicytowaniu wypłaciłby „upadłemu" część uzyskanych w ten sposób pieniędzy na najem mieszkania przez dwa lata. Pozostałe pieniądze syndyk zwróciłby wierzycielom bądź jednemu wierzycielowi, np. bankowi.

Warunkiem oddłużenia byłoby rzetelne realizowanie przez kolejne trzy lata tzw. planu spłaty wyznaczanego przez sąd. „Upadły" konsument musiałby przeznaczać część zarobków na spłatę wierzycieli (np. banku). Oczywiście dłużnik, w naszym przypadku kredytobiorca, nie pozostanie bez grosza. Będzie się jednak musiał liczyć z tym, że sąd i syndyk skontrolują jego wydatki. A gdyby kredytobiorca nie mógł pracować, np. na skutek choroby? – Sąd od razu mógłby umorzyć jego zobowiązania, nawet wobec banku – wyjaśnia Geromin. Ale zastrzega, że decyzje o każdym oddłużeniu będą podejmowane przez sądy indywidualnie, po dokładnym sprawdzeniu m.in. rzetelności kredytobiorcy (np. tego, czy nie zaciągnął kredytu, zakładając, że go nie spłaci). ●

Pomysły Ministerstwa Sportu

Sztuczny zbiornik na Kasprowym?

Szykuje się niezła awantura. Ministerstwo Sportu ma pomysł na budowę sztucznego zbiornika w rejonie Kasprowego Wierchu. Woda z niego ma być wykorzystywana do produkcji sztucznego śniegu. Wszystko dla narciarzy. Zdecydowanie nie chce tego szefostwo Tatrzańskiego Parku Naro-

Naukowa draka o płeć mózgu

Ona z Wenus, on z Marsa?

Różnice w budowie mózgu męskiego i kobiecego nie są większe niż w budowie mózgów dowolnych ludzi. Jednak wiele poważnych gazet na stronach naukowych opublikowało badania, które miały dowodzić, że kobiety są z Wenus, a mężczyźni z Marsa. – Interpretacja wyników badań jest wulgarnie uprosz-

Sześciolatki

Maluchy w szkole bez lekcji

Jak nowa minister edukacji Joanna Kluzik-Rostkowska zmienia szkołę dla sześciolatków? Nie będzie 45-minutowych lekcji, będzie zabawa. W szkole więcej ruchu i więcej pracowników do opieki nad maluchami. Kluzik-Rostkowska do Elbanowskich: - Mogę rozmawiać o tym, jak poprawić szkołę. Na dyskusje pod

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SPIS TREŚCI

JEDYNKA

- BĘDZIE ŻYCIE PO KREDYCIE

Z DRUGIEJ STRONY

- DOPÓKI NIE POLAŁA SIĘ KREW
- NIEFORTUNNY POMYSŁ JAROSŁAWA GOWINA
- PRAWICOLEWICA POWIE CI, JAK ŻYĆ

KRAJ

- ZRÓBMY STAW NA KASPROWYM
- KONIEC PROCESU W SPRAWIE STERYLIZACJI WIOLETTY SZWAK
- SZEŚCIOLATKI W SZKOLE BEZ LEKCJI. I BEZ STRESU
- NOWA AWANTURA O SZCZĄTKI ANNY WALENTYNOWICZ
- DETEKTYW RUTKOWSKI SKAZANY NA 1,5 ROKU WIĘZIENIA
- PO Z PSL + 4
- WYJAŚNIENIE
- ŻEBY KARA BYŁA KARĄ, A PÓŁ POLSKI NIE SIEDZIAŁO
- SOJUSZ TEŻ IDZIE PO WŁADZĘ
- ATAK PAWŁOWICZ NA KULT MARYJNY

OPINIE

- NIE MA CO TUPAĆ NOGAMI
- DYSKUSJE NAUKOWE I NIENAUKOWE

ŚWIAT

- GRY WOJENNE W KIJOWIE
- NIECH EUROPA ZNIESIE WIZY DLA UKRAIŃCÓW
- NIEMIECKIE SZPITALE DOSTAŁY ZADYSZKI
- URUGWAJ LEGALIZUJE MARIHUANĘ
- WŁADZA KAŻE OBCIĄĆ CENY
- USA NA TOTALNYM PODSŁUCHU

KULTURA

- DOBRE KINO POD CHOINKĘ
- MIKOŁAJ Z KSIĄŻKAMI ŻEGLARZA I ŻONGLERA
- SERDECZNY W CUDZYSŁOWIE. MOLESTOWANY – BEZ

NAUKA

- NEUROSEKSIZM UCZONYCH, CZYLI DRAKA O PŁEĆ MÓZGU
- LEKI NA ZGAGĘ MOGĄ POWODOWAĆ NIEDOBÓR WITAMINY B12

GOSPODARKA

- AUTOSTRADY NA GWIAZDKĘ
- ROZCZAROWUJĄCY DEBIUT ENERGI NA WARSZAWSKIM PARKIECIE
- LOT NIE CHCE KROPLÓWKI. NA RAZIE
- WŁOSI BĘDĄ PRZEKONYWAĆ POLAKÓW, ŻE ICH PRALKI SĄ DOBRE, BO... POLSKIE
- BUNT SENIORÓW
- OFE W RĘKACH PREZYDENTA

PIENIĄDZE EKSTRA

- CZASEM POTRZEBUJĘ TANIO POLATAĆ
- KONSOLE WALCZĄ O NASZĄ CHOINKĘ
- POJEDYNEK PS4 Z XBOX ONE
- DŁUGI W SPADKU? WIEM, JAK ICH UNIKNĄĆ
- PRZED GWIAZDKĄ WARTO ZGUBIĆ KARTĘ?
- BANK NIE CHCE FRANKA, KLIENCI NA LODZIE
- JAK NIE PRZEJECHAĆ SIĘ NA MIODZIE?
- Z PLASTIKIEM PRZEZ SIEĆ

SPORT

- WSZYSCY BOHATEROWIE LIGI MISTRZÓW
- ANGLII PROBLEM Z RACAMI

- CZY TO JEST SPORT DLA STARYCH LUDZI?
- NUMERY LOTTO

GAZETA STOŁECZNA

- SQUAT SIĘ BRONI
- POWSTAJE LODOWISKO NA STARÓWCE
- NIE CHCEMY TEATRALNEJ HYBRYDY
- JESTEM WŚCIEKŁA NA BURMISTRZA WILANOWA
- STOŁECZNA OPINIA PUBLICZNA
- OCHÓDZKI NA PROWIZORCE
- PRZYPOMINANIE ROCZNICY 13 GRUDNIA
- ZNÓW NIE PRZYSZEDŁ DO SĄDU. TWIERDZI, ŻE MA CZTERY NERKI
- GALERIA SZTUKI ŚREDNIOWIECZNEJ ZNÓW ZAPRASZA
- ZAPROSZENIE
- ARTYŚCI ALARMUJĄ W SPRAWIE CENTRUM SZTUKI
- Z SZACUNKIEM POCHOWAJĄ SZCZĄTKI LUDZKIE
- ZOBACZ, JAK INNI ŚWIĘTUJĄ
- PRO HELVETIA SIĘ WYPROWADZA
- JUBILEUSZ EWY WIŚNIEWSKIEJ
- ZAPROSZENIA
- IRENA ORŁOWSKA
- TERESA CHMIELEWSKA
- JAN RADLICKI
- ŚMIAĆ SIĘ CZY PŁAKAĆ?
- ANTOLOVIĆ ODCHODZI Z LEGII
- ROZWIJAJĄ PAMIĘĆ, UCZĄ WYTRWAŁOŚCI
- WARSZAWA.SPORT.PL

DUŻY FORMAT

- KLUCZ DO POLSKOŚCI?
- 10%
- CZY ŚLĄZACY SĄ NARODEM?
- UCIECZKA Z GOTHAM, CZYLI PIOSENKI O PRAWDZIWEJ MIŁOŚCI
- POLSKA, EGIPT, UKRAINA, CZYLI ROZWAŻANIA REALISTYCZNEGO MALKONTENTA
- UKRAIŃCEM NIE JESTEM. TYLKO OBYWATELEM
- GONIĄC GESSLERA
- RZECZY, KTÓRE ZNACZĄ
- ILE OSÓB NAM POTRZEBA, ŻEBY PRZEŻYĆ
- PODGLĄDACZ TO WŁAŚNIE JA!
- FILIPIŃSKA GOSPOSIA W TWOIM DOMU
- LISTY
- JAK PRZYWRÓCIĆ DŹWIĘK?
- SAM NA SAM Z MANEKINEM
- NAJLEPSZE BRYKI SĄ Z GOSTYNIA
- WOLĘ ŻEŃ-SZEŃ NIŻ TATARAK
- PRAWO BOGATYCH DO ROBIENIA SMOGU
- Z ZIEMI ŚWIĘTEJ

RZĄD CHCE RATOWAĆ „UPADŁYCH" KREDYTOBIORCÓW

BĘDZIE ŻYCIE PO KREDYCIE

MAREK WIELGO

Tysiące rodzin w Polsce żyje w strachu, że mogą stracić dom, mieszkanie i zostać do końca życia z potężnym długiem wobec banku. Rząd zaproponuje ustawę, która umożliwi wyjście z tej matni.

W trudnej sytuacji są zwłaszcza ci, którzy wzięli kredyt mieszkaniowy we frankach szwajcarskich w 2008 r. Wtedy nieruchomości osiągnęły cenowy szczyt, a kurs franka spadł do najniższego poziomu (ok. 2 zł). Kiedy wybuchł kryzys finansowy, złoty i nieruchomości zaczęły tracić na wartości. Efekt? Kredytobiorcy frankowi mają teraz więcej do spłaty, niż gdy zaciągali kredyt. Ba, zadłużenie może przewyższać wartość mieszkania lub domu.

Mecenas Paweł Kuglarz z kancelarii Wolf Theiss przyznaje, że jeśli taki kredytobiorca popadnie w tarapaty finansowe, nie tylko traci nieruchomość, lecz także może zostać do końca życia z długiem. W przypadku kredytu na 200 tys. zł zaciągniętego na początku 2008 r. tylko z powodu wzrostu kursu franka trzeba oddać bankowi dodatkowe 83 tys. zł! A jeśli za mieszkanie można dziś wziąć o 10-15 proc. mniej, to po jego zlicytowaniu przez komornika pechowy kredytobiorca zostanie z ponad 100 tys. zł długu.

Banki nie ujawniają, ilu mają takich klientów. Szacuje się jednak, że „pod wodą" może być nawet 150-200 tys. osób, które wzięły kredyty we frankach, mając niewielki wkład własny. A zdarzało się, że banki udzielały kredytu nawet na 120 proc. wartości nieruchomości.

Tomasz Sadlik, który wspólnie z 30 osobami złożył właśnie w krakowskim sądzie wniosek o rejestrację Stowarzyszenia na rzecz Obrony Praw Konsumenta i Obywatela „Pro Futuris", twierdzi, że kredytobiorcy nie byli rzetelnie informowani o ryzyku kredytu frankowego. Np. Sadlika zapewniono, że ryzykuje jedynie utratę kredytowanej nieruchomości. Tak jest w USA, gdzie w 2012 r. banki zabrały niewypłacalnym kredytobiorcom blisko 700 tys. nieruchomości. Sadlik i jego żona, mimo utraty nieruchomości, wciąż mają komornika na karku.

Wprawdzie od marca 2009 r. Polacy – podobnie jak w innych krajach UE – mogą starać się o oddłużenie w ramach tzw. upadłości konsumenckiej, ale do tej pory udało się to zaledwie 70 osobom. Dla porównania w Niemczech – ponad 100 tys. rocznie. U nas przeszkodą są nieżyciowe procedury oraz wysokie koszty związane np. z publikacją stosownych ogłoszeń. Jest jednak szansa, że to się zmieni. Ministerstwo Sprawiedliwości zakończyło właśnie prace nad projektem założeń ustawy Prawo restrukturyzacyjne, dzięki której sądy będą mogły o wiele częściej oddłużać konsumentów, w tym kredytobiorców. Maciej Geromin z resortu sprawiedliwości nie wyklucza, że już w styczniu projekt założeń przyjmie rząd. Jednak najpewniej kolejnych kilka miesięcy zajmie mu przygotowanie projektu ustawy.

Zdaniem mec. Kuglarza jest to dobra wiadomość dla kredytobiorców, których zadłużenie wobec banku przewyższa wartość mieszkania lub domu. Wprawdzie upadłość konsumencka oznaczałaby utratę nieruchomości, ale syndyk po jej zlicytowaniu wypłaciłby „upadłemu" część uzyskanych w ten sposób pieniędzy na najem mieszkania przez dwa lata. Pozostałe pieniądze syndyk zwróciłby wierzycielom bądź jednemu wierzycielowi, np. bankowi.

Warunkiem oddłużenia byłoby rzetelne realizowanie przez kolejne trzy lata tzw. planu spłaty wyznaczanego przez sąd. „Upadły" konsument musiałby przeznaczać część zarobków na spłatę wierzycieli (np. banku). Oczywiście dłużnik, w naszym przypadku

kredytobiorca, nie pozostanie bez grosza. Będzie się jednak musiał liczyć z tym, że sąd i syndyk skontrolują jego wydatki. A gdyby kredytobiorca nie mógł pracować, np. na skutek choroby? – Sąd od razu mógłby umorzyć jego zobowiązania, nawet wobec banku – wyjaśnia Geromin. Ale zastrzega, że decyzje o każdym oddłużeniu będą podejmowane przez sądy indywidualnie, po dokładnym sprawdzeniu m.in. rzetelności kredytobiorcy (np. tego, czy nie zaciągnął kredytu, zakładając, że go nie spłaci).

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

DZIŚ SERCE EUROPY BIJE W KIJOWIE

DOPÓKI NIE POLAŁA SIĘ KREW

MIROSŁAW CZECH (GAZETA WYBORCZA)

„Udrożniając" ulice przylegające do Majdanu Niepodległości, usuwając barykady i demonstrantów, Wiktor Janukowycz potwierdził opinię, że od początku chodziło mu o dobicie targu z Władimirem Putinem. W sprawie nowych zasad współpracy gospodarczej, których „rodzina" Janukowycza ma być głównym beneficjentem. UE i USA służą zaś jako straszak na Putina, że ukraiński prezydent może skierować się na Zachód.

Umowy rosyjsko-ukraińskie mają być podpisane 17 grudnia. Do tego czasu, zgodnie z warunkami Putina, Janukowycz musi pokazać, że „zaprowadził porządek" na Ukrainie. Stąd nocna akcja oddziałów Berkutu. Jednak bez użycia pałek, wielkich ilości gazu łzawiącego i szturmu na scenę na Majdanie. I z minimalną liczbą zatrzymanych (większość zresztą zwolniono) i pobitych.

Milicja starała się, żeby nie było ofiar śmiertelnych. Rozlew krwi oznaczałby sankcje Zachodu i rozmowy z Putinem na kolanach. Dla rządzących proeuropejska część społeczeństwa to ani partner, ani nawet wróg, tylko karta przetargowa i zakładnik w grze, którą Janukowycz toczy o utrzymanie władzy.

Oferta Putina dla Janukowycza musi być ponętna, bo ceną za nią ma być nie tylko rezygnacja ze zbliżenia Ukrainy z UE (i w perspektywie przyłączenie do unii celnej z Rosją), lecz także upokarzanie Unii i Waszyngtonu. „Oczyszczanie ulic" nastąpiło w czasie obecności Catherine Ashton, szefowej unijnej dyplomacji, i Victorii Nuland, zastępczyni sekretarza stanu USA, po przekonywaniu Janukowycza, by usiadł do rozmów z opozycją.

Ukraińska władza postąpiła jak wasal, który w lot pojmuje życzenia suwerena i znajduje sposób, żeby sprawić mu przyjemność.

Bruksela i Waszyngton zaostrzyły retorykę, potępiły nocny atak milicji i ostrzegły przed dalszym stosowaniem siły. Zarazem słusznie udają, że tylko pada deszcz, i wciąż nawołują do rozmów. Ważna jest stała obecność europejskich polityków w Kijowie, a zwłaszcza inicjatywa premiera Tuska, który zaproponował, by głównym punktem posiedzenia Rady Europejskiej 19-20 grudnia było sformułowanie oferty pomocy dla Ukrainy.

Ważne, by partnerem w ewentualnych rozmowach Unii z Ukrainą były nie tylko władze, lecz również opozycja i reprezentanci społeczeństwa obywatelskiego. A nawet przede wszystkim oni. Dziś los opozycji i społeczeństwa, więc także demokracji w tym kraju, spoczywa w rękach Zachodu.

Przez niemal trzy tygodnie protestu Ukraińcy udowodnili, że wolnościowy zryw z 2004 r. nie był przypadkiem. Walkę o prawa człowieka prowadzą bez przemocy, w imię europejskich wartości i swego miejsca w zjednoczonej Europie. Zachwyt Unii, że na Majdanie miały miejsce „największe proeuropejskie manifestacje w dziejach UE" (Guy Verhofstadt, szef frakcji liberałów i demokratów w Parlamencie Europejskim), nie może być jedynie pięknoduchostwem sytych Europejczyków. Dziś serce Europy naprawdę bije w Kijowie i przyszłość siły Europy w świecie decyduje się na Majdanie.

Manifestanci wytrzymali i mają siłę, by stać dalej, choć cena za to będzie coraz wyższa. Spora część Ukraińców boi się otwartego konfliktu. Opozycja tradycyjnie zwołuje wielki wiec na najbliższą niedzielę. A do tego czasu chce podtrzymać mobilizację wśród swoich zwolenników i zdemobilizować szeregi milicji. W pierwszym szeregu „udrożniaczy" ulic szli kadeci trzeciego roku Akademii Spraw Wewnętrznych. Do ich matek popłynęły apele, by zabrały swoje

dzieci, żeby władza nie wykorzystywała ich przeciwko innym dzieciom, które stoją na Majdanie.

Apel może trafić w próżnię. Wczoraj Janukowycz obiecał Ashton, że w ciągu 24 godzin znajdzie wyjście z sytuacji. Oby nie okazało się, że miał na myśli wprowadzenie stanu wyjątkowego. Powód się znajdzie. Milicja co rusz zamyka stacje metra, bo dostała sygnał o ich zaminowaniu. Wczoraj z tego samego powodu zamknięto dwa lotniska i dworzec kolejowy. Rząd oświadczył, że przez Majdan do końca roku nie wypłaci pieniędzy emerytom i sferze budżetowej.

Niewiele zmienia nagła propozycja Janukowycza, by usiąść z opozycją przy okrągłym stole. Opozycja słusznie podtrzymuje wstępne warunki takich rozmów – zwolnienie uwięzionych, ukaranie sprawców brutalnego pobicia manifestantów i udział przedstawicieli UE w okrągłym stole.

Z wielkich gier toczonych przez Janukowycza o strategiczne cele została rozgrywka o cele całkiem przyziemne – zadbanie o przyszłość własną i rodziny. Przyszłość, zdrowie i życie jego współobywateli to jedynie instrument w targach z Putinem. Jednak Zachód powinien rozmawiać z ukraińskim prezydentem. Dopóki nie poleje się krew, co oby nigdy się nie stało.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

GŁOSOWANIE RODZINNE JEST NIEZGODNE Z KONSTYTUCJĄ

NIEFORTUNNY POMYSŁ JAROSŁAWA GOWINA

PIOTR WINCZOREK (KONSTYTUCJONALISTA)

Propozycja Jarosława Gowina i jego zwolenników, aby wyposażyć rodziców nieletnich dzieci w prawo decydowania w głosowaniach powszechnych za swoje pociechy, narusza zasady konstytucyjne, i to wielokrotnie.

Po pierwsze, uderza w zasadę równości odnoszącą się do wyborów sejmowych, prezydenckich i samorządowych, a także w równość będącą ważnym elementem prawa referendalnego. Równość ta, w jej aspekcie formalnym, oznacza, że każdy wyborca dysponuje taką samą liczbą głosów – tj. tylko jednym wedle reguły: one man – one vote. Umożliwienie rodzicom głosowania za dzieci zwielokrotniłoby liczbę głosów przynależnych tylko niektórym wyborcom, a zatem naruszyłoby zasadę równości.

Po drugie, przyjęcie takiego rozwiązania naruszałoby zakaz niedyskryminacji z jakiejkolwiek przyczyny. Jeśli miałoby, jak oświadczają jego zwolennicy, zapobiec dominacji w życiu publicznym osób starszych, to wprowadzenie głosowania rodzinnego prowadziłoby do dyskryminowania części obywateli ze względu na wiek.

Po trzecie, głosowanie rodziców za dzieci oznaczałoby w istocie, że o preferencjach politycznych potomstwa, które mają się ujawnić w akcie wyborczym, decydowaliby ojciec i matka. Jednakże, przynajmniej gdy chodzi o osoby już dostatecznie dojrzałe, rodzice powinni – jak żąda konstytucja – uwzględniać ich przekonania, w tym polityczne. Co więc mają czynić ci rodzice, którzy mają diametralnie odmienne poglądy niż ich dorastające dzieci, np. ojciec czy matka są zwolennikami partii Jarosława Gowina, a nastoletnie dziecko – PiS lub ONR?

Po czwarte, jak rozwiązać kwestię prawnych warunków uczestnictwa w akcie wyborczym osób zdecydowanie niepełnoletnich (np. trzyletnich), które w innych dziedzinach pozbawione są zdolności do czynności prawnych? Czynności takie mogą być wprawdzie podejmowane za dzieci przez osoby dorosłe

(rodziców, opiekunów), ale pod kontrolą sądów. Czy akt wyborczy też miałby podlegać takiej kontroli? Dodać trzeba, że konstytucja wyposaża w czynne prawo wyborcze jedynie obywateli, którzy ukończyli 18 lat.

Po piąte, należy odpowiedzieć na pytanie, co z rodzicami rozwiedzionymi, osobami samotnie wychowującymi dzieci czy dziś bardzo powszechnymi przypadkami, gdy dzieci narodziły się w związkach nieformalnych. Czy fakt ten powinien być publicznie ujawniony (np. przed komisją wyborczą), aby można było skorzystać z prawa do głosu rodzinnego? Co wówczas z prawem do prywatności gwarantowanym przez konstytucję?

Tzw. projekt Paula Demeny'ego, do którego nawiązuje propozycja Jarosława Gowina i jego zwolenników, jakkolwiek od dawna dyskutowany w Europie, nie został zrealizowany. Nie wiem, czy mógł się w jakiś znaczący sposób przyczynić do rozwiązania problemów demograficznych trapiących nasz kontynent. Z pewnością natomiast jego wprowadzenie w życie naruszałoby postanowienia polskiej konstytucji – i to w tych jej fragmentach, które zapewniają realizację zasady demokratycznego państwa prawnego.

Jeśli już mamy dowartościować młodsze pokolenie, to może obniżyć wiek uprawniający do korzystania z czynnego prawa głosu, np. do lat 17. Taki postulat też jest wysuwany w dyskusji publicznej. Ale i jego realizacja wymagałaby zmiany konstytucji.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

GOŚCINNE WYSTĘPY. W CZWARTEK – MAZIARSKI

PRAWICOLEWICA POWIE CI, JAK ŻYĆ

WOJCIECH MAZIARSKI (PUBLICYSTA)

Francuskie Zgromadzenie Narodowe uchwaliło, że korzystanie z usług prostytutek będzie karalne. Ma się rozumieć, dla dobra kobiet, które są eksploatowane i torturowane, traktowane nieludzko, pozbawiane godności.

Wprawdzie zainteresowane protestowały i biadoliły, że stracą źródło utrzymania, ale co one tam wiedzą. Obrońcy godności kobiet znacznie lepiej rozumieją, co leży w interesie prostytutek. Prostytutki mają fałszywą świadomość i trzeba im udzielić pomocy nawet wbrew nim samym.

Pomocy udzieliła osobliwa prawicowo-lewicowa koalicja, której członkowie wyznają różne systemy wartości, lecz w tej sprawie przemówili we Francji zgodnym chórem.

Ale czy rzeczywiście tylko w tej sprawie? I tylko we Francji?

Przecież taki sam sojusz konserwatywno-religijnej prawicy i związkowo-socjalistycznej lewicy w Polsce domaga się zakazu handlu w niedziele. Dla dobra pracowników tej branży, którzy są eksploatowani i torturowani, traktowani nieludzko, pozbawiani godności. Koniecznie trzeba im pomóc.

A że wielu z nich boi się, że straci miejsca pracy? Co oni tam wiedzą. Mają fałszywą świadomość, podobnie jak biedacy, którzy chcą w niedziele chodzić do centrów handlowych. Trzeba tych zakupoholików uszczęśliwić państwowym zakazem. Może na początku będą protestować jak francuskie prostytutki, ale z czasem zrozumieją, że to dla ich dobra, i zamiast kupować lub sprzedawać towary, zaczną dzień święty święcić, oddawać się pogłębionej refleksji nad sensem życia i w gronie rodzinnym czytać Slavoja Žižka.

Te pozornie egzotyczne sojusze we Francji, w Polsce i wielu innych miejscach pokazują, że tradycyjny podział sceny politycznej na prawicę i lewicę coraz gorzej opisuje dziś rzeczywistość. Lewica i

prawica stają po tej samej stronie barykady, opowiadając się przeciw indywidualnej wolności, czyli przeciw prawu wyboru.

Wspólnym mianownikiem jest pogarda dla autonomii jednostki i przekonanie, że pojedynczy obywatel jest durniem, który nie chce lub nie potrafi wybrać tego, co naprawdę dla niego dobre. Dlatego my, prawicolewica, musimy go za pomocą zakazów i kar naprowadzić na właściwą ścieżkę. Jesteśmy depozytariuszami prawdy i to nas upoważnia do narzucania innym naszych wizji dobrego i słusznego życia.

Polacy, którzy mają za sobą doświadczenie PRL-u, doskonale wiedzą, czym się takie wysiłki kończą: kombinowaniem na masową skalę i represjami, bo ludzie nie lubią, żeby im mówić, jak mają żyć. Większość nie podporządkowuje się zakazom. Czy francuskie Zgromadzenie Narodowe naprawdę wierzy, że klienci prostytutek zaczną spędzać czas w bibliotekach?

5 grudnia minęła rocznica fiaska innego eksperymentu – tego dnia w 1933 r. zniesiono prohibicję w USA. Przez 13 lat Amerykanie skutecznie kombinowali: masowo zakładali Kościoły, by napić się wina mszalnego, kupowali alkohol na receptę, bo ponoć pomaga w chorobach, itd. A mafia krzepła i korumpowała polityków.

Podobnych rzeczy można się spodziewać u nas, gdyby zakaz handlu miał wejść w życie. Nawet mam pierwszy pomysł na obejście restrykcji: w niedziele galerie handlowe zamieniają się w galerie wystawiennicze. Drogi kliencie, przyjdź i zwiedź nasze sale. Jeśli któryś z eksponatów w naszych zbiorach bardzo ci się spodoba, możesz go kupić. Ale nie dziś. Dziś tylko go zarezerwujesz, a my w pierwszym dniu roboczym dostarczymy ci go do domu.

Myślę, że firmy kurierskie i spedycyjne już powinny zacząć lobbować za wprowadzeniem zakazu.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

POMYSŁ NOWEGO MINISTRA SPORTU

Zróbmy staw na Kasprowym

Andrzej Biernat chce budowy zbiornika w rejonie Kasprowego Wierchu, z którego woda ma być wykorzystywana do sztucznego naśnieżania tras w Tatrach. Protestuje dyrekcja TPN i ekolodzy

BARTŁOMIEJ KURAŚ

FOT. MAREK PODMOKŁY

Wagonik Polskich Kolei Linowych na trasie z Myślenickich Turni (stacja przesiadkowa, 1354 m n.p.m.) na Kasprowy Wierch (1987 m n.p.m.) w Tatrach Zachodnich

Minister przedstawił swój pomysł na spotkaniu z branżą narciarską w ostatni weekend w Wierchomli w Beskidzie Sądeckim.

– Jeżeli chcemy zarabiać na naszych górach, to musimy stwarzać ku temu warunki. Dlatego uważam, że Kasprowy Wierch powinien być

wykorzystywany narciarsko w większym stopniu niż obecnie. A do tego potrzebne jest sztuczne naśnieżanie – tłumaczy „Gazecie" minister Biernat.

– Uważam, że jest w tej sprawie pole do porozumienia z nowym ministrem środowiska Maciejem Grabowskim, który ma doświadczenie ekonomiczne i był wiceministrem finansów – dodał.

Poseł Ireneusz Raś (PO), szef sejmowej komisji kultury fizycznej, sportu i turystyki, potwierdza: – Jest pomysł zbudowania sztucznego zbiornika wodnego w rejonie Kasprowego. Myślę, że jesteśmy blisko wprowadzenia takiego rozwiązania – mówi.

Według wstępnej koncepcji zbiornik wodny o pojemności do 1000 metrów sześciennych miałby powstać w rejonie Myślenickich Turni.

Tu jest stacja przesiadkowa kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Stąd rurami woda byłaby ciągnięta na Halę Goryczkową i Halę Gąsienicową, gdzie służyłaby do produkcji sztucznego śniegu. Szacunkowy koszt budowy takiego zbiornika to kilkaset tysięcy złotych.

Realizację takiej inwestycji mają umożliwić zmiany w prawie szykowane przez rząd. – Wypracowane rozwiązania dotyczące rozwoju narciarstwa zostaną skompletowane w jeden dokument obejmujący zmiany w wielu ustawach: od prawa środowiskowego, przez ustawę o sporcie, aż po prawo budowlane – wyjaśnił min. Biernat.

Dodał, że polskie prawo dotyczące budowy infrastruktury narciarskiej jest teraz bardziej restrykcyjne niż w innych krajach unijnych.

Ostatnio mocno rozbudowują ośrodki narciarskie Słowacy, m.in. na stokach Łomnicy w Tatrach. Nasi południowi sąsiedzi wybrali politykę inwestowania w masową turystykę w swojej części gór.

Zgodził się na to rząd w Bratysławie po przejściu katastrofalnego w skutkach porywistego wiatru, który na początku XXI wieku zwalił tysiące drzew po południowej stronie Tatr. Na ogołoconych stokach postanowiono rozwijać narciarstwo.

Dyrekcja polskiego Tatrzańskiego Parku Narodowego jest przeciwna takim pomysłom.

– Jak naśnieżać przy silnym wietrze o prędkości powyżej 15 m/s? A takie wiatry występują na Kasprowym Wierchu przez prawie jedną trzecią roku. Będzie się naśnieżać trasę narciarską, a ten śnieg zwieje pół kilometra dalej. Na zaśnieżenie trasy o gładkim podłożu wystarczy 30 cm śniegu. Na Kasprowym mikrorzeźba tras wymaga w wielu miejscach pokrywy o grubości powyżej 90 cm – wylicza Paweł Skawiński, dyrektor TPN.

I tłumaczy: – Trzeba sobie uzmysłowić, że Kasprowy Wierch jest trudną górą dla uprawiania i organizowania narciarstwa. Współczynnik wykorzystania zimą w tym rejonie kolei krzesełkowych wynosi zaledwie 20 proc. Nie dlatego, że Tatrzański Park Narodowy robi trudności, tylko dlatego, że kolej często nie jest uruchamiana, a to z powodu wiatru, a to z powodu oblodzenia, czy wreszcie z powodu zbyt małej ilości śniegu. To nieprawda, że TPN likwiduje infrastrukturę narciarską w Tatrach. Nikt nigdy nie zamykał dwóch FIS-owskich tras biegnących z Kasprowego Wierchu. Te trasy po prostu przestały być używane do wyczynowego narciarstwa zjazdowego, bo zostały źle pomyślane. Opowieści o uczynieniu z Kasprowego dużej stacji narciarskiej są oderwane od obiektywnych warunków przyrodniczych. Mówię obiektywnych, bo one nie są wymyślone przez dyrektora parku czy ideologów ochrony przyrody. W polskiej części Tatr takie ośrodki nie mogą powstać, bo nasze góry są na to zbyt małe. Uważam rozbudowę stacji narciarskich w słowackiej części Tatr za zjawisko negatywne. Można jednak uznać, że Słowacy mogą sobie na to pozwolić, bo 70 proc. powierzchni ich kraju to są góry, więc ciągle

mają gdzie obcować z dziką górską przyrodą. My takich możliwości nie mamy – argumentuje.

Przeciwne budowie sztucznego zbiornika w Tatrach na potrzeby narciarstwa są organizacje ekologiczne.

– Szum armatek śnieżnych będzie płoszył dziką zwierzynę, dla której Tatrzański Park Narodowy jest domem. Tatry ze swą unikatową przyrodą to nasz skarb narodowy. Powinniśmy ograniczać do minimum ingerencję człowieka na tym terenie – uważa Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Koniec procesu w sprawie sterylizacji Wioletty Szwak

PIOTR ŻYTNICKI

– Lekarz nie ma prawa decydować, czy kobieta będzie mogła zajść w kolejną ciążę – mówi prawniczka Wioletty Szwak. Kobietę podczas porodu wysterylizowano bez pytania o zgodę.

Cztery lata temu w szpitalu w Szamotułach Wioletta Szwak urodziła córkę Różę – to było jej ósme dziecko. Gdy wróciła do domu, dowiedziała się ze szpitalnego wypisu, że podczas porodu została „ubezpłodniona".

Szwak rodziła przez cesarskie cięcie. Była w narkozie, gdy lekarze bez pytania o zgodę przecięli jej jajowody. W ten sposób pozbawili ją możliwości zajścia w kolejną ciążę. Tłumaczyli, że gdyby miała urodzić jeszcze jedno dziecko, jej macica mogłaby pęknąć. Chcieli ją przed tym uchronić.

Sterylizacja bez pytania byłaby dopuszczalna, ale tylko jako zabieg ratujący życie podczas operacji. Lekarze przyznali, że życie Wioletty Szwak nie było zagrożone. Odwołali to, gdy sprawa stała się głośna. I przedstawili nową wersję: podczas cesarskiego cięcia pacjentka zaczęła krwawić, sterylizacja była konieczna, by zatamować krwotok.

Prokuratura dwa razy umarzała śledztwo, więc Wioletta Szwak skierowała do sądu prywatny akt oskarżenia przeciwko jednej z lekarek. Wczoraj zakończył się proces.

Małgorzata Heller-Kaczmarska, prawniczka kobiety, podsumowała w mowie końcowej dowody przemawiające za winą lekarki Barbary K.:

* Zabieg cesarskiego cięcia trwał nieco ponad pół godziny – tyle trwa zwykle zabieg bez powikłań, a tu miał być przecież krwotok zagrażający życiu.

* W dokumentacji medycznej nie ma słowa o krwotoku i zagrożeniu życia, jest za to wpis o „dokonaniu ubezpłodnienia". Ubytek krwi musiałby wpłynąć na pomiary tętna i ciśnienia – pomiary były jednak w normie.

* Anestezjolog potwierdził, że poród przebiegał normalnie, ginekolodzy nie informowali go o komplikacjach, o sterylizacji pacjentki dowiedział się z prasy. Zagrożenia życia nie widziała też pielęgniarka, która podawała narzędzia do sterylizacji.

* Biegli potwierdzili, że sterylizacja nie ratowała kobiety przed wykrwawieniem, nie była uzasadniona przebiegiem operacji. Wersję lekarzy, że musieli przeciąć jajowody, by ratować życie, uznali za nieprawdopodobną.

– Wiolettę Szwak wysterylizowano, by uchronić przed niebezpieczeństwem, gdyby znów zaszła w ciążę. Ale lekarze nie mieli do tego prawa. Nawet jeśli kierują się najlepszą wiedzą i

wydaje im się, że działają dla dobra pacjenta, nie wolno im decydować za niego – mówiła prawniczka kobiety.

Nawiązała do eugeniki: – Już kiedyś decydowano, że upośledzeni czy słabsi intelektualnie nie mogą rodzić dzieci, sterylizowano takie osoby. Nie można się na to godzić.

Sąd rodzinny zarzucał Wioletcie Szwak nieporadność i nieznaczne upośledzenie umysłowe, co było powodem odebrania jej na kilka tygodni córki Róży. Heller-Kaczmarska sugerowała, że mogło być to też powodem sterylizacji bez pytania. – Wioletta Szwak nie miała telefonu, wyglądała na zagubioną, źle ubraną – przypominała prawniczka.

Domagała się skazania lekarki, ale wymiar kary pozostawiła do uznania sądu. Podkreślała też, że to sprawa precedensowa, ważna dla wszystkich, bo określająca, co wolno lekarzowi i jakie mamy prawa w szpitalu.

Co na to obrońcy lekarki? Nie wiadomo, bo mowy końcowe wygłosili za zamkniętymi drzwiami. Sąd wyłączył jawność rozprawy na ich prośbę. Tłumaczyli, że będą odwoływać się do wyjaśnień swojej klientki, które również były niejawne. Po rozprawie lekarka i obrońcy nie chcieli rozmawiać z dziennikarzami.

Sąd ogłosi wyrok 18 grudnia.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Sześciolatki w szkole bez lekcji. I bez stresu

W klasie mają się bawić, w świetlicy odrabiać prace domowe, trochę poskaczą, żeby nie siedzieć bez ruchu. Grupa będzie nieduża, nauczycieli co najmniej dwoje

ALEKSANDRA PEZDA

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI

Joanna Kluzik-Rostkowska

Nowa szefowa MEN Joanna Kluzik-Rostkowska ogłosiła wczoraj program oswajania szkoły pod kątem sześciolatków.

Ma uspokoić obawy rodziców przed ostatecznym wprowadzeniem obowiązku szkolnego – we wrześniu 2014 r. pójdzie do szkoły połowa rocznika sześciolatków, a rok później – już wszystkie.

– Dzieci w wieku sześciu lat są gotowe zacząć naukę w szkołę. Problem bierze się stąd, że szkoła nie we wszystkim i nie zawsze jest

gotowa na ich przyjęcie – mówiła Kluzik-Rostkowska. W programie są pomysły jej poprzedniczki Krystyny Szumilas, ale też sporo nowych.

Co chce konkretnie zrobić? Na wzór słynącej z opiekuńczości szwedzkiej szkoły proponuje stanowiska tzw. osób wspomagających. Mają pomóc w najmłodszych klasach oraz w świetlicach. Nie będą one prowadziły regularnych zajęć lekcyjnych, ale będą np. kontrolowały, czy dzieci nadążają za tokiem lekcji, wyprowadzą do toalety, zorganizują zabawę. MEN nie przesądza, jakie wykształcenie ma mieć osoba wspomagająca. Minister wczoraj mówiła, że będą to nauczyciele, ale też np. psychologowie.

Osoba wspomagająca nie będzie zatrudniana według Karty nauczyciela. To oznacza, że będzie miała więcej obowiązków niż nauczyciele, którzy pracują na tzw. pensum – 18 lekcji w tygodniu. Nie będzie też zarabiać według nauczycielskich stawek. Chodzi o to, żeby samorządom opłacało się zatrudniać takich pracowników. Teraz oszczędzają na drogich etatach nauczycielskich. To by wymagało zmiany ustawy oświatowej w Sejmie. Przeciwko temu protestują już związki zawodowe – boją się, że samorządy tam, gdzie powinny zatrudnić np. dwie nauczycielki świetlicy, jedną zwolnią, po to żeby wziąć tańszą, choć słabiej przygotowaną do tej pracy osobę wspomagającą.

Kolejne propozycje Kluzik-Rostkowskiej: *poprawa warunków w świetlicach *grupy do 25 dzieci, możliwie w jednym wieku *obowiązkiem świetlicy będzie odrabianie zadań domowych i zajęcia ruchowe. Będą też *szkolenia dla nauczycieli. Tych z klas 1-3 oraz tych, którzy uczą poszczególnych przedmiotów w klasach czwartych. Teraz – zdaniem minister – pracują zbyt rutynowo. To częsta skarga rodziców: niektórzy nauczyciele sztywno podchodzą do szkolnej dyscypliny. Małe dzieci od razu są sadzane w ławkach na 45-minutowe lekcje. Dla maluchów to szok i udręka.

Dlatego MEN chce wydać kolejne zalecenie: zajęć dla małych uczniów w pierwszej klasie nie będzie wolno dzielić na 45-minutowe lekcje. Dzień szkolny dla malucha ma być podobny do tego z przedszkola – ciągły czas, przedzielony różnorodnymi zajęciami.

Dodatkowo MEN wycofa z podstawy programowej zapisy, które określały, co uczeń powinien umieć po pierwszej klasie. Nauczyciele interpretowali to jako obowiązek każdego dziecka. Słabsze musiały nadganiać program. Po proponowanej zmianie aż do trzeciej klasy każde dziecko będzie mogło uczyć się we własnym tempie. Rodzice będą mogli też nie posłać sześciolatka do szkoły – będzie mógł zostać w zerówce, jeśli poradnia psychologiczno-pedagogiczna wyda opinię o braku dojrzałości szkolnej dziecka. Łatwiej też ma być z cofnięciem dziecka do zerówki, o ile nie będzie sobie radziło w szkole.

– Rodzice nie mogą mieć z tego powodu poczucia winy ani problemów, każde dziecko ma prawo rozwijać się we własnym tempie – mówi Kluzik-Rostkowska.

Na początku urzędowania nowa ministra zapowiadała, że do września przyszłego roku szkoły będą gotowe na przyjęcie sześciolatków i że przekona o tym rodziców. Wczoraj jednak nie obiecała raportu o stanie szkół. Rodziców odesłała do infolinii MEN – od kilku miesięcy urzędnicy zbierają tam skargi i pytania od rodziców, a kuratorzy je wyjaśniają.

Na pytanie, czy spotka się z rodzicami przeciwnymi posłaniu sześciolatków do szkół, Kluzik-Rostkowska odpowiedziała: – Jeśli mają przyjść, żeby mi powiedzieć, że ta reforma się nie uda [to głośne hasło liderów Ratuj Maluchy], to nie chcę na to tracić czasu. Chyba że zechcą przyjść, żebyśmy razem wymyślili, co zrobić, aby szkoła była jeszcze lepsza. Na takie propozycje jestem otwarta.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Nowa awantura o szczątki Anny Walentynowicz

WOJCIECH CZUCHNOWSKI

Jej rodzina twierdzi, że ciała w ogóle nie ma w Polsce. Na nic zapewnienia prokuratury, że jest złożone w grobie w Gdańsku.

– To sytuacja niemająca precedensu w historii, zwłaszcza że dotyczy osoby o szczególnym znaczeniu dla narodu polskiego. Istnieje obawa, czy właśnie z tego względu losy Anny Walentynowicz są dotąd niewyjaśnione – oburzał się wiceszef PiS Antoni Macierewicz na posiedzeniu swojego zespołu badającego katastrofę smoleńską, w której 10 kwietnia 2010 r. zginęła Walentynowicz.

Jej zwłoki razem z ciałami innych ofiar przewieziono wtedy ze Smoleńska do Moskwy, gdzie rodziny dokonywały identyfikacji. Potem były uroczyste pogrzeby. Niestety nie wszystkie ofiary spoczęły we właściwych grobach. Pomyłkę wykryto w 2012 r. Na jej ślad wpadł rosyjski ekspert medycyny sądowej, który przesłał w tej sprawie sygnał do polskiej prokuratury.

Okazało się, że Annę Walentynowicz pochowano na cmentarzu w Warszawie, a w jej grobie w Gdańsku spoczęły zwłoki działaczki Rodzin Katyńskich Teresy Walewskiej-Przyjałkowskiej. Błąd naprawiono, premier Tusk przepraszał rodziny ofiar, chociaż według prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta w przypadku Walentynowicz za złe rozpoznanie odpowiadała rodzina, która w Moskwie wskazała niewłaściwe zwłoki.

Dlaczego teraz chce kolejnej ekshumacji? Wyjaśnienia wnuka Anny Walentynowicz Piotra ocierały się o makabrę. Twierdził wczoraj, że w Moskwie ciało miało głowę, a to, które znalazło się na stole sekcyjnym w Gdańsku, było jej pozbawione, „reszta też nie należy

do babci". Zażądał od prokuratura dokumentacji medycznej ciał wszystkich 24 kobiet, które zginęły pod Smoleńskiem. – Jest właściwa ilość akt, ale brakuje opisu zwłok babci – twierdził wczoraj wnuk. Nie powiedział, skąd ma tę pewność, bo dokumenty, które dostał, były anonimowe, bez nazwisk ofiar.

– Pytam prokuratora generalnego, jak Anna Walentynowicz mogła zostać pochowana, jeśli nie ma jej akt – atakował pełnomocnik rodziny Stefan Hambura. Zapowiadał, że oprócz ekshumacji będzie żądał, by odebrano prokuraturze wojskowej całe śledztwo smoleńskie.

Macierewicz komentował, że jest tymi informacjami „zdetonowany". A Andrzej Melak, przedstawiciel rodzin, powiedział, że w Moskwie „przedstawiciele polskiej dyplomacji zajęci byli wchodzeniem w tyłek Rosjanom, a nie pilnowaniem tego, co się działo". Macierewicz chce, by prokurator Seremet złożył w sprawie zwłok Anny Walentynowicz wyjaśnienia przed sejmową komisją sprawiedliwości.

Co na to prokuratura? – Dwa niezależne ośrodki akademickie przeprowadziły badania DNA szczątków złożonych w grobie w Gdańsku. Bez żadnych wątpliwości zidentyfikowali je jako szczątki Anny Walentynowicz – mówi kpt. Marcin Maksjan z Naczelnej Prokuratury Wojskowej.

Nie chce komentować wypowiedzi rodziny. Zapewnia, że wśród akt, które mu udostępniono, była dokumentacja ciała Anny Walentynowicz.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Detektyw Rutkowski skazany na 1,5 roku więzienia

To kara za pranie brudnych pieniędzy. Sprawę jego udziału w śląskiej mafii paliwowej umorzono z powodu przedawnienia. Wyrok jest prawomocny

MARCIN PIETRASZEWSKI

FOT. MICHAŁ ŁEPECKI

Krzysztof Rutkowski

Przed Sądem Apelacyjnym w Katowicach zakończył się wczoraj proces tzw. śląskiej mafii paliwowej.

To jedna z największych afer gospodarczych w Polsce. Zorganizowana grupa przestępcza na nielegalnej produkcji paliwa zarobiła pół miliarda złotych. Założył ją Henryk Musialski, właściciel firmy EM-Trans z Siemianowic Śląskich i sponsor rockowej grupy Dżem.

W latach 1998-2003 kupił kilkaset milionów litrów komponentów do produkcji paliwa, mieszał je i sprzedawał jako benzynę (nie płacił akcyzy i VAT). Wczoraj sąd skazał go za to na sześć lat więzienia i 210 tys. zł grzywny.

Państwo przejmie należące do niego supernowoczesne studio nagrań, które wybudował dla Dżemu, oraz kilkadziesiąt aut BMW. W czasie śledztwa poszedł na współpracę. Przyznał, że działał bezkarnie wiele lat, bo po pierwszej kontroli skarbówki jego ludzie spalili siedzibę firmy z dokumentacją, potem korumpowali pracowników fiskusa w Katowicach.

Z Musialskim współpracował Krzysztof Rutkowski, detektyw bez licencji i b. poseł Samoobrony. Najpierw na zlecenie żony biznesmena w sprawie rozwodowej prześwietlił jego majątek, a nawet informował CBŚ, że Musialski prowadzi lewe interesy. Potem został jego doradcą ds. bezpieczeństwa za 25 tys. zł miesięcznie.

– Nie ma wątpliwości, że oskarżony wiedział, czym naprawdę zajmuje się Henryk Musialski – podkreślał wczoraj sędzia Piotr Mirek, przewodniczący składu orzekającego. Rutkowski pożyczył (umowa była ustna) od barona paliwowego pół miliona złotych, kupił też od niego luksusowe bmw. Według sądu rozliczenia z Musialskim służyły wyłącznie legalizacji pieniędzy pochodzących z przestępstwa.

Za to Rutkowski został wczoraj skazany na półtora roku więzienia. Raczej nie trafi za kraty, bo odsiedział już 10 miesięcy i może ubiegać się o przedterminowe zwolnienie.

Wbrew stanowisku prokuratury nie został jednak skazany za udział w zorganizowanej grupie przestępczej. – Ta kwestia nie jest jednoznaczna i wymagałaby uzupełnienia – stwierdził sędzia Mirek. Ale z powodu przedawnienia ten zarzut został wczoraj umorzony.

Pracując dla Musialskiego, Rutkowski obiecywał mu, że zostanie wciągnięty na tajną listę informatorów CBŚ. Dla uwiarygodnienia detektyw przywoził na spotkania prokuratora Roberta Binczaka, rzecznika resortu sprawiedliwości w rządzie PiS. Na współpracy z gangiem paliwowym detektyw zarobił ponad 2 mln zł.

Zatrzymany w 2006 r. przez ABW Rutkowski robił wszystko, żeby nie trafić za kratki. Twierdził, że ma informacje na temat korupcji w śląskiej prokuraturze oraz że posłowie PiS wyłudzali pieniądze z europarlamentu. Jego rewelacje się nie potwierdziły.

Wczorajszy wyrok Rutkowski nazwał „fragmentaryczną sprawiedliwością", bo opartą wyłącznie na zeznaniach Musialskiego.

Wyrok nie ma wpływu na karierę Rutkowskiego. Licencję detektywa stracił kilka lat temu i prowadzi biuro doradcze. Usługi detektywistyczne zleca natomiast współpracownikowi, który ma licencję.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

PO z PSL + 4

DS, DOM

Czterech byłych posłów Ruchu Palikota, którzy tworzyli koło Inicjatywa Dialogu, dołączy wkrótce do Klubu Parlamentarnego PSL.

Częstochowski poseł Artur Bramora potwierdza: „Wraz z kolegami z Inicjatywy Dialogu wstępuję do PSL". O motywach swojej decyzji nie chce mówić przed oficjalnym jej ogłoszeniem.

Artur Bramora do Sejmu dostał się z listy Ruchu Palikota. Od początku nie bardzo pasował do swojej formacji, bo przedstawiał się zawsze jako osoba wierząca i praktykująca. Składając ślubowanie poselskie, zakończył je słowami: „Tak mi dopomóż Bóg".

W partii Palikota wytrzymał do czerwca tego roku. Odszedł, bo uznał, że za dużo w niej antyklerykalizmu, za mało dbałości o przedsiębiorców. W rozmowie z „Gazetą" tłumaczył, że właśnie gospodarcze pomysły Palikota przyciągnęły go do działalności politycznej. Z czasem okazało się, że partia nie potrafi sprzedać swoich pomysłów na gospodarkę szerszej publiczności, bo giną one wśród mniej i bardziej niewybrednych ataków na Kościół.

Wraz z trójką innych posłów – Bartłomiejem Bodiem, Dariuszem Dziadziem i Haliną Szymiec-Raczyńską – która odeszła od Palikota, Bramora zawiązał koło Inicjatywa Dialogu. Teraz koło zostało rozwiązane.

Tym samym koalicja umocniła swoją większość w Sejmie. Po odejściu Jarosława Gowina i dwóch jego współpracowników z PO siła koalicji stopniała do 232 głosów w 460-osobowym Sejmie. Teraz formalnie wzrosła do 236 głosów. Formalnie – bo wcześniej posłowie Inicjatywy Dialogu często głosowali razem z rządem.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

WYJAŚNIENIE

ALEXANDER STAN-OTASEVICI (PEŁNOMOCNIK ROBERTA NIEMCA)

Nie jest prawdą, jak podano w artykule „Kastetem w podzięce za pracę" („Gazeta" z 11 października), że Robert Niemiec wypowiedział Mirosławowi Litińskiemu umowę o pracę z jednodniowym terminem wypowiedzenia. Nieuprawnione jest także stwierdzenie,

jakoby Robert Niemiec ze wspólnikiem Tomaszem D. pobili Mirosława Litińskiego. Robert Niemiec występuje w sprawie jako świadek. Tomasz D. nie jest wspólnikiem Roberta Niemca, gdyż ten prowadzi jednoosobową działalność gospodarczą.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Żeby kara była karą, a pół Polski nie siedziało

Zamiast zawieszania kar – kara wolnościowa. Resort sprawiedliwości pokazał projekt rewolucji w karaniu

EWA SIEDLECKA

– To, co proponujemy, spotka się z krytyką, bo w Polsce kara sprawiedliwa to kara surowa. My chcemy przekonać do kar racjonalnych. To element nowoczesnego zarządzania wymiarem sprawiedliwości – mówił wiceminister Michał Królikowski, prezentując projekt dziennikarzom.

Dziś kara w zawieszeniu to blisko 60 proc. wszystkich orzekanych kar. To ma być miecz Damoklesa, który wisi nad człowiekiem, zniechęcając go do łamania prawa.

Ale nie zniechęca: w 2012 r. w Polsce było 300 tys. osób skazanych przynajmniej dwukrotnie na karę w zawieszeniu, w tym 100 tys. – co najmniej trzykrotnie. A są i tacy, którym karę zawieszano ponad 20 razy. Marcin Plichta, właściciel Amber Gold, na karę w zawieszeniu skazywany był sześciokrotnie.

Więzienia są przepełnione, choć przestępczość spada: od 2004 r. o 25 proc.

A mamy pierwsze miejsce w Europie pod względem liczby więźniów na głowę mieszkańca (nie licząc Rosji). Są dwa wyjaśnienia tego fenomenu. Pierwsze to surowy kodeks karny, bo zaostrzanie kar od lat jest jedną z najskuteczniejszych metod zdobywania poparcia wyborców. Drugie – nieskuteczność kary w zawieszeniu: nie odstrasza, skoro więzienia zapchane są „odwieszonymi". W 2011 r. sądy odwiesiły karę blisko 50 tys. skazanych. A więc „odwieszeni" to połowa populacji więziennej.

Tak wynika z badań przeprowadzonych w Ministerstwie Sprawiedliwości, opublikowanych w kwartalniku „Probacja" (II/2013).

Sądy zawieszają kary wręcz rutynowo. Przyczyniła się do tego, skądinąd bardzo pożyteczna, bo skracająca do minimum postępowanie, instytucja ugody sprawcy z prokuratorem czy sądem. W takich sprawach sąd z reguły skazuje na karę w zawieszeniu. Ponad 80 proc. sprawców przemocy w rodzinie dostaje karę „zawieszoną". Sądy nie korzystają przy tym z możliwości skierowania ich np. na terapię antyprzemocową. A więc wracają i biją znowu.

W dodatku sądy prawie nie korzystają z innych kar wolnościowych, jak grzywna i prace społeczne. W Belgii ponad 90 proc. skazań to skazania na grzywnę, w Niemczech – 80 proc., w Wielkiej Brytanii – 70 proc., w Polsce – 20 proc.

Problem zauważyła Komisja Kodyfikacyjna Prawa Karnego działająca przy ministrze sprawiedliwości. Przygotowując nowelizację kodeksu karnego, zaproponowała, by ograniczyć sądom możliwość zawieszania kar, poszerzyć dozór elektroniczny i wzbogacić repertuar kar wolnościowych. Ministerstwo skorygowało tę propozycję. M.in. zrezygnowało z poszerzenia dozoru elektronicznego ze względu na brak pieniędzy.

Co proponuje ministerstwo?

ograniczyć możliwość zawieszania kar do przestępstw, gdzie dolne zagrożenie wynosi rok pozbawienia wolności (dziś – dwa lata), i uniemożliwić zawieszanie kary osobie już raz karanej;

poszerzyć możliwość orzekania kary ograniczenia wolności na przestępstwa zagrożone karą do ośmiu lat (dziś – do pięciu) i wydłużyć tę karę z roku do dwóch lat;

wprowadzić kary mieszane, np. część kary to kara więzienia, a część – ograniczenia wolności;

wzbogacić kary ograniczenia wolności. A więc nie tylko prace społeczne czy nakaz meldowania się na policji, ale też zakaz przebywania w określonym miejscu, obowiązek poddania się terapii, np. odwykowej, czy potrącenie z pensji (od 10 do 25 proc.);

zwiększeniu skuteczności grzywien ma służyć wpisywanie skazanych na grzywnę do rejestrów dłużników i biur informacji gospodarczej.

Bezwzględna kara grzywny czy prac społecznie użytecznych jest de facto surowsza niż kara np. dwóch lat więzienia w zawieszeniu. Ale ministerstwo zdaje sobie sprawę z tego, że opinia publiczna i prawicowa opozycja mogą tego nie zauważyć i uznać, że ta propozycja to łagodzenie kar. A wszystko, co pachnie łagodzeniem karania, będzie źle odebrane. Dorzuca więc też zaostrzenia. Np. będzie można orzec karę nadzwyczajnie zaostrzoną – do 20 lat. I do 20 lat karę łączną (dziś kara łączna za kilka wyroków nie może przekroczyć 15 lat). Ministerstwo chce też zaostrzyć zasady przepadku majątku z przestępstwa, przedłużyć do 30 lat okres do zatarcia skazania za obcowanie seksualne z osobą poniżej 15. roku życia. I uniemożliwić orzekanie środków wychowawczych wobec 17-latków (poprawczak zamiast więzienia), jeśli popełnili czyn karany powyżej 8 lat.

Chce też wprowadzenia do kodeksu karnego osobnego rozdziału o pozbawieniu lub ograniczeniu wolności po odbyciu kary więzienia.

Miałyby zastąpić uchwaloną niedawno i czekającą na podpis prezydenta „ustawę na bestie". Proponuje nowy katalog środków karnych: oprócz dozoru kuratora i policji także dozór elektroniczny, terapię, leczenie odwykowe i pobyt w zakładzie psychiatrycznym lub „innym zakładzie zamkniętym". Takiemu pozbawieniu wolności po odbyciu kary mogliby podlegać nie tylko zabójcy, gwałciciele czy pedofile, ale też złodzieje, przestępcy gospodarczy czy łapówkarze – jeśli swoje przestępstwo popełnili „w związku z zaburzeniem osobowości". A także osoby skazane za przestępstwo związane z uzależnieniem. Gdy sąd uzna, że mogą ponownie popełnić „przestępstwo o znacznej społecznej szkodliwości", wyśle ich na przymusowe leczenie lub do „zakładu zamkniętego". To rozwiązanie wzorowane na prawie niemieckim obowiązującym tam od lat 30. XX wieku i nazwane „aresztem prewencyjnym". Wzbudza znaczne kontrowersje wśród prawników i psychiatrów.

Minister sprawiedliwości Marek Biernacki powiedział dziennikarzom, że spodziewa się, iż rząd przyjmie ten projekt mniej więcej w kwietniu 2014 r., a wejdzie on w życie od początku 2015 roku razem z nową procedurą karną (już uchwaloną) i ustawą o prokuraturze (którą rząd ma przyjąć niebawem).

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Sojusz też idzie po władzę

Na najbliższej konwencji SLD w sobotę w Sosnowcu Leszek Miller wypowie wojnę Platformie Obywatelskiej

AGATA NOWAKOWSKA

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK

Donald Tusk i Leszek Miller w Sejmie w lutym 2012 r. Teraz lider SLD zamierza wypunktować błędy premiera

Sojusz chce wygrać z PO w wyborach do europarlamentu, marzy mu się fotel premiera w przyszłym rządzie po wyborach w 2015 r.

Dlaczego Sosnowiec, a nie Warszawa? Sojusz zabiega w ten sposób – podobnie jak PiS i PO – o wyborców z Zagłębia. Na konwencji pojawi się Martin Schulz, przewodniczący Parlamentu Europejskiego (eurodeputowani Sojuszu będą go popierać w wyborach na szefa Komisji Europejskiej), którego SLD chce poprosić o zaangażowanie się w mediacje Unia Europejska – Ukraina.

– Wiemy, że nie tylko protestowanie na ulicy, ale przede wszystkim przygotowanie dobrej oferty gospodarczej i finansowej może spowodować, że Ukraina, ale też Kijów i prezydent, zostanie przekonana do stowarzyszenia z Unią – mówił na wczorajszej konferencji w Sejmie rzecznik Sojuszu Dariusz Joński.

Według polityków Sojuszu podczas konwencji Miller wypunktuje błędy Donalda Tuska. – Ale wiemy, że nie możemy przegrzać w tej krytyce, bo nie chcemy wzmacniać PO. No i z kimś po wyborach w

2015 r. musimy rządzić. Najlepszym koalicjantem jest dla nas PO – mówi nam polityk SLD.

Miller zaproponuje pewne zmiany ustrojowe, w tym wzmocnienie rządu poprzez pozbawienie prezydenta prawa weta. Wcześniej Sojusz testował także, czy warto wyjść z pomysłem, by to Zgromadzenie Narodowe, a nie wyborcy, wybierało prezydenta. Okazało się jednak, że Polacy są przywiązani do wyborów bezpośrednich.

Poza Ukrainą i wetem Sojusz zajmie się pomysłami na pracę, wsparcie rodziny, a także ochronę zdrowia i edukację.

W SLD ruszyły już przygotowania do przyszłorocznych wyborów do Parlamentu Europejskiego. Wzmocniony został partyjny zespół medialny – dokooptowano doń b. rzecznika Tomasza Kalitę, parlamentarzyści mają mieć „medialne" dyżury w Sejmie.

– Na jednego naszego posła przypada 10 z PO. Często jest tak, że poza dniami obrad w Sejmie jest tylko Leszek Miller i ja – mówi rzecznik Joński.

Częściej mają się pokazywać w mediach obecni europarlamentarzyści: Joanna Senyszyn (prawdopodobnie zmierzy się w Małopolsce z kandydatem Europy Plus prof. Janem Hartmanem – w Sojuszu są obawy, czy nie odbierze on jej głosów antyklerykalnych wyborców), Bogusław Liberadzki czy Janusz Zemke.

W Wielkopolsce Józef Oleksy zetrze się z Markiem Siwcem, byłym politykiem SLD, dziś w Europie Plus. A w Warszawie Wojciech Olejniczak z Ryszardem Kaliszem (także b. polityk SLD, dziś szef stowarzyszenia Dom Wszystkich Polska; ma wystartować z listy Europy Plus).

Sojusz ciągle namawia do startu z Warmińsko-Mazurskiego Włodzimierza Cimoszewicza, ale ten się ciągle waha.

– Był taki pomysł, by sam Leszek Miller wystartował z Łodzi, ale przy rosnących notowaniach SLD ten pomysł upadł. Po sondażach, w których wyszło, że więcej ludzi widziałoby w fotelu premiera Millera, a nie Tuska, Leszek już nie odpuści – mówi nam polityk SLD.

– W wyborach do europarlamentu liczy się twardy, zdyscyplinowany elektorat. Dlatego mamy szanse na bardzo dobry wynik – uważa Tomasz Kalita.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

KOMENTARZ

ATAK PAWŁOWICZ NA KULT MARYJNY

JAROSŁAW KURSKI (GAZETA WYBORCZA)

Posłanka PiS Krystyna Pawłowicz, nazywając flagę Unii Europejskiej „szmatą", obraziła uczucia religijne milionów Polaków.

Wiadomo, że flaga UE powstała z inspiracji chrześcijańskiej. Błękit i złote pięcioramienne gwiazdy pochodzą wprost z woalu Matki Boskiej. Dwanaście gwiazd to referencja do dwunastu apostołów. Autorem projektu przyjętego był Arsene Heitz z Alzacji. W jego zamyśle europejska flaga była sztandarem Maryi, do której Kościół odnosi słowa biblijnej Księgi *A*pokalipsy św. Jana: „Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu". Na dodatek Komitet Ministrów Rady Europy zatwierdził flagę jednogłośnie 8 grudnia 1955 roku, w dniu Święta Niepokalanego Poczęcia NMP. Przed głosowaniem w Komitecie Ministrów Robert Schuman i Konrad Adenauer modlili się w katedrze w Strasburgu przed figurą Niepokalanej w koronie

złożonej z dwunastu gwiazd. Pierwszym gmachem publicznym, na którym zawisła owa „szmata”, był budynek strasburskiej katedry.

Tego wszystkiego dowiedzieć się można bez trudu z materiałów KAI, oficjalnej agencji prasowej polskiego Episkopatu. Nie może się więc zasłaniać ignorancją Krystyna Pawłowicz, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. O co więc jej chodzi? To przecież jawny atak na kult maryjny w Polsce, na patronkę rozgłośni ojca Tadeusza Rydzyka, na chrześcijańskie korzenie Europy.

Naprawdę martwię się o panią Krystynę Pawłowicz.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

W OBRONIE OJCA WIŚNIEWSKIEGO. POLEMIKA Z BISKUPEM DYDYCZEM

Nie ma co tupać nogami

TOMASZ DOSTATNI*(DOMINIKANIN)

Odpowiedź bp. Pacyfika Dydycza, kapucyna, („Niedziela”, 24 listopada) na krytykę hierarchów zawartą w słynnym już tekście dominikanina ojca Ludwika Wiśniewskiego („Tygodnik Powszechny”, 3 i 10 marca) jest wydarzeniem nowym i ciągle bezprecedensowym w polskim Kościele. Tuż po publikacji legendarnego duszpasterza akademickiego wsparli wypowiedziami m.in.: prymas senior abp Henryk Muszyński, obecny prymas abp Józef Kowalczyk, abp Tadeusz Gocłowski i inni.

Teraz polemiczny głos wobec tekstu ojca Ludwika zabrał bp Dydycz. Odnosi się on do stawianych mu zarzutów, lecz jego polemika zawiera wiele nieporozumień. Biskup przedstawia też w niej odmienną wizję Polski, demokracji, roli państwa i roli Kościoła.

1.

Widać, że biskup nie jest przyzwyczajony do zwykłego pluralizmu poglądów, bo krytykę i niewygodne pytania natychmiast odbiera jako atak: „... wydaje się być atakiem skierowanym również w moją stronę”. To mnie dziwi, wydawałoby się, że biskup nie powinien adwersarza traktować jako wroga. Warto tutaj przypomnieć zasadę, że jeśli ktoś jest inny, ma inne poglądy, to nie znaczy, że jest zły. I że ja jestem lepszy od niego. Własna wyższość moralna eksponowana publicznie trochę nie przystoi biskupowi i zakonnikowi.

2.

Wizja Polski. Biskup swoje poglądy uzasadnia tezą, że istnieje dwóch ojców Ludwików. Ten dawny – „szermierz sprawiedliwości,

prawdy, uczciwości", i ten dzisiejszy – zupełnie pogubiony. Bp Dydycz dziwi się, że dzisiejszy o. Ludwik nie dostrzega różnych rzeczy – a przecież: autostrady są źle budowane, stadiony to czyste marnotrawstwo, robotnicy muszą szukać pracy za granicą, a prawicowe petycje w obronie wolności prasy nie są pozbawione sensu. Szkoda, że biskup patrzy na zmiany tylko w kategoriach zła, a ani słowem nie wspomni o dobru, które się dokonuje w kraju, wokół nas. Abp Budzik, mój biskup, widzi to inaczej, w ostatnich dniach zwrócił na to uwagę: „Chodzi o to, aby nie koncentrować się na walce i krytyce negatywnych zjawisk, ale także ukazywać pozytywnie piękno i głębię chrześcijańskiego humanizmu". I wydaje się, że to jest bliższe Ewangelii.

3.

Wizja demokracji. Bp Dydycz twierdzi: „najwyższe władze Rzeczypospolitej są chore, a Sejm powinien być rozwiązany". Kiedy o. Ludwik twierdzi, że tak mówić nie można, biskup odpowiada w ten sposób: „Przecież to wszystko jest skorumpowane, chore. Prymat interesów partii nad wszystkim jest nie do pogodzenia z demokracją. Chyba ojciec ma jakąś inną wizję demokracji".

I tutaj mijają się wyraźnie sposoby patrzenia na demokrację, w której żyjemy. Warto wizję bp. Dydycza przytoczyć obszerniej: „Fatalne gospodarowanie zasobami państwa. Zadłużenie do granic ostateczności. Frymarczenie państwowymi funduszami dla kaprysów niemal »arystokratycznych«. Duża liczba samobójstw i śmierci z »nieznanych przyczyn« w sferach najwyższych. To są tragedie. A Sejm powinien się rozwiązać, gdyż dyscyplina partyjna przekreśla możność prawdziwej odnowy państwa. Przy takim sposobie funkcjonowania Sejmu można bez strat zlikwidować istnienie i wybieranie posłów. Wystarczy tyle posłów, ile partii otrzyma mandaty. Każdy z tych posłów ma wizytówkę z liczbą procent głosów, jakie jego partia otrzymała. Niech dysponując procentami, tym głosuje. Można jeszcze dodać ekspertów".

Uff… Papier wiele wytrzyma. Życzę szczęścia w realizowaniu takiej wizji. Ale wolałbym nie żyć w takim państwie. Dziwny model demokracji chce nam zafundować biskup. Może lepiej nie wypowiadać się w kwestiach, o których się nie ma pojęcia.

4.

I są jeszcze inne mocne słowa biskupa: że nasz kraj to „imperium kłamstwa", „dżungla obyczajowa", „pustynia duchowa" – ocenę tej oceny pozostawiam czytelnikom.

5.

Bp Dydycz zarzuca o. Ludwikowi, że tytuł jego tekstu „Kto niszczy polski Kościół" świadczy o autorze: „Trzeba mieć wyjątkową pewność siebie, aby tak sformułować tytuł wypowiedzi, w której obok wielu wspaniałych ludzi zostałem zaliczony do jakoby niszczycieli Kościoła". A przecież o. Ludwik dwukrotnie poinformował publicznie, najpierw w „Tygodniku Powszechnym", potem w „Gościu Niedzielnym", że tytuł pochodził od redakcji. Jego własny brzmiał: „Gdzie my jesteśmy?". Szkoda, że biskup pominął te fakty. I bezpardonowo skrytykował autora. A przecież jego surowa ocena opiera się – przychylnie patrząc – na nieporozumieniu.

6.

Bp Dydycz wypomina też adwersarzowi, że podał błędną datę odprawianej na placu Trzech Krzyży w Warszawie mszy, która była początkiem antyrządowej i antyprezydenckiej manifestacji. Próbując na tej pomyłce budować swoje tezy, sam myli datę. Z 13 kwietnia robi 13 marca. Biskup, przyłapawszy o. Ludwika na błędzie, znowu ostro stwierdza: „Przepraszam za korektę, ale prawda jest prawdą". Tak, księże biskupie, kto datą wojuje, od daty ginie. Powtórzę więc te same święte słowa: „Przepraszam za korektę, ale prawda jest prawdą".

7.

Insynuacja. Biskup stawia zarzut, że tekst ukazał się w czasie, gdy Kościół modlił się o nowego papieża. Więc rozumiem, że czas nie był godny. Tylko to, iż był złożony w redakcji przed ogłoszeniem przez Benedykta XVI rezygnacji, nie przychodzi biskupowi do głowy. Gdybym szedł tym tokiem myślenia, mógłbym zapytać, dlaczego bp Dydycz tekst – w odpowiedzi o. Wiśniewskiemu – publikuje po wielu miesiącach, właśnie w weekend, gdy o. Ludwik odbiera wyróżnienie Nagrody Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego – za krytykowany przez biskupa tekst z „Tygodnika". Przecież takie myślenie jest absurdalne i do niczego nie prowadzi. No, chyba że ma potwierdzić spiskową teorię dziejów.

***

Ojciec Ludwik na początku swego tekstu jasno deklaruje: „Sprzeciwiam się wtapianiu Eucharystii, krzyża, religii w akcje ściśle polityczne. Sprzeciwiam się manipulowaniu żarliwością religijną". Bp Dydyczowi chyba obce jest takie myślenie, skoro przewodniczył mszy w obronie Telewizji Trwam, od której zaczynała się manifestacja antyrządowa. To jest właśnie manipulowanie emocjami religijnym w partyjnym celu. To jest właśnie to, czemu sprzeciwia się o. Wiśniewski. Zrozumieli to inni biskupi, i żaden nie przewodniczył następnej takiej spolityzowanej mszy.

Bp Dydycz tak tłumaczy się ze swoich politycznych kazań: „przecież ja nie mówię nic innego niż Jan Paweł II czy Piotr Skarga". Gdy to słyszę, przypomina mi się powiedzenie: „Mozart zmarł, Beethoven też nie żyje, a i ja ostatnio nie najlepiej się czuję". Trochę pokory, księże biskupie.

A kiedy w polemice pada zdanie: „Walczyłem o to, aby ojciec [Wiśniewski] mógł mieć własny sąd" – to ręce dosłownie opadają. Wiem, dziś mówi się, że wszyscy księża walczyli z komuną, każdy był odważny i bezkompromisowy, tylko pytam, dlaczego tacy duszpasterze jak o. Ludwik byli wtedy tak bardzo samotni. W Kościele i w zakonie także. Cenię sobie odwiedzanie

internowanych, o którym wspomina ksiądz biskup, ale to jest nakaz Ewangelii (więźniów odwiedzać), a nie przejaw walki o wolność.

***

Różne są twarze Polski. Mój inny współbrat zakonny Maciej Zięba, analizując pojęcie polskości, przypomina, że polskość – w jednym z ujęć – ma też swoją „brzydką gębę: zawiści i ksenofobii polanej prostackim osądem i narodową megalomanią". Brońmy się przed taką polskością.

Bp. Dydyczowi proponowałbym przemyśleć słowa śp. ks. Romana Indrzejczyka: „Jestem przeciw ciasnocie, oburzaniu się, potępianiu świata. Z wieloma sprawami się nie zgadzam, to jasne, ale uważam, że nie ma co tupać nogami. Nie można obrażać się na tych, co atakują ludzi Kościoła, bo często naprawdę mają za co. A nasze zachowania są często niezręczne".

Księże biskupie, mam nadzieję, że przynajmniej z tym ostatnim ksiądz się zgodzi.

_____

***Tomasz Dostatni – dominikanin, publicysta, prowadzi fundację Ponad Granicami, w Polskiej Prowincji Dominikanów promotor Iustitia et Pax**

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

POLEMIKA Z PROF. ŚRODĄ O EKSCESACH NA UCZELNIACH

Dyskusje naukowe i nienaukowe

PAWEŁ WROŃSKI (GAZETA WYBORCZA)

Pytam zwolenników „wymiany poglądów", którym nie mogą przejść przez usta słowa potępienia dotyczące zakłócenia wykładu ks. prof. Pawła Bortkiewicza o ideologii gender w Poznaniu: czym to

się różni od wywołania burdy przez Narodowe Odrodzenie Polski na wykładzie Zygmunta Baumana we Wrocławiu? Mam, niestety, wrażenie, że mianownik obu wydarzeń jest podobny.

Owszem, zaangażowane strony znajdą multum argumentów, które pozwolą im uznać, że oba przypadki są z gruntu inne. Wcześniej czy później argumenty sprowadzą się do twierdzenia, że poglądy jednego naukowca są zgodne z naszymi, a poglądy innego nie. Albo że życiorys jednego z naukowców jest czysty niczym kryształ, a na biografii innego można znaleźć skazy.

Z tego punktu widzenia oceniani są też protestujący. Ci, którzy protestowali przeciwko Baumanowi, to albo agresywni kibole dla jednych, albo oburzeni patrioci dla drugich. Studentów, którym nie podobał się wykład o gender, można określić jako przeciwników homofobii lub „homoterrorystów".

Prof. Magdalena Środa, która sama miała do czynienia z demonstrantami próbującymi zakłócić jej wykład, w środowym felietonie w „Gazecie" przedstawia jeszcze jeden argument. Zastrzegając, że uczelnie nie powinny być miejscem ekscesów i burd, stwierdziła, że aby dyskusja mogła się odbyć, powinna mieć „charakter naukowy". „Trudno sobie wyobrazić, aby dziś na uczelniach przeprowadzano wykłady z kreacjonizmu, teorii flogistonu, demonologii i egzorcyzmów zaawansowanych" – pisze. A szkodliwość wykładu ks. Bortkiewicza polega dodatkowo na tym, że jest elementem nagonki na gałąź humanistyki, jaką są gender studies.

Podobne argumenty przed wykładem wyraziła pokaźna grupa poznańskich naukowców protestująca wobec zaproszenia ks. prof. Bortkiewicza. Przyznaję, jest to argument. Jednak oddzielanie tego, co naukowe, od tego, co nienaukowe, jest trudne. Np. na niektórych amerykańskich uczelniach właśnie można wysłuchać wykładów o kreacjonizmie. Nauka jest wielkim cmentarzyskiem teorii, które niedawno były „naukowe" i „niepodważalne". Dodatkowo trudno a

priori przed wykładem uznać czyjeś poglądy za nienaukowe. One dopiero po wykładzie mogą się stać „nienaukowe" – w wyniku dyskusji. Do takiej na poznańskim Uniwersytecie Ekonomicznym nie doszło.

Wykład ks. prof. Bortkiewicza „Gender – dewastacja człowieka i rodziny" miał jeszcze jeden walor poznawczy. Środowisko naukowe Poznania miałoby szanse poznania gender – bytu, który stał się ważnym elementem ideologii prezentowanej przez Kościół. Bytu, z którego precyzyjnym zdefiniowaniem ma kłopoty przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Józef Michalik i cały Kościół. Być może dzięki dziekanowi Wydziału Teologicznego UAM prof. Bortkiewiczowi moglibyśmy się dowiedzieć, czymże jest ów szatan nowych czasów, który zagraża cywilizacji. Wszak dopiero po ustaleniu, o czym w ogóle mówimy, używając słowa „gender", z jakiej literatury korzystamy i jakim dysponujemy systemem pojęciowym, można w ogóle podjąć dyskusję.

Nie pierwszy raz starcie ideologiczne przenosi się na sale wykładowe, ale szczególnie naukowcy (jak prof. Środa) nie powinni w żaden sposób usprawiedliwiać sytuacji, w której argument siły konfrontuje się z siłą argumentów.

Ks. prof. Bortkiewicz po wykładzie powiedział dla KAI, że z „genderhołotą się nie dyskutuje". Jak wynika z notki w Wikipedii, jego rozprawa habilitacyjna nosiła tytuł: „Zachowanie wartości moralnych w sytuacjach granicznych". Zachęcam go więc, aby nawet w tej „sytuacji granicznej" zachował przykazanie miłości bliźniego, do którego zobowiązuje go wiara katolicka. Zachęcam też prof. Środę, aby wobec ks. prof. Bortkiewicza okazała więcej chrześcijańskiego miłosierdzia. I jeśli uważa, że jest zagubiony – pozwoliła mu poprzez dialog znaleźć właściwą ścieżkę.

Jest taka sentencja przypisywana Wolterowi: „Nienawidzę twoich poglądów, ale zrobię wszystko, byś miał prawo je głosić". Zdaję sobie sprawę, że jest to zdanie „nienaukowe", a w ostatnich czasach

zapomniane. Uważam jednak, że mimo wszystko warto się tej maksymy trzymać.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Gry wojenne w Kijowie

Majdan uczy się, jak bez przemocy odpierać ataki milicji. Ale i ona nie sięga po pałki. Na razie?

TOMASZ BIELECKI (KIJÓW)

FOT. AGATA GRZYBOWSKA

Milicyjny kordon napiera na barykadę przed siedzibą związków zawodowych. Choć demonstranci byli przygotowani do obrony budynku, do bezpośredniego ataku wczoraj nie doszło

– Okrągły stół jest na Majdanie. Jak władza chce rozmawiać, to niech tutaj przyjdzie. Zwołujemy wielki protest na ten piątek! – ogłosił wczoraj Jurij Łucenko, współprzywódca Majdanu.

To jego odpowiedź na apel Wiktora Janukowycza, który już po raz drugi wezwał wczoraj do okrągłego stołu wszystkich sił na

Ukrainie. Opozycja węszyła w tym podstęp. Jurij Łucenko tłumaczył, że warunkiem negocjacji z władzą jest dymisja szefa MSW Witalija Zacharczenki. Majdan nadal żąda też odejścia premiera Mykoły Azarowa oskarżanego o spowodowanie zapaści gospodarczej i sabotowanie umowy stowarzyszeniowej z UE.

– Z tego, co usłyszałam od prezydenta Janukowycza, rozumiem, że w ciągu 24 godzin coś powinno być zrobione w celu rozwiązania obecnego kryzysu politycznego – powiedziała wczoraj wieczorem szefowa unijnej dyplomacji Catherine Ashton po drugim już spotkaniu z Janukowyczem w Kijowie.

Ashton spędziła w Kijowie noc z wtorku na środę. Zaledwie kilka godzin po jej wizycie na Majdanie milicja i Berkut zaczęły burzyć barykady wokół placu. To wręcz policzek dla unijnej dyplomacji, ale Ashton – choć nie uchodzi za najwybitniejszego polityka – słynie w Brukseli z niezwykłej odporności psychicznej. I z wyćwiczonej na Bałkanach zdolności do niestrudzonego nękania rozmówców, których Unia wzięła na widelec.

Mediację na Ukrainie zaoferowała Polska, ale po wczorajszych rozmowach Ashton z Janukowyczem i opozycją nieoficjalnie mówiło się przede wszystkim o szefie litewskiej dyplomacji Linasie Linkevičiusie. Litwin być może już dziś, tj. w czwartek, przyleci do Kijowa.

Zostawcie broń!

– Mam na imię Rusłana. Jestem Ukrainką jak wy. Nie atakujcie nas! Prowadzimy tu pokojowy protest! – wołała ze sceny tuż po godzinie pierwszej w nocy z wtorku na środę piosenkarka Rusłana Łyżyczko, gdy milicja i Berkut szykowały się do szturmu. Rusłana każdej nocy przez siedem-osiem godzin śpiewa i rozmawia z tłumem ze sceny.

Gdy emerytowani ukraińscy wojskowi (m.in. weterani Afganistanu), którzy objęli na Majdanie dowodzenie obroną, posłali

w nocy kilka sotni ochotników do dwóch atakowanych barykad, piosenkarka wzywała ludzi, by nie zabierali drewnianych pałek, drągów, metalowych tarcz: – Jestem Rusłana! Słuchajcie mnie, młodzi Ukraińcy. Zostawcie broń! Idźcie nas bronić tak, jak na pokojowy protest przystało.

Ludzie Majdanu istotnie poszli z gołymi rękoma. Gdy dochodziło do kotłowaniny, podnosili ręce do góry, by uniknąć bijatyki. Paradoksalnie z każdą minutą rosło fałszywe wrażenie, że to uliczne starcie jest zupełnie bezpieczne, bo pomimo strasznie nakręconych emocji po pałki nie sięgnął też Berkut. Obie strony po prostu napierały na siebie.

Likwidacja barykady na ulicy Instytuckiej trwała ponad trzy godziny. Najpierw konfrontację próbowało hamować kilkunastu opozycyjnych posłów, którzy żywym łańcuchem przecięli tę ulicę, oraz prawosławny ksiądz z wysoko podniesionym krzyżem. Wspólne modlitwy duchownych prawosławnych (patriarchatu kijowskiego) oraz grekokatolików płynęły też ze sceny Majdanu. Berkut rozepchnął deputowanych.

– Nie prowokujcie ich, bo zaczną bić! – apelowali obrońcy Majdanu, gdy demonstranci próbowali lać zimną wodę na Berkut z mostka nad Instytucką. Milicja wywlekała z tłumu niektórych protestujących, ale większość niemal natychmiast puszczała wolno.

Podczas siłowania się na Instytuckiej było widać, jak bardzo milicja zdołała zinfiltrować sotnie protestujących noszących pomarańczowe kaski. Gdy pojedynczy berkutowcy, którzy zbyt daleko wepchnęli się w tłum opozycji, chcieli się wycofać, niemal natychmiast w ścisku powstawała wąska ścieżka tworzona przez kilkunastu pomarańczowych trzymających się pod ręce i ułatwiających funkcjonariuszom szybki odwrót. Ponad 50-letni mężczyzna w pomarańczowym kasku poklepywał berkutowców po plecach, jakby chciał im powiedzieć: „dobra robota”.

W miejsca, z których mundurowi wyparli demonstrantów, natychmiast wpadali robotnicy z piłami – deska po desce rozmontowywali barykadę, rozcinali jej metalowe części. W tym samym czasie spycharki zniszczyły jedną z barykad na Chreszczatyku przy Majdanie, a potem tajemniczy cywile błyskawicznie zburzyli kilka stojących obok niej namiotów.

Jak chronić głowę przed pałkami

– Nie panikujemy! Tańczymy! Muzyka! – krzyczała Rusłana do ludzi przed sceną na środku Majdanu, gdy Berkut nad ranem podszedł na odległość stu metrów do głównego miasteczka namiotowego. Demonstranci skakali i podrygiwali wspólnie z Rusłaną, gdy milicja rzuciła świece dymne pod budynkiem związków zawodowych, który służy teraz za kwaterę Sztabu Sprzeciwu Narodowego. Obrońcy budynku już taszczyli butle z oliwą, by lać ją na schodach i utrudnić szturm, ale do niego nie doszło. Na strachu skończyło się też w magistracie, który służy za noclegownię demonstrantów.

– Władze nie muszą działać pod przykryciem nocy, by rozpocząć dialog ze społeczeństwem – mówiła w reakcji na te wydarzenia Catherine Ashton.

Ostatecznie w nocy z wtorku na środę nie doszło do szturmu na główne miasteczko namiotowe demonstrantów oraz scenę Majdanu. Z pomocy szpitalnej musiało skorzystać 15 obrońców barykad. – Wygraliśmy! Siła narodu zwycięża nad bagnetami. Ale nie wykluczam nowego ataku w nocy ze środy na czwartek – ostrzegał wczoraj wieczorem Ołeksandr Turczynow, koordynator Majdanu. A naczelna lekarka Olga Bohomolec uczyła Majdan, jak ratować głowę i najważniejsze organy przed pałkami. – Na kolana i pozycja na embriona. I ręce na głowę! – pokazywała na scenie. Zmarznięci ludzie naśladowali ją przed sceną na śniegu.

Co knuje Janukowycz

Nie wiadomo, dlaczego milicja i Berkut opuściły wczoraj przed południem Majdan i okolice. I dlaczego nie przeszkodziły w odbudowaniu barykad zburzonych w nocy. Po Kijowie krążyło kilka sprzecznych interpretacji, a ukraińscy eksperci – w obawie, że ich spekulacje zdezaktualizują się już po paru godzinach – nabrali wody w usta.

Wedle jednej z hipotez Janukowycz chciał pokazać opozycji, kto rządzi w Kijowie, i upokorzyć ją przed negocjacjami. Inna wersja mówi, że podsycane w Kijowie napięcie miałoby być argumentem w rozmowach z Kremlem, że naród ukraiński nie zgodzi się na forsowaną przez Moskwę unię celną. W najbardziej pesymistycznej interpretacji niszczenie barykad było zaledwie próbą generalną przez zajęciem całego Majdanu.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Niech Europa zniesie wizy dla Ukraińców

PAWEŁ WROŃSKI

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI

_____

ROZMOWA Z

Pawłem Kowalem

eurodeputowanym partii Polska Razem, b. wiceministrem spraw zagranicznych, znawcą Ukrainy

_____

PAWEŁ WROŃSKI: Najpierw milicja naciera na demonstrantów, mimo że w Kijowie gości szefowa unijnej dyplomacji Catherine Ashton, a potem nagle funkcjonariusze się wycofują. O co tu chodzi?

PAWEŁ KOWAL: Najpewniej jest to jakaś gra wewnątrz aparatu władzy, która ma pozwolić prezydentowi wyjść z coraz trudniejszej sytuacji. Na wszystkich formalnych i nieformalnych spotkaniach, w których uczestniczyłem, politycy unijni pozytywnie oceniali fakt, że Ashton ponownie spotkała się wczoraj z Janukowyczem, choć mogła się czuć urażona tym, co zaszło w nocy. Dobrze przyjęto też zdecydowaną reakcję sekretarza stanu Johna Kerry'ego oraz polskiego MSZ, potępiającą nocną akcję milicji. Po raz pierwszy kontrakcja społeczności międzynarodowej wobec tego, co się działo na Ukrainie, była zgodna i jednomyślna.

Upada koncepcja okrągłego stołu władzy i opozycji. My, Polacy, jesteśmy do tego mebla bardzo przywiązani i widzimy w nim uniwersalny sposób rozwiązywania konfliktu, ale środowiska unijne coraz bardziej nabierają przekonania, że ta inicjatywa – przy niedookreśleniu reguł, celów i składu uczestników – najbardziej będzie służyć rządzącym. Władza zyska czas na konsolidację i sprawi, że protest ugrzęźnie w niekonkluzywnych dyskusjach. Ale nie można zerwać dialogu z władzą.

Najważniejsze jest to, co może nastąpić już w najbliższych tygodniach – czyli katastrofa ekonomiczna i bankructwo Ukrainy. Całkowite załamanie może mieć skutki polityczne. Premier Mykoła Azarow zdaje sobie sprawę z sytuacji i usiłuje winę za to zrzucić na protestujących na Majdanie.

Dla wizerunku Unii na Ukrainie istotne jest więc, by społeczeństwo wiedziało, że może liczyć na pomoc Brukseli. Konieczne jest przygotowanie doraźnego pakietu dla gospodarki, który pomoże uniknąć katastrofy. Stara się to zrobić komisarz ds. rozszerzenia i

polityki sąsiedztwa Stefan Füle. W grę wchodzą kredyty z unijnych instytucji finansowych i banków. Nie znam szczegółów, ale wiem, że taki pakiet jest przygotowywany.

To trochę dziwna sytuacja. Janukowycz nie podpisze umowy stowarzyszeniowej i zostanie za to nagrodzony kolejnymi zastrzykami gotówki.

– Zbliżające się bankructwo jest faktem niezależnie od podpisania czy niepodpisania umowy stowarzyszeniowej. Ta pomoc nie ma charakteru bezwarunkowego – mają być wskazane obszary reform, szczególnie w polityce energetycznej. Wizerunkowi Unii przysłużyłoby się też zniesienie wiz dla Ukraińców...

Oręduje za tym polska dyplomacja, ale poparcie w UE jest niewielkie.

– Logika biurokratyczna podpowiada, że Ukraina nie spełnia warunków. To prawda, ale jest też logika polityczna. Jeśli coraz bardziej widać, że władza zamyka się albo dąży do osłabienia relacji z Unią, trzeba dążyć do tego, by UE otworzyła się na społeczeństwo ukraińskie. Nie chodzi o to, aby wizy skasować od razu, ale żeby dać realną perspektywę. Na przykład rok. Nie chodzi przecież o zniesienie kontroli na granicach, tylko wiz.

Bałkany Zachodnie dostarczają przykładu, jak pozytywne skutki może to przynieść. Dlaczego nie mielibyśmy tego eksperymentu powtórzyć? Ci ludzie, którzy teraz stoją na Majdanie, powinni mieć nadzieję. Mamy wybór: albo Ukraina będzie zbliżać się do Unii, albo do Białorusi.

Ze strony polskich polityków, szczególnie Jarosława Kaczyńskiego, ale także Grzegorza Schetyny, płynie postulat wprowadzenia sankcji – personalnych, wizowych...

– To jest broń obosieczna, bo w ten sposób tracimy też możliwość prowadzenia dialogu z władzą w Kijowie. Wówczas ona – wcześniej czy później – ucieknie się do represji. Polityka sankcji skazuje Ukrainę na los Białorusi, wobec której przez lata stosowano sankcje i w efekcie dziś już nie ma tam opozycji.

Aleksander Kwaśniewski, który dotąd był zwolennikiem utrzymania dialogu z Wiktorem Janukowyczem, stracił doń zaufanie. Twierdzi, że wszystko, co robi ukraiński prezydent, to gra.

– Nikt jednak nie zdejmie z unijnej dyplomacji obowiązku uczestnictwa w tej grze. Co oczywiście nie oznacza, że Unia powinna przyjmować takie warunki tej gry, jakie proponuje Janukowycz. Na przykład politycy unijni nie powinni na siłę zgłaszać się do roli pośredników.

Po tym, co się stało, Unia powinna zrewidować politykę wobec Ukrainy. Powinna uwzględnić mniejszą, niż sądziliśmy, stabilność tego państwa. Przecież większości z nas nie mieściło się w głowie, że wobec gróźb Rosji Kijów może o 180 stopni zmienić kierunek polityki zagranicznej.

A jak pan ocenia Janukowycza?

– Każdy z polityków postsowieckich w mniejszym lub większym stopniu chce być Putinem. Niestety, z powodu słabości ekonomicznej państwa najczęściej staje się Łukaszenką. Czego oczywiście nie życzę ani samemu Janukowyczowi, ani narodowi ukraińskiemu.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ WROŃSKI

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Niemieckie szpitale dostały zadyszki

Co drugi ma długi, co czwartemu grozi plajta. Lekarze straszą poważnym kryzysem i apelują, by zmienić system finansowania służby zdrowia. Politycy wzruszają ramionami

Czarny scenariusz spełnia się właśnie w Salzhausen, 5-tysięcznej miejscowości pod Hamburgiem.

Tamtejszy szpital złożył wniosek o ogłoszenie upadłości już rok temu. To mała placówka. Na kilku oddziałach – m.in. internie, chirurgii, urologii, ortopedii – pacjenci mają 75 łóżek. Pracuje tam 200 osób. Jeszcze niedawno prasa pisała, że takich warunków jak w Salzhausen nie oferuje żaden szpital w okolicy. Małe sale, korytarze pachnące świeżą farbą, personel na skinięcie palca. Kilka lat temu na remont sal operacyjnych wydano 6 mln euro.

Jednak rok temu szpital miał pół miliona euro długu, z którym nie potrafił sobie poradzić. Po wyznaczeniu syndyka sytuacja wcale się nie poprawiła. Dług urósł o kolejne 200 tys. euro, a pracownicy nie dostają wypłat.

Co gorsza, do biur wkroczyli ostatnio policjanci z nakazem rewizji i wynieśli 300 tomów dokumentów. Prokuratorzy podejrzewają oszustwa na dużą skalę. Placówka brała pieniądze od kas chorych za leczenie pacjentów w poradni, tyle że przyjmował ich lekarz na szpitalnym oddziale. Szpital wystawiał wówczas podwójne rachunki.

Teraz mieszkańcy Salzhausen założyli stowarzyszenie i zbierają pieniądze na rzecz szpitala. Walkę o placówkę obiecują też lokalni politycy. Ale ratunek stoi pod coraz większym znakiem zapytania...

Bez zastrzyku gotówki zginiemy

Problemy dotyczą nie tylko prowincji. Za dwa lata niewypłacalna będzie miejska klinika w Monachium, w skład której wchodzą cztery duże szpitale metropolii. Rok temu władze bawarskiej stolicy przelały na jej konta 200 mln euro, ale nie przyniosło to spodziewanych efektów. Co miesiąc szpitale przynoszą 6 mln euro straty. W liczącym 1,3 mln mieszkańców Monachium też brakuje

pacjentów, w klinice są zajęte jedynie dwie trzecie łóżek. A ponieważ szpitale działają w zabytkowych budynkach, remonty są droższe i bardziej czasochłonne.

– Potrzebujemy zastrzyku gotówki, inaczej zginiemy – alarmują menedżerowie kliniki.

W Offenbach miasto miało ze szpitalem podobny problem. By nie dopuścić do bankructwa i zwolnienia 2,3 tys. pracowników, sprzedało go za symboliczne euro prywatnemu inwestorowi. Czy uda mu się uratować szpital istniejący od 150 lat? Nie wiadomo.

Salzhausen i Monachium to nie wyjątki. Eksperci Nadreńsko-Westfalskiego Instytutu Badań nad Gospodarką wyliczyli, że w Niemczech, gdzie działa 2045 szpitali, plajtą zagrożony jest co czwarty. W co dziesiątym przypadku bankructwo jest bardzo prawdopodobne. Na minusie jest zaś ponad połowa. Reszta osiąga gorsze wyniki finansowe niż w poprzednich latach, co przyznają sami szpitalni menedżerowie.

Co gorsza, choć Niemcy na ochronę zdrowia wydają coraz więcej – najnowsze dane z 2011 r. mówią o 300 mld euro – szpitalom wiedzie się coraz gorzej. Dwa lata temu bankructwem zagrożony był tylko co szósty.

Za dużo, za drogo

Okazuje się, że w kraju działa za dużo małych szpitali, takich jak ten w Salz-hausen. Co druga placówka, która ma do dyspozycji mniej niż 300 łóżek, ma problemy z utrzymaniem się na powierzchni. Małe prowincjonalne szpitale, z których od dziesięcioleci korzystali mieszkańcy okolicy, zderzyły się z niżem demograficznym. Skoro ubywa mieszkańców, ubywa i pacjentów. A koszty utrzymania nowoczesnej placówki są za wysokie.

Najbardziej widać ten problem na północy Niemiec. W Dolnej Saksonii eksperci wyliczyli, że bez żadnych negatywnych skutków

można by zamknąć co siódmy szpital. Jeśli taki los spotkałby Salzhausen, chorych z miasteczka karetki wiozłyby do odległego o 20 minut Lüneburga.

Jednak likwidacja szpitali to cios w prestiż miejscowości. Dlatego władze bronią swoich lecznic do końca.

Czy rząd pomoże?

Inny problem, jaki trawi służbę zdrowia, to wysokie koszty personalne. Płace pracowników, negocjowane przez związki zawodowe w tzw. układach taryfowych, rosną szybciej niż kontrakty z kasami chorych. W zadłużonej klinice w Monachium 75 proc. kosztów to pensje. W końcu landy, które powinny dopłacać szpitalom do remontów budynków czy zakupu aparatury, regularnie uchylają się od zobowiązań, tłumacząc się pustkami w kasie.

Dobrze radzą sobie za to małe, ale wyspecjalizowane szpitale, np. kliniki zajmujące się wszczepianiem protez stawu biodrowego. Ale wiadomo, że na takich ośrodkach nie może opierać się cała służba zdrowia.

Menedżerowie szpitali od dawna domagają się wsparcia od rządu. Berlin nie ma jednak wiele do zaoferowania. W kwietniu Bundestag przyznał szpitalom 1,1 mld euro pomocy. To jednak kropla w morzu potrzeb. W nowej umowie koalicyjnej rządu CDU i SPD znalazły się zapisy, że te najlepsze powinny być premiowane przez kasy chorych. Nowy rząd chce też bronić placówek na prowincji. Politycy zamierzają również powołać specjalny fundusz o wartości 500 mln euro, z którego finansowano by ich przekształcania np. w domy opieki. Nie wiadomo jednak, co z tych planów wyjdzie.

Lekarze ostrzegają, że jeśli rząd nie pomoże szpitalom, w całym kraju zniknie wiele placówek. Stracą na tym pacjenci.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Urugwaj legalizuje marihuanę

MACIEJ STASIŃSKI

Senat w Montevideo zalegalizował wczoraj uprawę, handel i spożycie marihuany pod kontrolą państwa. To rewolucja w polityce narkotykowej.

Kiedy po 13-godzinnej debacie senat przyjął ustawę stosunkiem głosów 16 do 13, na galerii i przed parlamentem wybuchła radość zwolenników trawki, którzy zaczęli skandować: „Urugwaj, Urugwaj!".

Wcześniej ustawę uchwaliła izba niższa parlamentu, teraz musi ją jeszcze podpisać prezydent José Mujica. To jednak formalność, bo jest on wielkim zwolennikiem legalizacji. W ten sposób Urugwaj stanie się pierwszym państwem na świecie, które w pełni legalizuje marihuanę i reguluje prawem jej uprawę i obrót.

– Celem ustawy jest minimalizacja zagrożeń i szkód używania marihuany oraz nielegalnego narkobiznesu – mówił senator sprawozdawca Roberto Conde. – Kryminalizowanie i karanie okazały się zupełnie nieskuteczne. Musimy próbować innej drogi.

Nowe prawo pozwala wykorzystywać marihuanę w celach naukowych, medycznych, przemysłowych i rozrywkowych. Każde użycie będzie legalne, lecz tylko pod kontrolą państwa. Powstanie instytut regulacji i kontroli marihuany, który będzie wydawał pozwolenia i kontrolował uprawy, zbiory, produkcję, skup i obrót.

Każdy pełnoletni Urugwajczyk ma prawo do uprawy sześciu krzewów konopi indyjskich i produkcji 480 g marihuany rocznie. Legalne także będą kluby użytkowników liczące od 15 do 45 członków, które będą mogły uprawiać do 99 krzewów. Marihuana

będzie sprzedawana legalnie w aptekach i każdy będzie mógł kupić 40 g miesięcznie.

Wszystkie te prawa będą przysługiwać wyłącznie obywatelom kraju, którzy muszą się w tym celu zarejestrować jako użytkownicy lub plantatorzy. Żeby wyeliminować turystykę narkotykową, wyłączeni zostają obcokrajowcy i turyści.

Państwo ma wydawać licencje producentom, którzy będą mogli sprzedawać marihuanę aptekom do użytku medycznego. Zakazane będzie reklamowanie marihuany. Za produkcję i handel bez zezwolenia grozić ma od 20 miesięcy do dziesięciu lat więzienia. Nie wolno będzie palić marihuany w zamkniętych miejscach publicznych, poza wyznaczonymi klubami, podobnie jak tytoniu.

Debata na temat legalizacji trwała półtora roku. Większość opinii publicznej wciąż nie jest do niej przekonana. Stosowanie marihuany do celów medycznych popiera wprawdzie 74 proc. Urugwajczyków, ale legalizacji użytku rekreacyjnego sprzeciwia się 61 proc. z nich.

– Nowe prawo wprowadzamy jako eksperyment. Zobaczymy, co on przyniesie – zapowiedział prezydent José Mujica.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Władza każe obciąć ceny

W Wenezueli trwa wojna. Ekonomiczna. Prezydent Maduro nie spocznie, póki nie wyruguje wszelkich przejawów kapitalizmu

TOMASZ SURDEL (CARACAS)

FOT. CARLOS GARCIA RAWLINS/REUTERS

Obniżki sprawiły, że Wenezuelczycy co dzień ustawiają się w kolejkach. W wielu miejscach porządku musiała pilnować policja – jak pod tym sklepem w Caracas

Kilka tygodni temu prezydent postanowił, że marża sprzedawców nie może przekraczać 30 proc. Tym, którzy przekroczą limit, zagroził więzieniem. W teren ruszyły komisje sprawdzające księgowość sklepów i nakazujące obniżki, nawet o 60 proc.

– Do mnie też przyszła komisja z rządowego Instytutu Obrony Osób w Dostępie do Dóbr i Usług, by obniżać ceny. Musiałem zapłacić prawie 10 tys. dol. łapówki, żeby podpisali protokół stwierdzający, że moje marże są zgodne z wolą prezydenta – opowiada Miguel, właściciel sklepu ze sprzętem turystycznym w Caracas. – Bo oczywiście nie są. Nie mogą być.

Przeczekać czy dać w łapę?

– To jest wojna! Wojna sojuszu obywatelsko-wojskowego z kapitalistycznymi spekulantami. Wygramy ją! – oświadczył prezydent Maduro.

Na wieść o obniżkach ludzie masowo urywali się z pracy, by coś okazyjnie kupić. Pod wieloma sklepami od świtu ustawiały się gigantyczne kolejki po towary za pół ceny, zwłaszcza po elektronikę i artykuły gospodarstwa domowego. Niektórzy chcieli po prostu zdobyć wymarzoną konsolę lub telewizor plazmowy, inni zwietrzyli szansę na niezły interes.

– Od tygodnia jeżdżę po sklepach w Caracas i skupuję elektronikę. Niektóre rzeczy są tańsze niż w Stanach! Przecież jak ten cyrk się skończy, ceny muszą wrócić do normy. I wtedy wszystko sprzedam z zyskiem – tłumaczył mi Carlos, student medycyny, pakując do dżipa dwa kartony z monitorami komputerowymi.

– To, że właściciel sklepu może sprzedać towar tylko o 30 proc. drożej, niż sam kupił, jest zmuszaniem do bankructwa! Przecież w Wenezueli mamy ponad 50-procentową inflację! – denerwuje się Miguel ze sklepu turystycznego.

– Popatrz na ten plecak: u producenta płacę zań 85 dol., do tego koszty transportu, cło, łapówki dla urzędników portowych. W sumie wychodzi prawie 100 dol. Do tych po oficjalnym kursie dostępu nie mam, więc zostaje czarny rynek. Plecaki sprowadziłem na początku roku, gdy za dolara płaciłem 20 boliwarów. Czyli plecak kosztował mnie 2500 boliwarów. Stosując się do życzenia prezydenta, musiałbym go sprzedawać za góra 3250 boliwarów. Ale dziś na czarnym rynku dostanę za tę kwotę już tylko 55 dol. Dlatego plecak kosztuje 8500 – tłumaczy swoją niesubordynację Miguel.

Dla wielu sklepów, zwłaszcza tych mniejszych, nakaz drastycznego obniżenia cen to wyrok śmierci. Dlatego niektórzy właściciele prewencyjnie pozamykali biznesy, a pracowników wysłali na urlop w nadziei na przeczekanie kampanii. Innym – tak jak Miguelowi – udało się zapłacić łapówki kontrolerom. Były też rękoczyny, próby pobicia i niewpuszczania cenowych komisji, i to często nie przez właścicieli, ale przez sprzedawców bojących się o swoje miejsca pracy.

Czy po wyborach odpuszczą?

Handlowcy mają nadzieję, że cenowa wojna lada moment się zakończy. Że były to po prostu przedwyborcze igrzyska.

W minioną niedzielę Wenezuelczycy wybierali bowiem władze lokalne, czyli burmistrzów i rady gminne. Opozycja chciała zrobić z wyborów plebiscyt niepopularności rządu. Pokazać, że ma poparcie większości. Jeszcze w połowie listopada sondaże wskazywały, że może jej się to udać. Ale wtedy właśnie prezydent ogłosił wojnę cenową. I ludzie – zamiast narzekać, że nie mogą dostać papieru toaletowego, masła, mleka i mąki, które rzeczywiście od miesięcy są rzadkością na sklepowych półkach – zaczęli świętować zdobycie mikserów, lodówek, pralek czy drukarek za pół ceny.

– To zadziałało. W ciągu dwóch tygodni ocena prezydenta i rządzącej Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Wenezueli wzrosła o ponad 5 proc. – tłumaczy Luis Vicente Leon z instytutu sondażowego Datanalisis.

Rządowych kandydatów na burmistrzów poparło ponad 49 proc. głosujących, a opozycję niespełna 43 proc.

Czy teraz cenowe igrzyska rzeczywiście się zakończą? Nie wiadomo.

– Będziemy pogłębiać rewolucję. W styczniu przejdziemy do niszczącej ofensywy wobec kapitalistów i faszystowskiej burżuazji – zapowiedział prezydent po ogłoszeniu wyników.

Ministerstwo Szczęścia Ludu

W blisko 30-milionowej Wenezueli od ponad 14 lat trwa polityczno-gospodarczy eksperyment nazwany przez zmarłego w tym roku prezydenta Hugo Cháveza rewolucją boliwariańską, mający zbudować w kraju socjalizm XXI wieku. Pomóc w realizacji tego celu ma m.in. coraz bardziej centralnie sterowana gospodarka, liczne nacjonalizacje przedsiębiorstw i majątków ziemskich oraz rządowe „misje", czyli programy socjalne.

Rezultaty są opłakane. Kraj gnębi inflacja, która przekroczyła już 50 proc., najwyższa na kontynencie przestępczość i wszechobecna korupcja. Prezydent Maduro – kierowca autobusu, który przez wiele lat był szefem dyplomacji w rządzie Hugo Cháveza i którego on sam namaścił na swego następcę krótko przed śmiercią – od wielu miesięcy boryka się z kryzysem gospodarczym, jakiego rewolucja boliwariańska jeszcze nie widziała. Podstawowe towary – mąka, cukier, mleko, papier toaletowy – stały się takimi rarytasami, że ich pojawienie się w sklepach często powoduje bijatyki wśród kupujących. Nie pomogło nawet niedawne utworzenie Ministerstwa ds. Najwyższego Szczęścia Ludu Wenezueli. Ani to, że kraj należy do największych eksporterów ropy naftowej. Szacuje się, że do państwowych kas wpłynęło z tego tytułu w ciągu ostatnich 14 lat ponad 700 mld dol.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

USA na totalnym podsłuchu

MARIUSZ ZAWADZKI (WASZYNGTON)

Już nie tylko potężny państwowy wywiad elektroniczny, ale nawet lokalna amerykańska policja inwigiluje obywateli USA, stosując metody, o jakich nie śniło się filozofom.

Wyniki śledztwa, które przeprowadził dziennik „USA Today", są w pewnym sensie bardziej szokujące niż wszystko, czego dowiedzieliśmy się dotąd o amerykańskim Wielkim Bracie. Przynajmniej dla samych Amerykanów. Oto okazuje się, że lokalna policja stosuje metody inwigilacji bardzo podobne to tych, które na skalę globalną wykorzystuje NSA, czyli amerykański wywiad elektroniczny. W dodatku ich koszt jest zdumiewająco mały.

Wystarczy zaledwie 400 tys. dol., by kupić urządzenie podsłuchowe o nazwie Stingray. Ma wielkość walizki i podszywa się pod wieże (przekaźniki) sieci komórkowych. Wszystkie telefony w promieniu blisko mili dają się nabrać i przesyłają do tej fałszywej wieży SMS-y i rozmowy telefoniczne swoich właścicieli. Policjanci śledzący podejrzanego lub grupę podejrzanych mogą w czasie rzeczywistym słuchać i czytać wszystko, co przechodzi przez ich komórki. Ze względu na niewielkie rozmiary Stingray można schować w radiowozie policyjnym.

W wielu stanach policjanci mają łatwy dostęp do danych z wież sieci komórkowych i mogą śledzić podejrzanych w sensie dosłownym – tzn. obserwować na żywo, gdzie się znajdują, przemieszczają itd. Nawet wtedy, kiedy nie używają telefonów, a jedynie mają je w kieszeni.

Ktoś może powiedzieć, że to żadna rewelacja, bo każdy może sobie ściągnąć na komórkę aplikacje pokazujące miejsce pobytu dziecka czy ukochanego. Ale osoby te muszą wcześniej wyrazić zgodę i generalnie są tego świadome. Fakt, że możemy być śledzeni bez naszej zgody, a nawet wtedy, kiedy nie używamy komórki, dla wielu będzie zaskakujący.

A też wywoła protesty, tak jak np. zdarzyło się w stanie New Jersey. Sześć lat temu policja ścigała tam niejakiego Thomasa Earlsa podejrzanego o włamania do domów. Od sieci T-Mobile, w której miał komórkę, dostała dane z wież przesyłowych – chociaż nie miała nakazu sądowego. Dzięki temu udało się zlokalizować podejrzanego w motelu, w którym został ujęty wraz z łupem.

Earls oskarżył policję o łamanie prawa – uważał, że każdemu posiadaczowi telefonu komórkowego przysługuje prawo do prywatności. W lipcu tego roku stanowy sąd najwyższy przyznał mu rację. Zawyrokował, że właściciele komórek nie zamierzają – przez sam fakt ich posiadania – ogłaszać światu swojego miejsca

pobytu. Pozostaje ono w sferze prywatnej i policja, jeśli chciała je ustalić, powinna była zdobyć sądowy nakaz.

Wyrok dotyczy jednak tylko stanu New Jersey. Co czwarty departament policyjny w 33 stanach, które sprawdzili dziennikarze „USA Today" i lokalnych mediów, ma łatwy dostęp do danych wież transmisyjnych. Urządzenie Stingray posiada 25 departamentów policji, ale w razie potrzeby pożyczane jest innym.

Amerykanie pogodzili się z faktem, że w imię walki z terroryzmem ich połączenia telefoniczne są zapisywane w jakichś odległych, gigantycznych bazach danych zarządzanych przez NSA. Tym bardziej, że nikt tych danych na bieżąco nie ogląda ani nie analizuje – dopóki nie łączą się z podejrzeniem o terroryzm.

Równie łatwo akceptują inwigilację e-maili, którą ma na sumieniu nie tylko NSA, ale i wielcy dostawcy internetu. Wszak Google „przegląda" nasze e-maile i w oparciu o ich treść wyświetla nam takie, a nie inne reklamy. Oczywiście prywatnych listów nie czytają ludzie, tylko automaty wychwytujące słowa kluczowe.

Taka w dużym stopniu „odczłowieczona" inwigilacja jest stosunkowo łatwa do zaakceptowania. Ale co innego, kiedy inwigiluje policjant z lokalnej komendy, koło której codziennie przejeżdża się w drodze do pracy. Pojawia się pytanie: Jaka jest granica? Czy można elektronicznie śledzić wszystkich, którzy byli w okolicy samochodu szeryfa akurat wtedy, gdy ktoś wybił w nim szybę i ukradł pistolet? Jak to zdarzyło się w Karolinie Południowej. Albo czy należało przy pomocy Stingray śledzić ludzi, którzy zamierzali protestować przeciwko międzynarodowej konferencji handlowej? Tak zdarzyło się w Miami.

W wielu przypadkach lokalna policja odmawia ujawnienia, czy i w jakich sprawach używa inwigilacji. Wyjaśnia dziennikarzom, że w ten sposób ułatwiłaby życie przestępcom.

– Nie twierdzę, że nie wolno stosować takich metod, ale zawsze powinni mieć sądowy nakaz – uważa Alan Butler z Electronic Privacy Information Center.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Dobre kino pod choinkę

Ścigaj przestępców i walcz z mafią narkotykową. Przepłyń Pacyfik i przeleć przez Atlantyk. Wybierz się do Paryża i zejdź do piwnicy. Polecamy filmowe DVD na świąteczne prezenty

JACEK SZCZERBA

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W „Zawodowcu” Jean-Paul Belmondo gra francuskiego agenta Josselina Beaumonta, który ma zabić dyktatora fikcyjnego afrykańskiego państwa Malagawi. Muzykę do filmu napisał Ennio Morricone

Służymy radą w pięciu kategoriach. W każdym wypadku są to fabuły niewyświetlane w naszych kinach.

Dla fanów Belmonda

W roku 80. urodzin aktor Jean-Paul Belmondo doczekał się w Polsce boksu z siedmioma filmami, w większości wcześniej u nas niewydanymi. Wszystkie bazują na tym, co stanowiło istotę popularności Bébela (jak nazywają go we Francji): łobuzerskim wdzięku, nadzwyczajnej sprawności fizycznej i całkowitym braku fałszu w nawet najgłupszych zachowaniach.

Przeważają tu filmy sensacyjne (w dwóch obok Belmonda jest jego brazylijska narzeczona Carlos Sottomayor). W „Łowcy" (1976) Philippe'a Labra Bébel gra szpiega ścigającego seryjnego mordercę, w „Zawodowcu" (1981) Georges'a Lautnera (zmarł 22 listopada) – agenta wywiadu, który ma zabić prezydenta afrykańskiego państwa. W „Raptusie" (1983) jest policjantem walczącym z marsylskimi przemytnikami narkotyków, a w innym filmie Jacques'a Deraya – „W imię przyjaźni" (1986) – komisarzem tropiącym mordercę przyjaciela.

Najdowcipniejszy w zestawie jest „Dubler" (1977) Claude'a Zidiego, z Belmondem w dwóch rolach: kaskadera filmowego i homoseksualnego gwiazdora, którego ten pierwszy ma dublować. Kaskaderską partnerkę bohatera odgrywa seksbomba Raquel Welch, natomiast reżyser Claude Chabrol udaje samego siebie.

Na szczególną uwagę zasługują jednak dwa inne tytuły. W „Spadkobiercy" (1972) Labra Belmondo gra Barta Cordella, dziedzica wielkiej fortuny (20. pośród najbogatszych na Zachodzie), który przejmuje przemysłowe imperium po śmierci rodziców ginących w wypadku lotniczym. I sam rychło staje się przedmiotem ataków. Ta zręczna fabuła korzysta z ówczesnej popularności polityczno-sensacyjnych filmów Constantina Costy-Gavrasa, opisujących wstrętne mechanizmy rządzące światem. Ale Cordell też nie jest kryształowy: uwielbia seks w środkach lokomocji i proponuje go

bez ogródek świeżo poznanym kobietom. Gdy taka daje mu w twarz, zaraz jej oddaje.

Za to „Obrońca" (1992) Lautnera (według powieści Georges'a Simenona) traktuje o sławnym adwokacie nazwiskiem Loursat, który po samobójczej śmierci żony przez dziesięć lat osusza piwniczkę z 25 tysiącami butelek wina. Mieszka ze zrzędliwą służącą i atrakcyjną córką Isabelle (Cristina Réali), która wini go za śmierć matki. Ocknie się dopiero wtedy, gdy w jego domu zostanie zastrzelony kolega córki, zapewne diler narkotykowy. Loursat decyduje się bronić przed sądem chłopaka Isabelle, który mógł popełnić ową zbrodnię z zazdrości. Co nie znaczy, że sam przestanie pić. Ta rola była dla Belmonda wyzwaniem, bo Francuzi wciąż pamiętają ekranizację powieści Simenona z 1942 r., w której grał znakomity tragik Raimu.

Dla miłośników przygód

Nominowana do Oscara „Wyprawa Kon-Tiki" (2012) Joachima Roenninga i Espena Sandberga opowiada o legendarnej wyprawie Thora Heyerdahla (Pal Sverre Hagen). W 1947 r. norweski podróżnik starał się udowodnić, że przed 1,5 tys. laty mieszkańcy Ameryki Południowej dopłynęli na tratwach zrobionych z balsy aż do Polinezji. Jak to udowodnił? Sam taką tratwę z jednym żaglem zbudował i z kilkuosobową załogą (plus papuga) pokonał na niej w 101 dni 8 tys. km.

Heyerdahl właściwie był szaleńcem. Nie umiał pływać. Nie chciał, aby bale tratwy związać metalową liną, choć jego kompan, inżynier Watzinger (Anders Baasmo Christiansen) – wcześniej sprzedający w Stanach lodówki – błagał go o to. Heyerdahl odrzucał unowocześnienia, chciał być jak żeglarze sprzed 1,5 tys. lat.

Film wiernie oddaje przeżycia podróżników (sztormy, ataki rekinów, awaria sprzętu radiowego – żeglarze na bieżąco składali relacje, dzięki czemu wyprawą pasjonowały się światowe media), ale opowiada także o kosztach przedsięwzięcia, upokorzeniach, jakie

towarzyszyły opornemu zbieraniu funduszy, i cenie, jaką zapłacili żeglarze. W przypadku Heyerdahla było nią rozstanie z żoną Liv (Agnes Kittelsen) wychowującą ich dwóch synów.

Podczas wyprawy jej uczestnicy kręcili dokument, który w 1951 r. dostał Oscara, więc część kadrów z norweskiej fabuły to jakby fragmenty tamtego dzieła. Współczesny film pewnie by nie powstał, gdyby nie wsparcie brytyjskiego producenta Jeremy'ego Thomasa odpowiedzialnego za wiele filmów Bernarda Bertolucciego. To on zdobył od Heyerdahla prawa do sfilmowania losów tratwy Kon-Tiki.

Dla romantyków

Na miłośników komedii romantycznej czeka francuska „Miłość i turbulencje" (2013) Alexandre'a Castagnettiego. W samolocie lecącym z Nowego Jorku do Paryża sąsiednie miejsca dostają kochankowie, którzy rozstali się trzy lata wcześniej. To rzeźbiarka Julie (Ludivine Sagnier) i prawnik Antoine (Nicolas Bedos). Przez siedem godzin przypominają sobie dawny związek i przyczyny jego rozpadu, pytają też o swe aktualne losy (ona za kilka dni wychodzi w Paryżu za mąż). Ich opowieściom przysłuchują się współpasażerowie: starsze małżeństwo, dziewczyna z matką i steward.

Co z tego wyniknie, łatwo zgadnąć. Aha, w retrospekcjach pojawia się kumpel Antoine'a, gwałtownie pragnący kobiety, i matka Julie (Clémentine Célarié), rozwódka, która rozrabia chętniej od rozsądnej córki. Czy dostajemy tu coś uciekającego od schematów? Owszem, tym razem to facet cierpi na chroniczną niewierność, i to jemu kobieta mówi: „Jesteś piękny". Rzeczywiście, Bedos ma urodę wiecznego amanta, natomiast Sagnier, która tak ładnie rozbiera się w filmach Ozona, pozostaje odziana.

Dla wesołków

Francuską odpowiedzią na „Borata" jest „Vive la France" (2013). Opowiada o dwóch imbecylach – Muzafarze (José Garcia) i Feruzie (w tej roli reżyser Michaël Youn) – pochodzących z państwa Tabulistan, leżącego, rzekomo, gdzieś w pobliżu Afganistanu. Przyjaciele decydują się przyjąć samobójczą misję, która ma zwrócić oczy świata na ich nieuznawany przez ONZ kraj. Tabulistański dyktator, rządzący od 36 lat, wysyła ich po przeszkoleniu, by wysadzili wieżę Eiffla. Ale kłopoty Muzafara i Feruza zaczynają się już w chwili, gdy samolot, którym lecą ze Stambułu, musi z powodu strajku w Paryżu lądować na Korsyce. Do stolicy nad Sekwaną docierają innymi środkami lokomocji, tyle że po drodze wszędzie słyszą, że to jeszcze nie Francja (do głosu dochodzą bowiem separatyzmy – korsykański, marsylski itd.). A że często są poniewierani, pomaga im jako prześladowanym imigrantom przejęta reporterka telewizyjna Marianne (Isabelle Funaro).

Film, pełen niewybrednych i czasami śmiesznych żartów, kpi głównie z Francuzów, choć także ich sławi. Muzafarowi i Feruzie podoba się jedzenie ślimaków i picie soku z winogron – czyli wina. Byli jednak wstrząśnięci, gdy dowiedzieli się, że we Francji nie wolno bić kobiet. „To co zrobić, gdy ona się odezwie?" – pytali zdezorientowani.

Dla tych, którzy lubią się bać

„3096 dni" (2013) Sherry Hormann, ze zdjęciami jej sławnego męża Michæla Ballhausa, to nie klasyczny horror, ale historię opowiada przerażającą. Co gorsza, prawdziwą, o dziesięcioletniej Nataschy Kampusch (Antonia Campbell-Hughes), która w marcu 1998 r. została porwana przez bezrobotnego Wolfganga Priklopila (Thure Lindhardt). Przez tytułowe 3096 dni więził ją w piwnicy swego domu na obrzeżach Wiednia, w pokoju o wymiarach dwa na trzy metry. Oglądamy, jak Wolfgang ją maltretuje – najpierw psychicznie, potem fizycznie (bije, głodzi, wykorzystuje seksualnie). Ale też jak jej potrzebuje, traktuje ją niczym swą wyłączną własność, nadaje nowe imię. „Musisz być posłuszna" – powtarza jak

mantrę. „Dlaczego wybrałeś mnie?” – pyta go mała Kampusch (w wersji dziecięcej gra ją Amelia Pidgeon). „Z powodu twojego uśmiechu” – odpowiada „zakochany”.

Ten grany po angielsku film oparto na niedokończonym scenariuszu zmarłego nagle w 2011 r. niemieckiego producenta Bernda Eichingera oraz pamiętniku Kampusch. Najwartościowsze są w nim dwuznaczności. Matka, która czasem odwiedza Wolfganga, nie potrafi zapytać go o jego, jak jej się zdaje, samotnicze życie. Za to matka Nataschy (Trine Dyrholm) była wobec niej surowa, a lubiący pić ojciec ciągał ją po barach. Natascha objadała się słodyczami, za to w zamknięciu schudła na kość.

Z poloników odnotujmy, że charakteryzację aktorów wykonał tu Waldemar Pokromski. Jest tylko jeden problem: jak po obejrzeniu tego filmu zejść do ciemnej piwnicy po słoiki z wiktuałami potrzebnymi do świątecznych potraw?

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Mikołaj z książkami żeglarza i żonglera

Z okazji premiery świątecznych „Książek. Magazynu do Czytania” poprosiliśmy naszych autorów o wskazanie książek idealnych na gwiazdkowy prezent. Janusz Rudnicki poleca książki, przy których można się zarumienić

JANUSZ RUDNICKI

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Janusz Rudnicki – pisarz. W tym roku ukazał się zbiór jego opowiadań „Trzy razy tak!”

_____

OSTATNIE ROZDANIE

Wiesław Myśliwski

Znak

_____

OBSCENARIUSZ. WYPISY Z KSIĄG NIECZYSTYCH

Wojciech Kuczok

W.A.B.

_____

Podam po prostu dwie ostatnio przeczytane książki, jako że o poprzednich przeczytanych już pisałem, a czytam wyłącznie takie, o których miałbym i mógłbym coś napisać, na luksus czytania dla czytania pozwolić sobie mogę raz na ruski rok.

Zanim podam te dwie ostatnie pozycje, polecić chcę uwadze kogoś takiego jak Piotr Macierzyński („Kwik”), raz jeszcze przypomnieć o Marcie Podgórnik, Genowefie Jakubowskiej-Fijałkowskiej, Agnieszce Wolny-Hamkało („Zaćmienie”), Krzysztofie Niewrzędzie i Petrze Hu°lovej.

Wiesław Myśliwski. Twarz jak orzeł, z gatunku przedni. Bardzo majestatyczny gatunek, w Europie najsilniejszy, taki bielik nie ma z nim szans. Gniazduje na niedostępnych półkach skalnych, prędkość w locie: do 160 km/godz., w nurkowaniu z dużej wysokości, po puentę, do 320 km/godz. I do tego humor, swoisty, ten gościu go ma, a w naszej literaturze humoru atrofia. „Mgła była tak silna, że gdyby nie kapelusz, to straciłbym poczucie, że to ja „. To z „Traktatu o łuskaniu fasoli". Tam też oda do członka, ten to żyje sobie jak u Pana Boga za piecem, żadnych u niego problemów, najwyżej z nogawki do nogawki. I jedno mu w główce, a jego właściciel zacierać musi brzemienne po nim ślady: „tryśniesz sobie i szczęśliwy jesteś, a resztę ja muszę, potem wszystko na mnie".

Kiedyś samotny biały żagiel na pustym morzu polskiej prozy („Kamień na kamieniu"), dzisiaj cumuje w przystani, a na rejs wyrusza co parę lat. Ostatnio „Ostatnim rozdaniem". Monolog rzeka, przy czym prąd tu niespecjalnie wartki, kto szuka burzliwej narracji i nagłych zwrotów akcji, ten ich nie znajdzie. Ta rzeka się snuje szerokim korytem, od dzieciństwa po starość, wije się, skręty bierze szerokim łukiem i jeśli chlupoczą fale, to raczej cicho. To historia jednej miłości, tu Myśliwski, w cytatach z listów Marii, po raz pierwszy chyba jest tak... hm, uniesiony. Deklaratywny, czuły, tkliwy tak, że można się zarumienić.

Narrator jest malarzem, oko ma dobre: „Dwa zbrązowiałe sutki jak kąsające pyszczki". Pamięć też ma dobrą, jeśli zgodzić się z nim, że „pamięć jest od wspominania, a nie od pamiętania, a to nie to samo". Wielkie miasta raczej omija, krąży, kołuje nad prowincją, tu ludzi widać wyraźniej, a to ważne, bo „ciało to miejsce na charakter". Tu nawet czas przeciąga się i ziewa, „bez wojny jakoś nudno, przejedzie raz na dzień samochód czy wyjdzie się na pociąg, ale pociąg przyjedzie i odjedzie, i trzeba wracać". I tylko tu półwidoma stara krawcowa siedzieć może przed domem i czekać, może ktoś będzie przechodził, to jej nitkę nawlecze na igłę. Takie to małe historie dzieją się tu na naszych oczach. Ta duża historia też, „tylko te oczy nie zawsze chciałyby być nasze".

Wojciech Kuczok. Żongler z Chorzowa. W wydanym dopiero co „Obscenariuszu" bierze sobie różne style z różnych epok, podrzuca je i kolejno chwyta, i żaden nie spadnie mu na ziemię. Popis stylistyczny i wyciąganie neologizmów jak z rękawa, wyrazotwórca. Próbki:

„I zostawiam swój adres, licząc na Pana zalistnienie./ Spróbuję chociaż wyjść na korytarz, żeby się odpokoić. / Ty moja tęsknoto, znów mam pełne tęskonto./ Całuję zaimkowo i dzierżawczo Twoją mojość". Twórczość komórkowa też kwitnie: „Bądź mi bezlitosną esemesmanką. Twój genitaliusz...".

„Obscenariusz" to pieprzna rzecz o pieprzeniu. Próbki: „Siedzę przy laptopie i piszę o pieprzeniu – zawsze to lepiej, niż pieprzyć o pisaniu./ Ach, uwielbiam, kiedy dajesz na zapowiedzi, »zaraz dojdę, już dochodzę... « / Wiktor rozpieprzył ją jak sznycel, wyklepał jej pośladki jak mięso na kotlet". Kogo zrażą rzeczywiście drastyczne miejsca (z książki zalatuje moczem, który „pachnie jak dojrzałe szparagi"), tego udobruchają takie na przykład promyki: „Twój uśmiech powinien być wpisany na listę światowego dziedzictwa, jesteś więc aniołem ogłady".

Korzystam z okazji i namawiam wszystkich, którzy nie przeczytali jeszcze najbardziej niedocenionej i skrzywdzonej przez gremia literackie, a dla mnie najlepszej chyba książki Kuczoka pt. „Spiski". O takiej krainie, gdzie owce baranieją, takie w niej żyją typy ludzkie. Którą opanowuje zew spermy, pieski pokojowe trykają ludzkie nogi, owczarki łańcuchowe dymają ściany własnych bud, a dziczyzna staje na tylnych łapach i krzyżuje się z czym popadnie. O góralkach, które kiedy się dziwią, to tak, jakby chciały zdjąć głowę i odłożyć ją na bok. I o takim chłopcu, któremu ukazuje się Matka Boska, bo myśli, że się modli, kiedy idzie sam przez pole ze złączonymi dłońmi, a jemu skleiły się one od żywicy. Scena jak z najlepszych stron Wiesława Myśliwskiego...

_____

Akcję „Czytamy w Polsce” objęła honorowym patronatem małżonka prezydenta RP Anna Komorowska

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Serdeczny w cudzysłowie. Molestowany – bez

WITOLD MROZEK

Tragikomedia o kościelnej pedofilii i... niespełnionych hipsterach z wyżu demograficznego. W Teatrze Ósmego Dnia udany debiut Aleksandry Jakubczak, studentki warszawskiej reżyserii. Poznajcie „Serdecznego”.

Sztuka Krzysztofa Szekalskiego zaczyna się od opowieści młodego aktora, który do stolicy przyjechał ze wsi na Białostocczyźnie. Dalekiej, bo „Białostocczyzna zawsze jest daleka”. Kariera artystyczna jednak mu nie idzie, z życiem erotycznym też jakby nie całkiem w porządku. Wszystko podane w luźnym wprowadzeniu, w konwencji z pogranicza teatru i stand-up comedy.

Historia trochę pokoleniowa, trochę warszawska – o wszystkich tych dziwnych ludziach, którzy może żywią się zupkami w proszku, ale na iPhone’a i piwo w modnej knajpie jakoś im starcza. Ich główny problem to niemożność realizowania „projektów” (słowo klucz). Nie mieszczą się w systemie instytucji kultury; gonią za kolejnymi grantami. Na szczęście Szekalski nie serwuje nam seansu użalania się nad sobą – nie pyta też o nadprodukcję inteligencji twórczej. Kreśli za to groteskową paralelę z „Głodem” Knuta Hamsuna.

Warszawska anegdota przeplata się z powrotami demonów przeszłości. „Serdeczny”, jak nazywał go jeden z lepkich protektorów, przygodę z wystąpieniami publicznymi zaczynał,

czytając lekcję podczas mszy w rodzinnej miejscowości. Na zdolnego ministranta zwrócił uwagę zaprzyjaźniony z proboszczem Ważny Pan z Warszawy. Podczas korepetycji przygotowujących do wymarzonej szkoły teatralnej „Serdeczny" staje się ofiarą molestowania. Zaznał go już wcześniej – na plebanii.

Opowieści z wczesnej młodości składają się na pejzaż zdegradowanej miejscowości, gdzie kościół ostał się jako jedyny ośrodek życia społecznego. A także skarbnica prestiżu – rodzice bohatera udają, że nic się nie dzieje, bo bliski kontakt z księdzem to powód do dumy i przepustka do lepszego świata.

Choć obrońcom teatru spraw uniwersalnych i odwiecznych temat wyda się pewnie gazetowy, to rezultat leży daleko od tabloidu. Minimalistyczna inscenizacja, zmysł ironii, a przede wszystkim świetne aktorstwo bronią „Serdecznego" przed kiczem, ckliwością, patosem. Forma przedstawienia jest oszczędna i precyzyjna. Widz wchodzi w rytm kolejnych monologów-retrospekcji; więcej postaci naraz Jakubczak uruchamia tylko od czasu do czasu. „Serdeczny" to spektakl na troje solistów sprowadzonych przez reżyserkę do Poznania.

Od Dobromira Dymeckiego (na co dzień w Teatrze Narodowym w Warszawie) sztuki monologu mógłby uczyć się niejeden kolega. Katarzyna Gorajska jest wulkanem charyzmy, Sebastian Stankiewicz w sarkastycznym intro świetnie łapie kontakt z publicznością.

Jest i drugi biegun gry – newralgiczne relacje ofiary sprzed lat. Te z kolei wyreżyserowane są boleśnie sprawozdawczo, bez epatowania tanią psychologią, ale i bez ogródek. To tylko dwie sceny – ale kulminacyjne.

„Kto napisał takie bzdury!" – oburza się mężczyzna opuszczający widownię. Słowa o zmowie milczenia kościelnych i kulturalnych elit brzmią szczególnie mocno w Poznaniu. Tutaj, jak niedawno pisał Marcin Kącki, 20 lat temu rada miejska debatowała o aferze

pedofilskiej w chórze chłopięcym Polskie Słowiki. Za zamkniętymi drzwiami. Obrady utajniła, porzucając sprawę. Teatr sprawy nie odpuszcza. Na szczęście.

_____

Krzysztof Szekalski, „Serdeczny”. Reżyseria: Aleksandra Jakubczak. Scenografia: Martyna Kander. Premiera 29 listopada, Teatr Ósmego Dnia w Poznaniu

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Neuroseksizm uczonych, czyli draka o płeć mózgu

Różnice w budowie mózgu męskiego i kobiecego nie są większe niż różnice w budowie mózgów dowolnych ludzi. Lubimy jednak myśleć, że mają znaczenie. Dlaczego?

OLGA WOŹNIAK

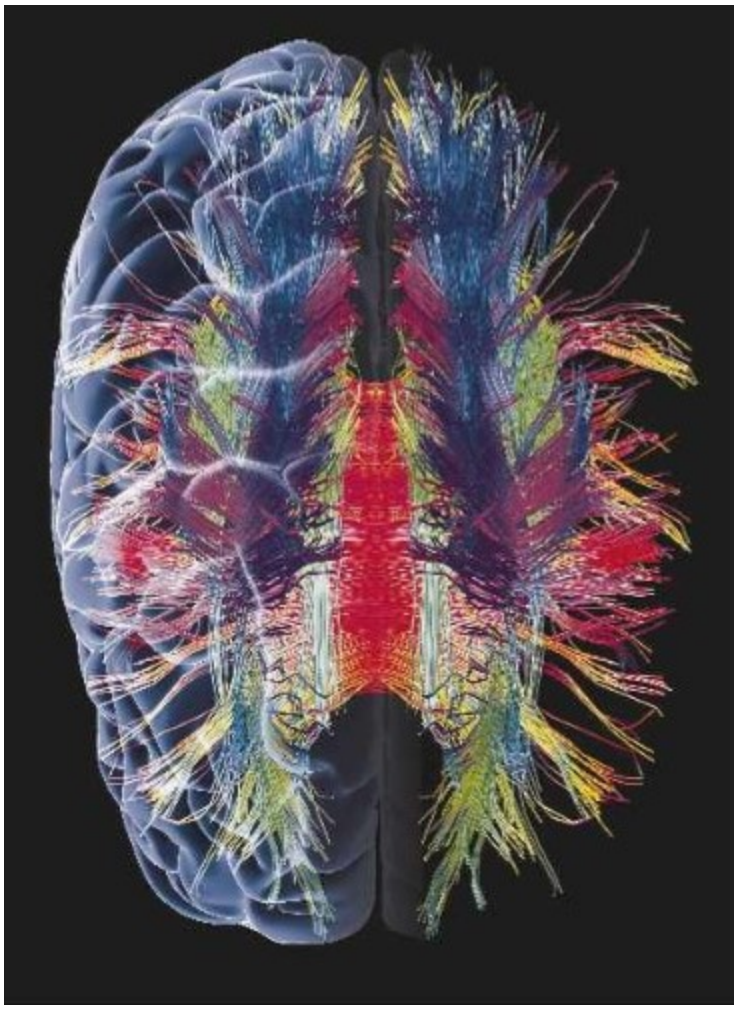

FOT. SCIENCE PHOTO LIBRARY

MÓZG PRZEŚWIETLANY. Celem kilku wielkich naukowych projektów, na które idą grube miliardy dolarów, jest narysowanie mapy podstawowych połączeń między neuronami (jak na rysunku powyżej). Taka mapa, zwana konektomem, jest wciąż w powijakach. To tytaniczna praca, gdyż ludzki mózg składa się z blisko 100 mld komórek nerwowych

Jest tak prosto! Kobiety są z Wenus, mężczyźni z Marsa. W dużym uproszczeniu oznacza to, że panie są lepsze w sferze komunikacji, zwłaszcza niewerbalnej, mają lepiej rozwiniętą intuicję – przegrywają jednak z facetami, gdy idzie o czytanie mapy czy orientację przestrzenną. Nie mają też wrodzonych zdolności przywódczych, skupiają się za to na relacjach międzyludzkich.

Oto świat jest jasny, uporządkowany, a dowody na ten klarowny porządek znajdują się nie gdzie indziej jak w naszych mózgach, w połączeniach między półkulami i wewnątrz nich; to nasze neurologiczne okablowanie – głosi gminna wieść – odpowiada za te różnice. No więc nie wymagajmy od kobiet, by były dobre z matematyki, ale nie miejmy też pretensji, że tak mało jest ich w zarządach firm czy wśród profesorów. I że mają niższe zarobki. To w końcu wina ich mózgów. Z biologią trudno dyskutować.

Seksizm? Seksizm. Do tego podpierany rzekomymi odkryciami naukowymi. Trudno się więc dziwić, że kiedy w naukowej prasie pojawia się opis kolejnego doświadczenia wydającego się uzasadniać nasze stereotypowe myślenie o płci, ochoczo się na nie rzucamy. Tak się właśnie wydarzyło.

Naukowcy nadinterpretują

Grupa naukowców z uniwersytetu stanu Pennsylwania ogłosiła pracę o połączeniach neuronalnych w mózgu. Zrobili to w prestiżowym specjalistycznym piśmie „PNAS". Swoje odkrycia okrasili komentarzem, który z entuzjazmem podchwyciły mainstreamowe media. „Nauka potwierdza neurologiczne różnice między płciami! – donosiły „The Independent", „Guardian" czy serwisy typu BBC, powołując się na słowa naukowców. – Różnice

w funkcjonowaniu kobiet i mężczyzn są na trwałe wpisane w ich mózgi!".

Tymczasem w naukowym światku zawrzało. Twitter rozgrzał się opiniami uznanych neurobiologów niezostawiających suchej nitki na kolegach z pensylwańskiego uniwersytetu. Blogi znawców mózgu zalała fala głosów krytycznych wobec badań opisywanych szeroko w mediach.

Czemu? Są te kobiety z Wenus czy nie? Najkrótsza odpowiedź jest zła, bo wymaga od nas pewnego wysiłku intelektualnego. Warto jednak podjąć wyzwanie, by to zrozumieć.

Czego dowiedli autorzy pracy opublikowanej przez „PNAS"? Korzystając z techniki pozwalającej zbadać połączenia neuronowe pomiędzy poszczególnymi częściami mózgu, obejrzeli blisko tysiąc mózgów osób różnej płci i wieku (od 8 do 22 lat, 428 mężczyzn i 521 kobiet).

Dzięki temu mogli stwierdzić, jak ściśle połączone są ze sobą różne regiony. A to ważne – bo silniejsze połączenie zapewnia lepszy przepływ informacji. Wyszło im, że u kobiet są dużo mocniejsze połączenia między dwoma półkulami, a mężczyźni mieli więcej połączeń wewnątrz samych półkul. No i dobrze.

To by w zupełności wystarczyło. Sami jednak uczeni idą w interpretacji swego odkrycia o krok dalej: jedna z badaczek, Regini Verma, stwierdza bowiem, że różnice między płciami są wpisane w mózg na stałe, wrodzone i uzasadniają odmienne umiejętności poznawcze kobiet i mężczyzn. Czyli to, że kobiety są bardziej intuicyjne i mają lepszą pamięć, a mężczyźni lepiej radzą sobie z czytaniem map i mają lepszą koordynację ruchową, co sprawia, że odnoszą bardziej spektakularne sukcesy w sporcie.

Rozmiar ma znaczenie

Problem w tym, że owe umiejętności w ogóle nie były tematem badań. Nie sprawdzono, czy zaobserwowane różnice w budowie mózgów faktycznie na nie wpływają. W doświadczeniu nie wzięto także pod uwagę wykształcenia, pochodzenia ani żadnych innych zmiennych dotyczących badanych. Co więcej: w doświadczeniu nie porównywano nawet mózgów tej samej wielkości.

A wiadomo, że przeciętny mózg męski jest nieco większy od kobiecego. I że różnice mogą wcale nie wynikać z płci, ale z innej organizacji mózgów o różnych rozmiarach. Potwierdzają to badania: parę tygodni temu w piśmie „NeuroImage" ukazała się praca, w której wykorzystano ogromne bazy rezonansowych obrazów mózgu. Badanie przeprowadzili naukowcy z uznanego laboratorium neuroobrazowania wydziału neurologii UCLA School of Medicine w Los Angeles. Dobrano duże grupy mężczyzn i kobiet o tej samej wielkości mózgu. Chciano raz na zawsze rozstrzygnąć kwestię przekonania, że połączenia między półkulami u kobiet są silniejsze niż u mężczyzn. Dotyczyło to liczby połączeń neuronalnych w spoidle wielkim. I co? Kiedy ogląda się mózgi tej samej wielkości – żadnych różnic w spoidle wielkim nie ma, niezależnie od płci. Różnice między poszczególnymi ludźmi są większe niż pomiędzy ludźmi podzielonymi ze względu na płeć.

Lubimy stereotypy

– Interpretacja wyników badań ogłoszonych w „PNAS" jest wulgarnie uproszczona – komentuje neurobiolog prof. Małgorzata Kossut z Instytutu Biologii Doświadczalnej PAN w Warszawie. – Różnice w budowie mózgów mogą wynikać z tego, jakie hormony oddziałują na rozwijający się płód, zwłaszcza zaś wpływ na niego ma poziom prenatalnego testosteronu, który kształtuje budowę różnych okolic mózgu. Na to jednak oczywiście nadbudowuje się potem doświadczenie, jakie zyskujemy w czasie życia, nasze wychowanie i bodźce, którym jesteśmy poddawani.

Nie bez powodu pewnie największe różnice w okablowaniu mózgów naukowcy w kontrowersyjnym badaniu znaleźli u osób

starszych.

– To naturalne – komentuje dr Maria Pawłowska, która na zlecenie Instytutu Spraw Publicznych napisała raport „Kobiece i męskie mózgi, czyli neuroseksizm w akcji i jego społeczne konsekwencje". – Inaczej traktujemy chłopców, inaczej dziewczynki, już nawet w chwili, kiedy dowiadujemy się o ich płci podczas ciąży. A mózg jest bardzo plastyczny. To, jakie bodźce do niego docierają, zmienia jego architekturę. Tylko dzięki temu zresztą jesteśmy w stanie się uczyć, przystosowywać do nowych warunków. Pytanie więc, czy wyniki pensylwańskich naukowców nie pokazały skutku zamiast przyczyny funkcjonowania społecznego w męskiej czy żeńskiej roli.

Badaczka uzasadnia, że nie ma dowodów na potwierdzenie powszechnie panującego stereotypowego myślenia o jakoby odmiennych predyspozycjach kobiet i mężczyzn. Jednak jesteśmy bardzo podatni na informacje, które potwierdzają nasze przekonania. A nasze społeczeństwo i system edukacyjny są głęboko przesiąknięte neuroseksistowskimi postawami, które mają bardzo realne i negatywne skutki dla polskiego społeczeństwa obywatelskiego, systemu edukacji, nauki, zrównoważonego rozwoju i wzrostu ekonomicznego – ostrzega dr Pawłowska. – Po co bowiem mamy dokonywać zmian systemowych mających wyrównać traktowanie kobiet i mężczyzn na rynku pracy czy w edukacji, skoro uważamy te różnice za biologiczne? – pyta. – To nas zwalnia z odpowiedzialności. Jest wygodne.

Dlaczego jednak sami badacze okrasili swoją pracę stereotypowymi, płytkimi i nieprawdziwymi informacjami? – To już pytanie o funkcjonowanie nauki – komentuje dr Pawłowska, która uczyła się także w Wielkiej Brytanii, w Cambridge. – Na Zachodzie bardzo liczy się medialny rozgłos – przekłada się na przykład na finansowanie badań. A jakie media napisałyby o pracy, z której wynika, że nie ma istotnych neurobiologicznych różnic między kobietami i mężczyznami?

Czy zatem te różnice są? – Są – mówi prof. Kossut. – Tak jak są różnice w organizacji mózgów różnych ludzi: inaczej wychowanych, wykształconych, cierpiących na rozmaite choroby. I minie jeszcze sporo czasu, zanim zrozumiemy ich znaczenie.

I żeby nie było, że nie uprzedzałam: świat nigdy nie jest taki prosty, jak chcielibyśmy.

Przynajmniej tyle z tego korzyści, że możemy już zleźć z tej Wenus. Z siarkowodorowymi deszczami i temperaturami sięgającymi +400 stopni Celsjusza to dość toksyczne miejsce. Teraz możemy sobie być z dowolnej planety. Lub po prostu stać mocno na Ziemi. Co polecam w kontakcie z wszelkimi doniesieniami naukowymi – zwłaszcza zaś tymi, które w podejrzanie wygodny sposób potwierdzają nasz punkt widzenia.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Leki na zgagę mogą powodować niedobór witaminy B12

WOJCIECH MOSKAL

Takie wnioski płyną z badań przeprowadzonych z udziałem ponad 200 tys. osób. Ich autorzy jednak uspokajają, że ryzyko niedoboru wzrasta wyłącznie u tych pacjentów, którzy leki zażywają przez dwa lata i dłużej.

Dla ekspertów ta wiadomość, opublikowana w „Journal of the American Medical Association", nie jest wielkim zaskoczeniem. Istnienie takiego związku podejrzewano od dawna. Ba, informacje o tym znajdowały się w ulotkach leków (tylko kto czyta ulotki?).

Niemniej jednak są to pierwsze badania przeprowadzone na tak dużej grupie osób.

Naukowcy z amerykańskiego konsorcjum Kaiser Permanente przeanalizowali przypadki 26 tys. osób z północnej Kalifornii, u których stwierdzono niedobór witaminy B12. Dla porównania przebadali również 184 tys. osób niemających tego problemu.

Skupiono się na lekach zażywanych na wrzody oraz na chorobę refluksową (to zespół dolegliwości wywołanych zarzucaniem kwaśnej treści żołądkowej do przełyku, co powoduje pieczenie, czyli tzw. zgagę). Dwie główne grupy stosowanych tu środków to inhibitory pompy protonowej i antagoniści receptorów histaminowych. Ich działanie polega na hamowaniu wydzielania kwasu żołądkowego. To popularne środki. Tylko w USA w 2012 roku na inhibitory pompy protonowej wypisano 157 mln recept!

Po porównaniu danych okazało się, że zażywanie leków z tej grupy przez dwa lata lub więcej zwiększa ryzyko niedoboru witaminy B12 o 65 proc. W przypadku antagonistów receptorów histaminowych ryzyko to jest mniej wyraźnie, bo rośnie o jedną czwartą.

Według szacunków niedobór witaminy B12 dotyczy od 1,5 do 10 proc. populacji. Może powodować m.in. niedokrwistość oraz problemy neurologiczne czy psychiatryczne. Witaminę tę dostajemy z pożywieniem. Leki hamujące wydzielanie kwasu żołądkowego mogą zaburzać jej wchłanianie.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Autostrady na Gwiazdkę

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad chce przekazać kierowcom ok. 126 km nowych autostrad i dróg ekspresowych

ANDRZEJ KUBLIK

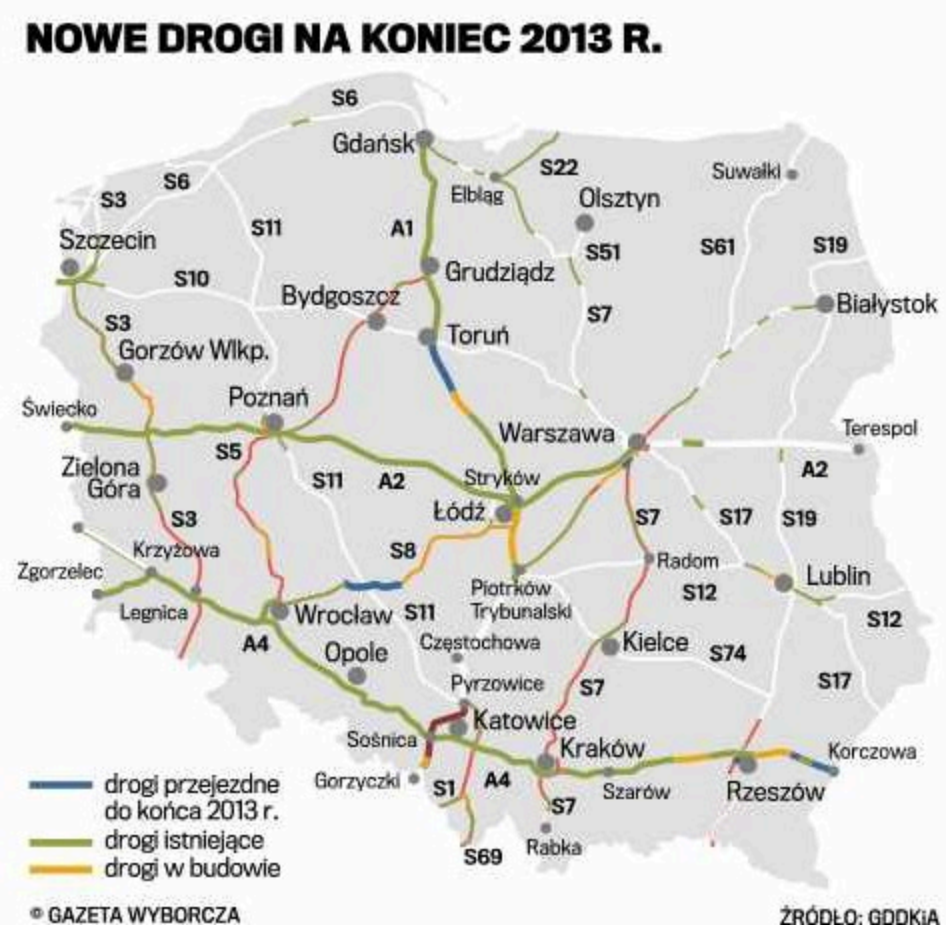

Wielki wysyp dróg na koniec tego roku ma się zacząć już w tym tygodniu. Drogowcy nie ulegli przesądom i w piątek 13 grudnia, „przed godziną 13.00" – jak zaznaczył wczoraj szef GDDKiA Lech

Witecki – zamierzają przekazać do eksploatacji 4,4 km drogi ekspresowej S19 od Rzeszowa do Świlczy, w kierunku na Słowację.

A w przyszłym tygodniu nowymi drogami ma sypnąć jak z rękawa.

Około 20 grudnia GDDKiA chce przekazać do eksploatacji pierwszy kujawski odcinek autostrady A1 o długości 45 km od Torunia do Pikutkowa koło Włocławka. Na razie ta autostrada będzie dopiero „przejezdna", czyli jej główna trasa jest już ukończona, ale na sfinalizowanie wszystkich robót przy tej inwestycji trzeba będzie poczekać do wiosny przyszłego roku. Wtedy także zostanie ukończone ostatnie 20 km A1 przez Kujawy. I w ten sposób gotowe będzie całe połączenie autostradowe od Łodzi do Gdańska.

Na tym odcinku A1 drogowa Dyrekcja chce zamontować – na zasadzie pilotażu – nowe oznakowanie, wzorowane na oznakowaniach w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Na tablicach informacyjnych węzły autostradowe otrzymają numery i nowe, bardziej zrozumiałe nazwy, a tablice drogowskazowe będą miały strzałki nad pasami ruchu.

Między 20 a 23 grudnia GDDKiA chce także wpuścić kierowców na kolejne odcinki drogi ekspresowej S8 – ok. 45 km tej drogi od Sycowa do Wielunia oraz na warszawski odcinek tej ekspresówki o długości 2 km.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia drogowcy chcą także otworzyć dwa kolejne odcinki autostrady A4 na Podkarpaciu. To przede wszystkim 8 km autostrady od węzła Wierzbno koło Przeworska do węzła Pawłosiów koło Jarosławia. Większość tej trasy już wiele miesięcy temu ułożyła firma Budimex, ale czekała na otwarcie do chwili, aż z budową węzła Wierzbno upora się firma Polimex-Mostostal budująca autostradowe połączenie między Rzeszowem a Przeworskiem.

23 grudnia GDDKiA chciałaby otworzyć dla kierowców 22 km A4 od Radymna do Korczowej na granicy z Ukrainą. Główna trasa tej

autostrady już jest gotowa i kończone są tam ostatnie prace i odbiory. – Potrzeba jeszcze dwóch dni, aby wymalować ostatnie 5 km pasów na tej drodze – powiedział na wczorajszej konferencji wiceszef drogowej Dyrekcji Tomasz Rudnicki. A wtedy już na święta Bożego Narodzenia kierowcy na Podkarpaciu będą mieli do dyspozycji około 47 km autostradowego połączenia między Przeworskiem a granicą z Ukrainą.

Jest też dobra informacja dla kierowców narzekających na brak stacji benzynowych na trasie autostrady A2 między Łodzią a Warszawą. Wczoraj zezwolenie na budowę pierwszej stacji przy tej trasie dostał koncern BP.

Żegnaj stary budżecie UE...

To będzie mocny akcent na zakończenie inwestycji drogowych wspieranych dotacjami z budżetu Unii Europejskiej na lata 2007-13. W tym czasie GDDKiA wybudowała 2 871 km nowych dróg krajowych, a wyremontowała 5 739 km.

Na początku 2007 r. polscy kierowcy mieli do dyspozycji 674 km autostrad, a na koniec tego roku – już 1491 km (nie licząc A4 przy granicy z Ukrainą). Na początku 2007 r. w Polsce było 248 km dróg ekspresowych, a na koniec tego roku – o 1 tys. km więcej. Jednocześnie budowanych będzie jeszcze ponad 100 km kolejnych odcinków autostrad i prawie 230 km dróg ekspresowych.

– Jesteśmy w Polsce liderem w wykorzystaniu unijnych funduszy – stwierdziła wiceszefowa GDDKiA Magdalena Jaworska. Drogowa Dyrekcja podpisała kontrakty, w których wkład unijnych funduszy wynosi 46 mld zł. Ponad 35 mld zł z tej kwoty GDDKiA już zgłosiła Komisji Europejskiej do refundacji i dotąd Bruksela przekazała Polsce 33 mld zł. Jak powiedziała Jaworska, w tym roku KE przekaże Polsce ponad 8 mld zł refundacji za inwestycje drogowe.

...witaj nowy

– Z nowego budżetu Unii na lata 2014-20 chcemy wybudować ok. 1,8 tys. km nowych dróg – zapowiedział wczoraj szef GDDKiA Lech Witecki. Będą to głównie drogi ekspresowe oraz obwodnice. W ostatnich miesiącach rząd dał drogowej Dyrekcji zielone światło do rozpisania do końca 2013 r. przetargów na niemal 700 km ekspresówek i tuzin obwodnic, aby już w przyszłym roku można było zacząć inwestycje wspierane funduszami z nowego budżetu Unii. I GDDKiA ogłosiła już przetargi na 568 km dróg ekspresowych oraz 75 km obwodnic. Gorzej z planami dokończenia sieci autostrad. Witecki powiedział, że GDDKiA rozważa budowę za 600 mln zł przedłużenia autostrady A2 od Warszawy do obwodnicy Mińska Mazowieckiego, ale budowa A2 od Siedlec do Terespola się nie opłaca. GDDKiA szuka też sposobu na budowę 120 km autostrady A1 od Tuszyna do Katowic, aby nie obciążyło to długu publicznego.

Kiedy pod koniec listopada premier Donald Tusk postanowił połączyć resorty transportu i rozwoju regionalnego w nowe ministerstwo pod kierownictwem Elżbiety Bieńkowskiej, drogowcy zaczęli spekulować, że zmieni się szef GDDKiA. – Jestem nim od sześciu lat i wcale na tym nie koniec. Na razie nigdzie się nie wybieram – powiedział nam wczoraj Lech Witecki, dodając, że spotkał się z Bieńkowską już w pierwszym tygodniu jej urzędowania.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Rozczarowujący debiut Energi na warszawskim parkiecie

TOMASZ PRUSEK, IRENEUSZ SUDAK

Miał być „najbardziej energetyzujący debiut roku”, a skończyło się na minusie. 72 tys. indywidualnych inwestorów na razie może czuć

się zawiedzionych zakupem akcji energetycznego koncernu Energa pod szyldem akcjonariatu obywatelskiego.

To była największa od ponad dwóch lat, bo warta 2,4 mld zł, oferta publiczna na GPW. Także w tym roku w naszej części Europy nie było tak dużej oferty akcji. Papiery sprzedano z dużą nadsubskrypcją po 17 zł, ale nie przełożyło się to na udany debiut. Cena na starcie była 0,3 proc. poniżej emisyjnej, a na zamknięciu sesji spadła aż o 5 proc. Tymczasem apetyty na zysk były duże, bo na ostatnich debiutach PKP Cargo i Newagu przebitka była dwucyfrowa: odpowiednio 18 proc. i 21 proc. Komu opłacało się sprzedawać papiery Energi poniżej ceny z oferty?

Z naszych nieoficjalnych ustaleń wynika, że bardzo dużo zleceń na otwarcie poniżej 17 zł złożyli indywidualni posiadacze akcje. Spowodowali tak mocną presję podażową, że zagraniczni inwestorzy wycofywali swoje duże zlecenia po kursie nieco powyżej 17 zł z oferty, bo zorientowali się, że uda im się kupić akcje jeszcze taniej. Na parkiecie podczas debiutu przeważały opinie, że podaż pochodzi od pracowników Energi lub handlarzy akcjami, którzy skupowali je wcześniej taniej od tych, którzy potrzebowali pieniędzy i nie chcieli czekać na debiut. Gdyby nie skup zapewniający stabilizację kursu w początkowym okresie notowań, przecena Energi byłaby wczoraj jeszcze większa.

– Ostatnio zawierano transakcje akcjami pracowniczymi po 14-15 zł, więc kurs powyżej 16 zł dawał przebitkę – usłyszeliśmy anonimowo na parkiecie GPW. Na podaż akcji pracowniczych zwrócił też uwagę – dość niefortunnie – prezes Energi Mirosław Bieliński: „Dziękujemy tym, którzy dziś sprzedają akcje. Zapewne wśród nich jest znaczna część inwestorów, którzy czekali na to około 10 lat. To wasze prawo i dobra decyzja". Poza tym prezes dziękował tym, którzy kupili akcje, twierdząc, że zrobili dobry interes, jak również tym, którzy akcji... nie kupili. Tłumaczył to tak: „Postawiliście nam wysoko poprzeczkę wymagań, do tej poprzeczki doskoczymy i znajdziecie się w naszym kapitale".

Debiut na minusie nie zdarzył się jeszcze spółce prywatyzowanej pod szyldem akcjonariatu obywatelskiego. Najsłabiej dotychczas wypadły dwie inne energetyczne firmy: Tauron i Zespół Elektrowni PAK, które zadebiutowały na zero. Dlatego nie zabrakło prób tłumaczenia kursu. Prezes Maciejewski: „Osobiście uważam, to nie jest żadna porada inwestycyjna, że dzisiejszy kurs jest chyba już bardzo atrakcyjny i raczej spodziewałbym się bardzo pomyślnych nastrojów w najbliższych tygodniach dla akcjonariuszy tej spółki". Z kolei minister skarbu Włodzimierz Karpiński powiedział: „W trakcie jak prezes Bieliński przemawiał, kurs podniósł się o 10 groszy. Proszę wziąć to pod uwagę".

– Na pewno na płaszczyźnie emocjonalnej to duże rozczarowanie. Ale tę lekcję warto było odrobić, żeby zrozumieć giełdę. To było kwestią czasu, aż któraś z prywatyzowanych przez skarb państwa spółek na otwarciu nie będzie powyżej ceny emisyjnej – powiedział nam Jarosław Dominiak, prezes Stowarzyszenia Inwestorów Indywidualnych. – Teraz inwestorzy muszą sobie odpowiedzieć na pytanie, co dalej. Na przykład przeliczyć cenę akcji i zdecydować, czy warto czekać na wypłatę dywidendy – dodał.

– Inwestorzy indywidualni powinni patrzeć na każdą spółkę w inny sposób i nie inwestować w sposób bezrefleksyjny. PKP Cargo i Energa to przecież spółki z różnych branż. Sam fakt, że jakieś państwowe przedsiębiorstwo jest prywatyzowane, nie zapewni nam stopy zwrotu – mówi Błażej Bogdziewicz, wiceprezes i dyrektor inwestycyjny Caspar Asset Management.

2,4 mld zł

Tyle warta była oferta akcji Energi

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

LOT nie chce kroplówki. Na razie

Po 11 miesiącach wyniki narodowego przewoźnika były aż o 111 mln zł lepsze od planu. Ten rok może skończyć ze stratą najniższą od sześciu lat

LESZEK BAJ

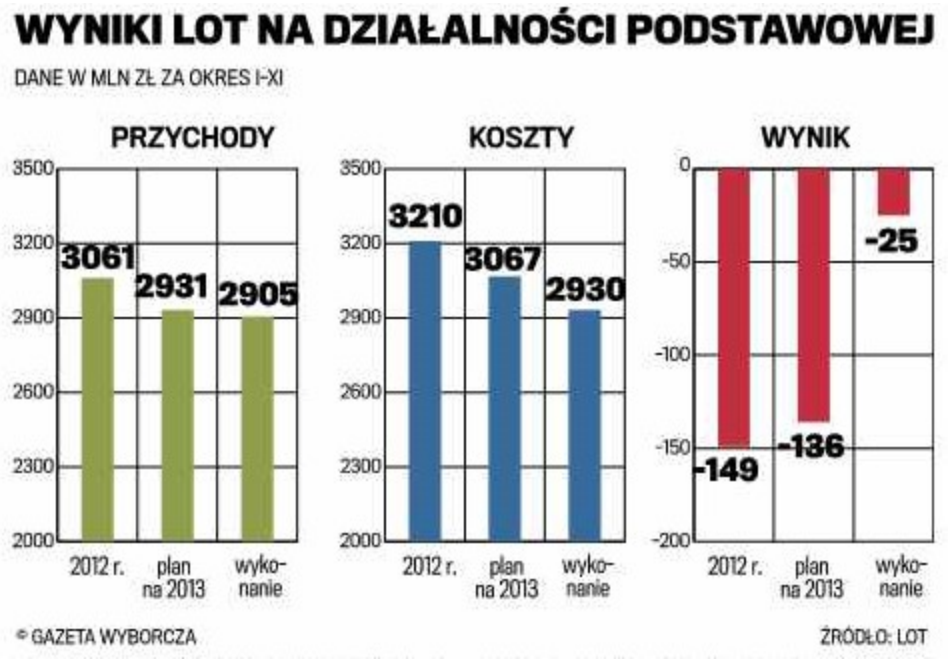

Jeszcze rok temu LOT był na skraju bankructwa. W grudniu 2012 roku polski rząd, który jest głównym udziałowcem przewoźnika, musiał go ratować wartą 400 mln zł pomocą publiczną. Niemal rok po przyznaniu pomocy LOT jest w dużo lepszej sytuacji finansowej.

Od stycznia do listopada na działalności podstawowej (czyli wożeniu pasażerów) LOT stracił „tylko" 25 mln zł. To poprawa o 111 mln zł względem planu. Rok wcześniej w tym samym czasie strata sięgała 149 mln zł.

– Nieznacznie spadły przychody, znacznie szybciej obniżaliśmy koszty – tłumaczy poprawę prezes LOT Sebastian Mikosz. Pomogła

sytuacja rynkowa: niższe ceny paliwa i lepsze różnice kursowe.

W czerwcu tego roku do Komisji Europejskiej trafił program restrukturyzacji LOT. Przewiduje on liczne działania, m.in. redukcję floty, zwolnienie kilkuset osób i wprowadzanie inicjatyw mających ograniczyć koszty i zwiększyć przychody (np. od sierpnia są odpłatne posiłki na pokładzie). Zgodnie z planem LOT może otrzymać jeszcze do 381 mln zł publicznego wsparcia.

– Jesteśmy w stanie kontynuować restrukturyzację bez kolejnej transzy pomocy finansowej. Ale z niej całkowicie nie rezygnujemy – deklaruje prezes Mikosz.

W całym 2013 roku strata LOT na działalności podstawowej ma wynieść około 20 mln zł. Jeśli prognoza się sprawdzi, będzie to najlepszy wynik od 2007 roku, gdy spółka po raz ostatni była na plusie. Kiedy firma będzie rentowna? Zgodnie z planem restrukturyzacji w 2014 roku zysk na działalności podstawowej ma sięgnąć 71 mln zł.

Prezes LOT nie może jednak całkowicie wykluczyć sięgnięcia po pomoc, bo przed spółką jest najtrudniejszy okres w roku. Listopad, styczeń oraz luty to miesiące, w których mniej osób jest zainteresowanych lataniem, a firma ma niższe przychody.

Dlatego zbawieniem dla LOT może być porozumienie zawarte z Boeingiem. Chodzi o rekompensatę za uziemienie dreamlinerów od stycznia do końca maja tego roku, co mogło kosztować LOT ponad 100 mln zł. Szczegóły są tajemnicą, ale – jak mówi prezes Mikosz – porozumienie „będzie odczuwalne w 2014 roku z finansowego punktu widzenia".

– Naszym celem jest osiągnięcie trwałej rentowności – mówił niedawno „Gazecie" minister skarbu Włodzimierz Karpiński. Zdaniem ministra jest to priorytet, który umożliwi wypracowanie długookresowej strategii dla LOT. Rentowną spółkę będzie też znacznie łatwiej sprywatyzować.

W przyszłym roku kluczowe będzie przekonanie Komisji Europejskiej, że pomoc publiczna dla LOT została przyznana zgodnie z unijnymi zasadami, a plan restrukturyzacji gwarantuje wyjście przewoźnika na prostą.

Jednym z punktów dyskusji jest ustalenie, jak bardzo LOT będzie musiał ograniczyć swoją działalność. Prezes Mikosz przyznaje, że „firma się kurczy". Skorzystanie z pomocy publicznej zgodnie z unijnymi zasadami oznacza konieczność obcięcia części połączeń – i to rentownych – by nie zaburzać konkurencji na rynku. Przez 11 miesięcy 2013 roku LOT przewiózł 4,33 mln pasażerów, o 5 proc. mniej niż rok wcześniej.

Od końca marca 2014 roku LOT przestanie bezpośrednio latać za granicę z portów regionalnych – Gdańska, Poznania, Wrocławia, Katowic czy Krakowa. Chodzi np. o połączenia do Monachium, Frankfurtu czy Düsseldorfu. LOT będzie w stanie rozwijać siatkę połączeń prawdopodobnie dopiero od listopada 2015 roku, gdy zakończy się jego restrukturyzacja. Dlatego gdy za kilka miesięcy przewoźnik dostanie szóstego dreamlinera, prawdopodobnie wypożyczy go innej linii lotniczej na kilkanaście miesięcy.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Włosi będą przekonywać Polaków, że ich pralki są dobre, bo... polskie

PATRYCJA MACIEJEWICZ

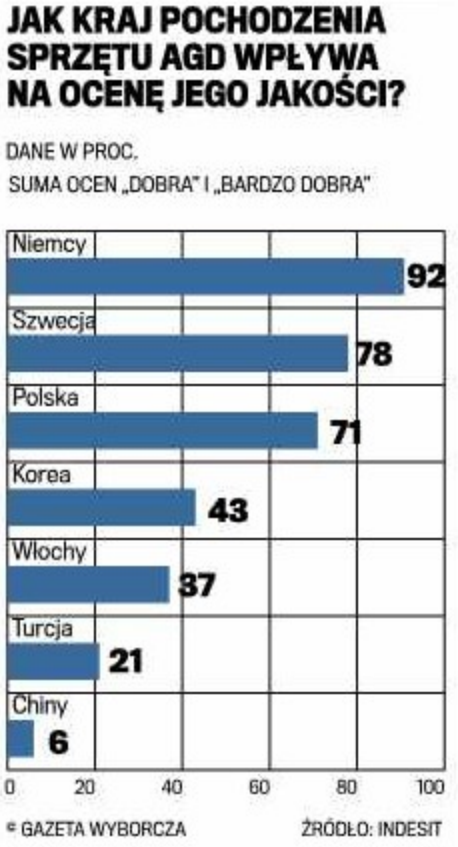

Mamy zaufanie do polskiego sprzętu AGD. Tak duże, że włoski producent lodówek i pralek chce nam uświadomić, że są one polskie. To znaczy „made in Poland".

Niemiecki samochód, francuski ser, szwajcarski zegarek, włoska moda – jeśli produkt pochodzi z wymienionych krajów, to przyjmujemy, że jest doskonałej jakości. W wielu przypadkach „narodowość" jest jej synonimem. Okazuje się jednak, że także to, co polskie, może być doskonale postrzegane, choć przez lata byliśmy fanami zachodnich technologii.

Indesit, włoski producent sprzętu AGD, który ma w Polsce trzy fabryki, postanowił sprawdzić, jak klienci postrzegają kraj pochodzenia marek. Pod koniec listopada naukowcy z katedry marketingu międzynarodowego i dystrybucji Uniwersytetu Łódzkiego przeprowadzili ankiety wśród potencjalnych klientów. Nie sprawdzano reputacji konkretnych producentów, użyto tylko

pochodzenia narodowego. Choć ankieta ma swoje ograniczenia i nie może być uznana za reprezentatywną (przepytano 290 osób w dwóch łódzkich centrach handlowych), to jej wyniki otworzyły oczy menedżerom Indesitu.

Okazało się bowiem, że w Polsce określenie „włoska pralka" wcale nie musi oznaczać czegoś dobrego.

Połowa pytanych przyznała, że kraj pochodzenia jest istotny (dla 10 proc. jest obojętny, a 35 proc. nie zwraca na to uwagi), ale tylko jedna trzecia przyznała, że ma taki ulubiony kraj.

Gdy zapytano o to, jak kraj pochodzenia wpływa na postrzeganie jakości, okazało się, że jesteśmy niebywałymi patriotami. Aż 71 proc. przyznało, że sprzęt z Polski jest dobrej lub bardzo dobrej jakości. Lepsze dla nas są tylko produkty z Niemiec i Szwecji.

– Nie pomaga nam to – przyznaje strapiony Lorenzo Fiorani, dyrektor generalny Indesit Company Polska. – A przecież Włochy to drugi po Niemczech kraj w Europie z największą produkcją przemysłową. I to dobrej jakości.

Co ciekawe, Polacy nie doceniają i włoskiego designu – suma ocen pozytywnych była wyższa, ale i tak włoskie wzornictwo w oczach łódzkich klientów wypadło gorzej od polskiego. Podobnie było z pytaniem o niezawodność.

Dla firmy było to zaskoczeniem – przecież ich fabryki znajdują się w pobliżu Łodzi.

Jak przekuć wadę w zaletę? Uświadomić klientom, że Indesit to „polska" marka. – Większość naszych produktów sprzedawanych w Polsce jest też tu produkowana. Chcemy, by stało się to powszechną wiedzą i zaletą. Indesit w polskich sklepach jest „made in Poland" – mówi Fiorani.

Dlatego nie później niż w ciągu trzech miesięcy rozpocznie się kampania wizerunkowa – w sklepach i na stronach internetowych firmy. Klienci będą uświadamiani o „narodowości" produktów Indesitu.

Obecnie Indesit jest szóstym graczem na polskim rynku, ma około 10-proc. udział ze sprzedażą 400 tys. sztuk rocznie. Ale w fabrykach w Łodzi i Radomsku produkuje dziesięć razy więcej sprzętu, który eksportuje do Europy.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Bunt seniorów

W 2060 r. emerytura minimalna będzie stanowić zaledwie 9,4 proc. średniej pensji. Kto za to przeżyje? Emeryci się zbuntują – mówi Kamil Rakocy*, były członek Zespołu Doradców Strategicznych Prezesa Rady Ministrów

LESZEK KOSTRZEWSKI, PIOTR MIĄCZYŃSKI

LESZEK KOSTRZEWSKI, PIOTR MIĄCZYŃSKI: Według Jacka Rostowskiego OFE to rak, który niszczy cały system emerytalny i finanse publiczne. Czy naprawdę za całe zło naszego systemu odpowiada OFE?

KAMIL RAKOCY: Z funduszy miały pochodzić pieniądze na część przyszłych emerytur. Teraz, kiedy zmniejszyliśmy składkę do OFE do 2,92 proc. i zabraliśmy funduszom połowę aktywów, przyszłe emerytury będą pochodzić głównie z ZUS, czyli od państwa. Będą więc zależeć od przyszłych podatków. Bo skądś przecież państwo na emerytury pieniądze znaleźć musi. Teraz nie ma nic. Wszystko, co ma ZUS, to zapisy komputerowe.

Cała więc nadzieja w tym, że polska gospodarka będzie rosnąć, ludzie więcej zarabiać i płacić większe podatki. Damy radę?

– Lepszym rozwiązaniem było zdywersyfikowanie wypłat. Tak, aby część pieniędzy na emerytury pochodziła z OFE.

Utworzenie OFE miało też spowodować, że część naszych oszczędności wyłączamy z jurysdykcji polityków. Partyjni działacze nie mieliby prawa o nich decydować i ich dzielić.

Co pan się tych polityków tak uczepił. Wybieramy ich, to chyba powinni decydować o naszych emerytalnych oszczędnościach?

– To zobaczcie, co się dzieje z Funduszem Rezerwy Demograficznej, czyli takim państwowym OFE, w którym ZUS miał trzymać zaskórniaki na nasze przyszłe emerytury. Miały tu być gromadzone prawdziwe pieniądze, a nie obietnice. I co się dzieje? Od 2009 r. z FRD wyparowało 17 mld zł i poszło na bieżące emerytury. Dlaczego? Bo politycy tak zdecydowali. A przecież nie taki był cel. Te pieniądze mieliśmy zacząć wypłacać w trudniejszych czasach, gdy demografia będzie fatalna.

To co się stanie z pieniędzmi OFE, które dziś zabiera rząd?

– Będą lepiej lub gorzej wydane. Polska doszła do ściany. Nie jest w stanie się dalej zadłużać. Zamiast bolesnych reform lepiej sięgnąć po pieniądze z OFE. Tak jest najłatwiej.

Ale Jacek Rostowski mówi, że nasz system emerytalny długofalowo będzie się bilansował. Może więc nie ma się czym martwić?

– Gdy coś takiego słyszę, to scyzoryk mi się w kieszeni otwiera. Gdy pracowałem z ministrem Michałem Bonim w Zespole Doradców Strategicznych Prezesa Rady Ministrów, miałem wgląd do modelu aktuarialnego ZUS z 2009 r. To model, na podstawie którego ZUS wylicza długoterminową prognozę swoich wydatków i przychodów.

I co się okazuje? ZUS i rząd wyliczają, że kiedy obecni 20-30-latkowie będą odchodzić na emeryturę w 2060 r., średnia

emerytura będzie stanowić ok. 26 proc. średniej pensji. Dziś to ok. 50-60 proc. Szok? Jasne, że szok. Ale to jeszcze nic. Wiecie, ile będzie według rządu za 40 lat wynosić emerytura minimalna?

Słuchamy.

– Otóż w swoich prognozach rząd zakłada, że w 2060 r. emerytura minimalna będzie stanowić zaledwie 9,4 proc. średniej pensji. Sam to wyliczyłem, przyjmując założenia z długoterminowej prognozy ZUS do 2060 r. Kto za to przeżyje? Obecnie emerytura minimalna – 830 zł brutto – to ok. 23 proc. średniego wynagrodzenia. Politycy mówią, że jak ktoś będzie miał odpowiedni staż (dokładnie 25 lat), ale zbierze mało składek, to państwo mu pomoże i wypłaci emeryturę minimalną. Tylko że państwo nie mówi, że ta emerytura minimalna będzie poniżej progu ubóstwa.

Dlaczego emerytura minimalna będzie tak niska?

– Wynika to ze sposobu waloryzacji emerytur. Dziś co roku wszystkie emerytury podnoszone są o inflację i 20 proc. realnego wzrostu płac w całej gospodarce. Ale waloryzacja jest procentowa. Czyli załóżmy, że wszystkie świadczenia podnosimy o 4 proc. To oznacza, że ktoś, kto ma dziś 850 zł brutto emerytury, dostanie więcej o 34 zł. A ktoś kto ma 3,5 tys. emerytury, dostanie 140 zł podwyżki. Ta różnica między najbiedniejszymi i najbogatszymi będzie się co roku zwiększać. W rezultacie wartość najniższej emerytury w odniesieniu do np. progu ubóstwa też się będzie relatywnie zmniejszać.

Ale kiedy emerytury minimalne będą tak niskie, to budżet państwa nie będzie musiał zbyt wiele do nich dopłacać.

– Dzisiaj rzeczywiście założono, że problemu dopłat do minimalnych emerytur nie ma. Nie trzeba będzie do nich wiele dopłacać, to się nie ma czym martwić. Ale ten problem wróci. Jeśli ok. połowa wszystkich wypłacanych wtedy świadczeń będzie między 9,4 proc. średniej pensji a 25 proc. przeciętnego wynagrodzenia, to te osoby

bez własnych oszczędności będą skazane na ubóstwo. I jak myślicie, co zrobią ludzie, kiedy na ich konto będą wpływać takie grosze?

Pogodzą się z tym, będą żyć skromnie...

– Zbuntują się. Przecież my się z roku na rok jako społeczeństwo starzejemy. Emeryci za 20, 30, 40 lat będą potężną siłą polityczną. Wszystkie partie będą zabiegać o ich głosy.

Pan znowu czepia się tych polityków. A może ówczesna klasa polityczna będzie odporna na żądania emerytów?

– Nie żyjemy w Singapurze, gdzie jak sobie nie radzisz, to nikogo to nie interesuje. Zobaczcie, jaka jest uległość premiera w sprawie górników. Myślicie, że w przyszłości będzie inaczej? Nie będzie.

Oczywiście można zakładać, że społeczeństwo będzie tak biedne, że nie będzie miało siły protestować, ale na to bym zbytnio nie liczył.

Czego będą żądać emeryci?

– Jak to czego? Podwyżek, dodatków, dopłat. Tak jak w innych państwach. Niektórzy politycy zachwalają emerytury obywatelskie, jakie wprowadziła Kanada. Czyli za niewielką składkę mamy jednakową emeryturę dla wszystkich.

Nikt tylko nie mówi, że te emerytury obywatelskie w Kanadzie są tak niskie, że 38 proc. emerytów korzysta z pomocy społecznej państwa. Dostają specjalny dodatek, który w przypadku najbardziej ubogich jest równy wysokości emerytury. Nawet w Wielkiej Brytanii emerytura państwowa jest tak niska, że państwo wprowadziło dodatki na ogrzewanie domów.

Jeżeli więc chcemy mówić o rzeczywistych kosztach systemu zabezpieczenia osób starszych, to musimy uwzględniać wszystkie przyszłe wydatki państwa. Tymczasem w dyskusji o OFE tego tematu nie ma. Przy przeglądzie emerytalnym rząd zakłada, że państwo będzie wydawać zaledwie 5 proc. PKB na emerytury. Tylko nikt nie chce zauważyć, jak niewielkie będą te emerytury.

Poza tym nie wszyscy będą je dostawać, bo dziś pracują w szarej strefie na umowę o dzieło.

Ma pan jakieś rozwiązania?

– W 1997 r. wszystkie partie, związki zawodowe, pracodawcy zgodzili się na reformę emerytalną. Każdy zdawał sobie sprawę z fatalnej demografii i z tego, że obecnych, hojnych, dofinansowywanych przez państwo emerytur nie jesteśmy w stanie utrzymać. Zgodziliśmy się, że emerytury będą niższe i że system będzie sprawiedliwy w myśl zasady: ile uzbierasz, tyle na starość dostaniesz.

Ale to były tylko założenia. Górników i mundurowych politycy SLD szybko z powszechnego systemu wyjęli i zostawili im przywileje, o jakich inni mogą tylko pomarzyć. Poza tym system zgodnie z reformą miał być III-filarowy. Twórcy reformy tłumaczyli to tak: ludzie zobaczą, jak niską będą mieli emeryturę z ZUS i OFE, i będą sami oszczędzać w III filarze. Tyle że Polacy nie oszczędzają. Dziś w III filarze jest ok. 800 tys. Polaków w IKE i 500 tys. w IKZE. Na dodatek nie wszystkie rachunki są na bieżąco zasilane.

Dlaczego tylko tyle?

– Bo brak zachęt podatkowych, aby oszczędzać, a na dodatek nie jesteśmy do oszczędzania na emeryturę przekonani, wolimy po okresie wiecznego niedoboru w PRL wydawać na bieżącą konsumpcję. Oczywiście są też osoby, które nie mają z czego odkładać, bo zwyczajnie mało zarabiają.

Wszędzie na świecie, gdzie są państwowe emerytury, istnieją też pracownicze programy emerytalne, gdzie firma odkłada pracownikowi część pieniędzy na starość. W Polsce też były takie plany, ale znowu nic z tego nie wyszło. Bo procedury są skomplikowane, a zyski niewielkie.

Był pan w zespole ministra Boniego, dlaczego pan wtedy nie mówił o tych emeryturach minimalnych poniżej ubóstwa, o konieczności uwzględnienia

wszystkich przyszłych wydatków państwa?

– Gdzie mogłem, tam mówiłem. Proszę pamiętać, że zgodnie z zapowiedziami zmian w OFE w 2011 r. miał być powołany Aktuariusz Krajowy, którego zadaniem było właśnie pokazywać wyliczenia przyszłych emerytur, zwracać uwagę na problem emerytur minimalnych. Wciąż go jednak nie ma.

Może rząd nie chce, aby ludzi straszył?

– W rezultacie musieliśmy wyliczenia robić my – w zespole doradców. Ja sam musiałem wyliczać pewne wartości. Bo nigdzie, w żadnej instytucji państwowej, nie były dostępne. Przecież to paranoja.

ROZMAWIALI LESZEK KOSTRZEWSKI, PIOTR MIĄCZYŃSKI

---

*Kamil Rakocy – w latach 2009-11 członek kierowanego przez Michała Boniego Zespołu Doradców Strategicznych Prezesa Rady Ministrów. Obecnie niezależny konsultant w firmie KR Consulting. Specjalizuje się w zaawansowanych analizach danych dla firm z sektora finansowo-ubezpieczeniowego i firm telekomunikacyjnych. Absolwent Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego

---

Analiza emerytalna Kamila Rakocy:
http://www.krconsulting.pl/Bezpieczenstwo_dzieki_ubostwu.pdf

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

OFE w rękach prezydenta

ANNA POPIOŁEK

Cięcie OFE przemknęło przez Sejm i Senat. Teraz głos ma prezydent

– Z moralnego, politycznego i konstytucyjnego punktu widzenia żaden prezydent nie powinien podpisywać ustawy, wobec której było tyle fachowej krytyki włącznie z krytyką ze środowisk prawnych – powiedział wczoraj w radiowej Jedynce prof. Leszek Balcerowicz. – Konstytucja wyraźnie mówi, że jest on strażnikiem ustawy zasadniczej. Prezydent ma ogromną odpowiedzialność konstytucyjną, moralną oraz wobec ludzi. Jego decyzja będzie niezwykle ważna z punktu widzenia praworządności w Polsce. Bronisław Komorowski nie powinien podpisać ustawy o OFE.

Ustawa tnąca otwarte fundusze emerytalne trafi teraz na biurko prezydenta. W błyskawicznym tempie przemknęła przez parlament. W ubiegły wtorek odbyło się pierwsze czytanie, w środę prace w komisjach sejmowych, dzień później drugie czytanie, a w piątek Sejm przegłosował kontrowersyjne zmiany. Minął weekend i już we wtorek cięciem OFE zajęły się senackie komisje finansów i polityki rodzinnej. Zgodnie z zaleceniami wiceministra pracy Marka Buciora nie zgłosiły żadnych poprawek do ustawy. W środę zmiany w OFE przyjął Senat.

Jakie to zmiany? Rząd zabierze połowę naszych oszczędności emerytalnych zgromadzonych w OFE. Jak? Na początku lutego umorzy zgromadzone tam obligacje. Dostaniemy też wybór: ZUS czy OFE. Ci, którzy od początku kwietnia do końca lipca nie podejmą decyzji, automatycznie trafią do ZUS.

Jednocześnie rząd próbuje nas zniechęcić do dalszego gromadzenia środków w funduszach. W jaki sposób? Zgodnie z nowymi przepisami OFE zamienią się na rok w agresywne fundusze akcyjne.

Na tym nie koniec. Nawet ci, którzy zadeklarują chęć pozostania w OFE, będą stopniowo przenoszeni do ZUS na dziesięć lat przed przejściem na emeryturę.

Na nic zdały się protesty ekonomistów, prawników i opozycji, mimo że na możliwą niekonstytucyjność rządowych pomysłów zwracała uwagę część prawników, a nawet instytucje publiczne, m.in. Rządowe Centrum Legislacji, Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji.

Nawet biuro legislacyjne Senatu pytało, czy możliwa jest rzetelna analiza nowych przepisów, biorąc pod uwagę szybkie tempo prac nad ustawą. – Zachodzi obawa, iż będzie konieczna kolejna nowelizacja przepisów dotyczących systemu emerytalnego – wskazano w opinii biura. Biuro legislacyjne nie chciało jednak zająć stanowiska w sprawie konstytucyjności zmian w OFE. Powód? Zdania podobno były podzielone.

Teraz głos ma prezydent. Może zgłosić weto, zgłosić ustawę do TK przed lub po jej podpisaniu lub po prostu podpisać ustawę. Kilka dni temu Donald Tusk podkreślał, że prezydent nie będzie blokował ustawy dotyczącej zmian w systemie emerytalnym. Zdaniem szefa rządu nie ma żadnych powodów, by Bronisław Komorowski miał wątpliwości konstytucyjne w tym zakresie.

A co na to prezydent? Wczoraj w czasie wizyty w Zjednoczonych Emiratach Arabskich powiedział, że pieniądze z OFE są już wpisane w przyszłoroczny budżet, dlatego każde działanie w tym obszarze musi być oceniane z punktu widzenia skutków dla budżetu, państwa i obywatela.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

CZASEM POTRZEBUJĘ TANIO POLATAĆ

Czy wiecie, na jaki dzień w roku bilety lotnicze są najtańsze? Skorzystajcie z doświadczenia dziennikarki, która latając za grosze, w dziesięć lat zaoszczędziła co najmniej 50 tys. zł

EDYTA BŁASZCZAK (METRO)

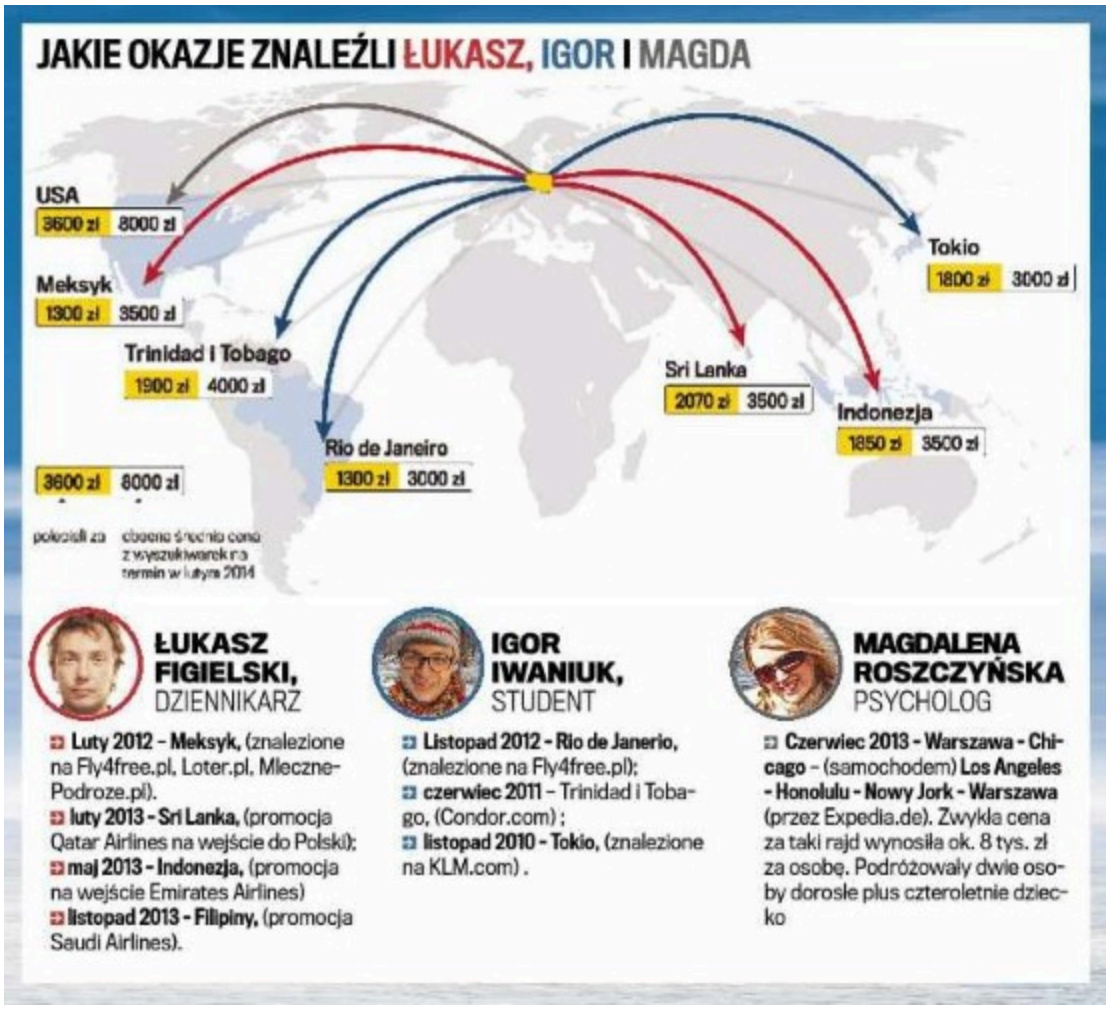
JAKIE OKAZJE ZNALEŹLI ŁUKASZ, IGOR I MAGDA
USA
3600 zł 8000 zł
Meksyk
1300 zł 3500 zł
Trinidad i Tobago
1900 zł 4000 zł
Rio de Janeiro
1300 zł 3000 zł
Sri Lanka
2070 zł 3500 zł
Indonezja
1850 zł 3500 zł
Tokio
1800 zł 3000 zł
3600 zł 8000 zł
ŁUKASZ FIGIELSKI, DZIENNIKARZ
Luty 2012 - Meksyk, (znalezione na Fly4free.pl, Loter.pl, Mleczne-Podroze.pl).
luty 2013 - Sri Lanka, (promocja Qatar Airlines na wejście do Polski);
maj 2013 - Indonezja, (promocja na wejście Emirates Airlines)
listopad 2013 - Filipiny, (promocja Saudi Airlines).
IGOR IWANIUK, STUDENT
Listopad 2012 - Rio de Janerio, (znalezione na Fly4free.pl);
czerwiec 2011 - Trinidad i Tobago, (Condor.com);
listopad 2010 - Tokio, (znalezione na KLM.com).
MAGDALENA ROSZCZYŃSKA PSYCHOLOG
Czerwiec 2013 - Warszawa - Chicago - (samochodem) Los Angeles - Honolulu - Nowy Jork - Warszawa (przez Expedia.de). Zwykła cena za taki rajd wynosiła ok. 8 tys. zł za osobę. Podróżowały dwie osoby dorosłe plus czteroletnie dziecko

W drugiej połowie grudnia linie lotnicze przygotują więcej promocji niż zwykle.

W najsłabszych, jeśli chodzi o zapał podróżowania, styczniu, lutym i marcu trzeba jakoś wypełnić samoloty. Może więc Japonia za 1,5 tys. zł? Gwadelupa albo Hawaje za 1,6 tys. zł? Czy Nowy Jork za niecałe 600 zł? Albo Gruzja za nieco ponad 100 zł lub romantyczny wypad do Paryża?

Gdzie szukać tanich biletów?

Niedługo po napisaniu tych słów oferty przestały być aktualne. Ale dziesiątki nowych „bardzo dobrych, super, mega, tanich hitów" pojawiły się na serwisach Fly4free.pl, Loter.pl i MlecznePodroze.pl. Zawodowe ekipy (właściciele serwisów twierdzą, że zatrudniają po kilka osób) zamieszczają codziennie po pięć, sześć nowych wpisów o atrakcyjnych promocjach lotniczych.

To strony współtworzone przez pasjonatów taniego latania. Około połowa wpisów bazuje na informacjach podanych przez czytelników.

Tu nie kupuje się biletów, ale otrzymujemy wskazówki na jakiej stronie, w jakim kierunku i kiedy można je kupić.

Z doświadczenia mojego i znajomych wynika, że każda promocja biletów ujawniona w tych i innych serwisach (patrz ramka) powoduje, że nawet pół samolotu wypełniają Polacy.

Zdaniem właściciela FLy4free.pl Kamila Lodzińskiego (twierdzi, że serwis utrzymuje się z reklam) kilkadziesiąt tysięcy Polaków rocznie leci za grosze w siną dal.

Zagraniczne strony, np. FlyerTalk.com, Vielfliegertreff.de, Travel-Dealz.de, HolidayPirates.com czy AeroGate.net, nie są tak dobre dla Polaków, bo trudno skorzystać z oferty last minute na Kubę za 600

euro (lot w obie strony plus siedem dni w hotelu), kiedy promocja pojawia się dzień przed wylotem z Düsseldorfu.

W USA popularne jest obserwowanie dedykowanych profili na Twitterze (np. @flyfromFRA – to jest np. kod dla lotniska Frankfurtu nad Menem albo @Cheapflights), które oferują niezwykle tanie loty. Tylko czekać, aż klony tych profili pojawią się dla „ćwierkających" Polaków.

* Działają też serwisy pobierające opłaty za znalezienie interesującej nas promocji (w cenniku Lowcylotow.pl kosztuje to 60 zł).

A gdzie je znaleźć i kupić?

* Słowacka spółka Pelikan Travel w Polsce wyszukuje i sprzedaje promocyjne bilety pod szyldem Flipo.pl. Twierdzą, że ich roczny obrót to 40 mln euro, przez dziewięć lat Pelikan Travel mieli pół miliona klientów (działa też w Czechach, na Węgrzech i w Austrii).

* Z FLy4free.pl zwykle zostaniecie przekierowani na ich stronę lub na Empiktravel.pl, również bardzo popularną.

* Przyszłością są aplikacje na telefony, za pomocą których można znaleźć i kupić bilet w promocji.

Skąd się biorą tanie bilety? Istnieją teorie logiczne (ale nudne) i spiskowe (bardzo interesujące)

Dziś promocje oferują wszystkie linie tanie i tradycyjne. Nasi rozmówcy uważają, że sprzedają po promocyjnych cenach do 10 proc. biletów.

LOT nie chce zdradzać, ile osób korzysta z ich cotygodniowych obniżek szalona środa, czy ostatniej zimowej wyprzedaży. Ale podaje, że w puli tańszych biletów było 300 tys.

Okazje pojawiają się i znikają w najbardziej nieoczekiwany sposób i w różnym czasie – zniżki o 20 do 50 proc., jednodniowe

wyprzedaże, kody promocyjne. Powody są logiczne i wytłumaczalne marketingowo, np. chodzi o:

* wypełnienie samolotów do ostatniego miejsca w ostatniej chwili,

* wypromowanie jakiegoś nowego kierunku lotów,

* zachętę do kupienia droższych biletów,

* walkę z konkurencją,

* poprawę wyników finansowych.

Te tłumaczenia nie uspokajają łowców okazji, ale prowokują powstawanie teorii spiskowych.

Główna mówi o tym, że najatrakcyjniejsze ceny biletów to wynik błędów ludzi (np. ktoś zapomniał doliczyć jakiś składnik do ceny, ale oferta już poszła w świat) lub maszyn (coś się popsuło w systemie), bo linie lotnicze same z siebie na pewno nic tanio nie sprzedadzą.

Inna popularna teoria głosi, że przewoźnicy niczym NSA śledzą IP naszych komputerów i gdy jesteśmy zdecydowani na zakup biletu, w ostatniej chwili podwyższają ceny.

Zdaniem naszych rozmówców to wierutna bzdura, bo żadnych linii lotniczych nie stać na takie skomplikowane systemy i armię informatyków. Jeśli więc na końcowym etapie zakupu w ostatniej chwili cena ostateczna biletu jest wyższa, niż wypatrzyliśmy w wyszukiwarce, to dla własnego samopoczucia i zdrowia psychicznego lepiej założyć, że skończyła się pula tanich biletów lub nie zauważyliśmy jakichś dodatkowych opłat.

Kiedy je kupować?

Zdaniem rozmówców ważny jest czas zakupu. Ponoć najtaniej kupuje się rano i do południa, we wtorki i środy. Najdroższe bilety

są w weekend, kiedy mamy czas wolny. Czy to prawda, czy kolejna miejska legenda?

Trudno zweryfikować te informacje, ale Marcin Janiszewski, twórca MlecznePodroze.pl, zauważa, że zwłaszcza Ryanair czy WizzAir najczęściej mają promocje w środku tygodnia, około południa. Ale obstawia, że to pochodna rytmu pracy działów marketingu, a nie jakaś ukryta strategia linii lotniczych.

Jak kupić tani bilet do stolicy europejskiej?

Tanie loty po Europie za grosz – o czym powstała nawet książka („Lecę dalej. Tanie podniebne podróże" Marzeny Filipczak, wyd. Poradnia K) – to dziś sumy od ok. 30 zł. Tańszych ofert właściwie nie ma. W 2008 roku kupiłam 12 biletów za 1 zł (ze wszystkimi opłatami) Germanwings do różnych miast w Niemczech. W tym roku takich okazji nie było (oprócz krótkiej promocji Ryanaira na otwarcie trasy Modlina i Alitalii do Japonii za 1 eurocenta).

* Cena najtańszego biletu do stolicy europejskiej z Polski to ok. 70 zł w obie strony. Oczywiście pod warunkiem, że lecimy tylko z bagażem podręcznym, bilet kupiliśmy odpowiednio wcześniej, sami zrobiliśmy odprawę, wydrukowaliśmy bilet, podróżujemy w tygodniu i poza sezonem (wszelkie dodatki – np. pierwszeństwo wejścia na pokład samolotu są dodatkowo płatne. Za wydrukowanie biletu Ryanaira na lotnisku trzeba zapłacić 71 zł, za pełną odprawę 332 zł).

Te superokazje – czyli kilkadziesiąt złotych w obydwie strony (np. 6 grudnia można było za 68 zł kupić lot WizzAirem do Paryża) są dostępne w ściśle wyznaczonych datach.

* Jeśli więc zaplanowaliśmy za miesiąc tydzień urlopu i zakładamy, że polecimy np. do Madrytu poniżej 100 złotych, to raczej się przeliczymy.

* Regułą jest, że czym trasa jest mniej oblegana, tym bilety tańsze. Łatwiej jest więc znaleźć tani lot do Oslo, Sztokholmu, Bergen niż do Londynu czy Dublina. Nie ma co liczyć na duże obniżki na trasach, gdzie samoloty latają np. raz w tygodniu. Trudno kupić naprawdę tanie bilety do Hiszpanii.

* Loty w wigilijny wieczór należą do najtańszych w roku, jeśli lądujemy w czasie, gdy już wszyscy usiedli do świątecznego stołu.

Coraz więcej tanich lotów...

...bo są nowe połączenia i jest coraz większa konkurencja (co jednak w praktyce nie oznacza, że globalnie loty tanieją). W maju WizzAir uruchomił trasę do Gruzji. Kilka dni temu na ferie cena lotu do Kutaisi zaczynała się od 108 zł (oczywiście po doliczeniu bagażu, nart itd., cena rośnie nawet pięciokrotnie). W wakacje, rezerwując odpowiednio wcześnie, bilet w gruzińskie góry „standardowo" można było kupić za ok. 300 zł.

* Bilety w cenie 300–400 zł – powrotne, z bagażem – w przypadku tanich linii są łatwo dostępne. Nie trzeba wchodzić na specjalistyczne portale. Najczęściej wystarczy odpowiednio wcześniej „przeklikać" kalendarze lotów (w WizzAirze łatwo, w Ryanairze trochę trudniej).

* Bilet WizzAira na lot z warszawskiego Okęcia do Londynu na 10 grudnia, kupiony kilka dni wcześniej kosztował 34 zł. To nie była specjalna promocja. Ale żeby zapłacić tyle za bilet na tej trasie, trzeba było posiadać kartę Wizz Discount Club. Kosztuje ona 130 zł, ale obniża cenę biletu średnio o kilkadziesiąt złotych, więc jeśli skorzystamy z niej co najmniej trzy razy w roku, opłaca się ją zakupić.

A co na tradycyjne linie?

* Z chwilą pojawienia się tanich linii, również tradycyjne zaczęły oferować bilety po konkurencyjnych cenach (jeśli doliczy się dojazd

z odległego lotniska, gdzie lądują tanie linie, to cena jest bardzo zbliżona).

* Bardzo trudno znaleźć bilet na weekend (wylot w piątek, powrót w niedzielę) poniżej 200 zł.

* Jeśli teraz chcemy bez wysiłku zarezerwować bilet na dwu-, trzydniowy wypad do Rzymu (np. Ryanairem) na początek lutego, goły bilet (tylko z bagażem podręcznym) będzie kosztował najmniej około 250 zł. Jeśli dokupimy bagaż (15 kg), ubezpieczenie, pierwszeństwo wejścia na pokład oraz transfer z lotniska do centrum, cena skacze co najmniej dwukrotnie.

* Jeśli bilet weekendowy ma kosztować ponad 500 zł, czas szukać ofert w tradycyjnych liniach.

Jedną z najlepszych jest „Szalona środa" LOT-u. Dobre oferty do miast europejskich (od 400 do 700 zł) znajdziemy w stałych dobrych ofertach Lufthansy czy KLM. Warto też zaglądać na stronę Swissaira. W tanich lotach na wschód Europy specjalizuje się Airbaltic.

W drugim tygodniu stycznia koniecznie trzeba wejść na stronę British Airways, które wtedy prowadzą swoją doroczną wyprzedaż.

* Jeśli lubimy Turcję, to dobrym sposobem, choć czasochłonnym, jest szukanie połączeń z niemieckich portów lotniczych. Do Berlina łatwo się dostać pociągiem (można też polecieć liniami Air Berlin), a stamtąd np. tańszymi Germanwings dolecieć do Stambułu czy Ankary. Stosując taką kombinację, można zaoszczędzić co najmniej 500 zł (standardowe loty Turkish Airlines to ok. 1200 zł).

Jak kupić tani bilet na lot na koniec świata?

1,3 tys. zł to nie jest standardowa cena za lot do Brazylii, a ja za tyle poleciałam. Jest mała szansa, aby za mniej niż 4 tys. zł polecieć w czasie słynnego karnawału, ale w listopadzie ub.r. co najmniej

kilkadziesiąt osób z Polski (m.in. wielu studentów, pływak, informatyk, bankowiec i dwóch mistrzów capoeiry, którzy taniego biletu do Brazylii szukali od roku) skorzystało z promocji linii Alitalia za 1,3 tys. zł.

Bilety można było kupić tylko w wersji multi-city (czyli wylatujemy z jednego lotniska, a wracamy na inne), pobyt na miejscu wyznaczały ściśle daty.

Aby dostać się do Rio, musieliśmy dojechać do Luksemburga, spędzić tam noc, potem dolecieć do Rzymu. Droga powrotna z Rio była nie mniej skomplikowana. Z Brazylii przez Rzym, kilka godzin czekania we Włoszech i lądowanie w Amsterdamie (tam czekał na nas bagaż). Najczęściej lądowania są w nieciekawych godzinach, ale z Amsterdamu za jednego funta (brytyjski Megabus) dojechaliśmy autobusem do Brukseli. Plus kilkadziesiąt złotych za taksówkę do taniego lotniska. A stąd Ryanairem za kilkadziesiąt złotych do Polski. Łączny dodatkowy koszt to ok. 400 zł.

Podsumowanie: 1,7 tys. zł w multi-city kontra np. 3,5 tys. zł z promocji KLM na grudniowy wylot.

W multi-city cenę obniża struktura taryf i podatków. Michał Gajewski z Loter.pl tłumaczy: – Wylatujemy z miasta, które ma bardzo niskie podatki wylotowe (np. lotniska we Włoszech) i akurat jest dobra taryfa na danej trasie, a wracamy na lotnisko, które ma świetną promocję na innym odcinku – taka kombinacja często obniża cenę biletów co najmniej o kilkaset złotych.

* Fly4free.pl uruchomi za chwilę specjalny serwis, w którym będzie możliwość wyszukania współpasażerów podróży. Po co? Bo bardziej oszczędzamy, gdy dzielimy koszty noclegu czy taksówki z lotniska do centrum na cztery osoby niż na dwie.

Hit – Nowy Jork za 646 zł!

* Pod koniec listopada ze znajomymi żyliśmy sensacją – najpierw o lotach za 646 zł, a potem za 830 zł do Wielkiego Jabłka z Warszawy. Serwery norweskiego pośrednika Wideroe, który sprzedawał bilety na loty linii lotniczych United, się zawiesiły. Kto pierwszy, ten lepszy. Biletów sprzedano ponoć 15 tys.

* Podobne promocje – z Londynu na Goa za 614 zł, z Pragi do Pekinu za 408 zł czy do Tokio za 536 zł – to kąski dla wytrawnych poszukiwaczy, nieosiągalne dla tych, którzy nie siedzą przyklejeni do komputera, z numerem karty kredytowej w pamięci.

* Ale osiągalna dla wszystkich była promocja Hawaje za 1,6 tys. zł czy lot na Sri Lankę w podobnej cenie – bilety były w ofercie przez parę dni.

* Warto zerkać na standardowe promocje linii lotniczych – wiele ma KLM. Kuba za 2,5 tys. zł (z Warszawy), wyloty z Polski do Szanghaju, Bangkoku, Kuala Lumpur czy do Manili w cenie do 2 tys. zł – można je łatwo kupić zimą.

Dlaczego warto kupować w grudniu?

* Kamil Lodziński z Fly4free.pl jest przekonany, że w najbliższych tygodniach czeka nas wiele atrakcyjnych wyprzedaży biletów. Tłumaczy to prostą zasadą – grudzień to ostatni kwartał roku i każda firma chce poprawić wtedy swoje wyniki finansowe.

A więc ceny za loty od stycznia do marca nie będą wysokie.

* Ci, którzy chcą wylecieć na święta czy Nowy Rok za kilkaset złotych, mogą to zrobić, szukając ofert superlastminute. Znajdziemy je w najatrakcyjniejszej cenie na zagranicznych portalach takich jak Flythomascook.com, Ltur.de, ale to wielka rzadkość.

Tanie bilety są z Matrixa

* Spektakularnie tanie bilety są dobrą techniką wejścia na nowy rynek. Na przełomie 2012 i 2013 roku najciekawsze bilety miały w

ofercie debiutujące w Polsce Qatar Airways i linie Emirates. Oferowały bilety m.in. do Azji za niecałe 2 tys. zł.

Łowcy lotniczych okazji przewidują, że na pierwsze urodziny, czyli w ciągu kilku następnych tygodni, linie znów rzucą pulę tanich biletów. Podobnie było z Etihad Airways, które choć teoretycznie nie mają wylotów z Polski, to dzięki korzystnej umowie z inną regionalną linią lotniczą z niektórych polskich miast zrobiły sobie tzw. huby, czyli punkty przesiadkowe. Stąd można było znaleźć bilety do Melbourne za 2 tys. zł czy przeloty do Singapuru albo Bangkoku za około 1,7 tys. zł.

* Promocje uruchamiane są też na start trasy, wiele osób za ok. 700 zł poleciało z Paryża do Kuala Lumpur.

* Jeśli zaczynają się pojawiać tanie bilety w linii X, to można się spodziewać, że linie Y i Z też rzucą coś fajnego.

* Najtańsze bilety można kupić, gdy pojawi się błąd systemowy. W sierpniu tego roku był jeden z najbardziej spektakularnych – błąd Alitalii z japońskim kodem rabatowym obniżającym cenę biletu do 0 zł. Przewoźnik wystawił wszystkie bilety w cenie od 1 centa w górę. Te darmowe zostały anulowane. Twórca MlecznePodroze.pl twierdzi, że gdy widzimy taką tanią ofertę, trzeba kupować czym prędzej.

Twórcy portali o tanim lataniu albo sami wyłapują takie błędy, albo wyszukują je, choćby dzięki bardzo dobrej, niezwykle zaawansowanej i niełatwej w obsłudze wyszukiwarce Matrix.itasoftware.com (ma dużo skomplikowanych filtrów; ale dobrze wyszukuje najtańsze oferty). Sami też piszą skrypty.

* Jeszcze jednym sposobem na tanie podróżowanie, chociaż też najbardziej męczącym, jest kupowanie osobnych biletów na różne trasy i pokonywanie odcinków z miasta do miasta drogą lądową. To patent na Amerykę Południową. Jeśli chcemy lecieć do Peru, może warto, jeśli jest dobra oferta, dostać się do Buenos Aires i

pojechać do Limy autobusem lub poszukać tanich regionalnych połączeń lotniczych.

_____

Gdzie tanio kupimy bilet: Empiktravel.pl, Flipo.pl, Tripsta.pl, Esky.pl, Expedia.de, Ltur.de, Condor.com, Flyscoot.com

Gdzie znajdziemy tanie oferty: Fly4free.pl, MlecznePodroze.pl, Loter.pl, Skyscanner.pl, Momondo.pl, Kayak.pl, Azuon.com, Matrix.itasoftware.com (dla zaawansowanych)

DLA POCZĄTKUJĄCYCH. SZEŚĆ PRZYKAZAŃ TANIEGO „LATACZA"

1. Nie ma jednego, uniwersalnego sposobu na znalezienie taniego biletu – trzeba próbować szczęścia, przeczesując masę stron – pośredników, przewoźników, blogów, forów podróżniczych, zapisując się do newsletterów, klubów linii lotniczych, lajkując ich strony na Facebooku, śledząc Twittera (ludzie i maszyny wykonają część poszukiwań za ciebie).

2. Planuj z wyprzedzeniem – najlepsze oferty są 4-5 miesięcy przed wylotem, a w tanich liniach między trzema miesiącami a trzema tygodniami.

3. Pamiętaj, że to linie lotnicze wybierają kierunek twoich wakacji, a nie ty. Jest niemal niemożliwe, aby dopasować tani bilet do ściśle wyznaczonych przez nas dat. Kosztem atrakcyjnej ceny jest przymus bycia elastycznym.

4. Bądź cierpliwy, ale szybki – znalezienie atrakcyjnej ceny może potrwać, na bilety na Tobago polowałam dwa lata, ale na podjęcie decyzji miałam trzy godziny.

5. Rozważ zakupy w pakietach – wielu pośredników sprzedaży biletów lotniczych oferuje w promocyjnym pakiecie z biletem lotniczym tanie zakwaterowanie, ubezpieczenie czy wynajem samochodu – mają korzystne umowy.

6. Podróż bez dodatkowego bagażu potrafi obniżyć koszty lotu na długich trasach nawet o 1 tys. zł.

AUTORKA O SWOICH NAJTAŃSZYCH LOTACH

* Mauritius z Frankfurtu 1 tys. zł,

* Nepal z Frankfurtu 1,6 tys. zł,

* Dominikana z Frankfurtu 400 zł,

* Madagaskar przez Mauritius z Warszawy ok. 3 tys. zł,

* 12 biletów po 1 zł Germanwings w 2007 roku,

* Warszawa – Hongkong – Sydney – Auckland – Bombay – Warszawa 5 tys. zł.

– ceny za bliety w obie strony

Sądzę, że przez ostatnie dziesięć lat zaoszczędziłam między 50 a 70 tys. zł.

Przyznam się, że przynajmniej raz dziennie muszę przeczesać internet (to trochę jak uzależnienie od totolotka), bo może akurat pojawi się bilet do Peru w niezwykle dobrej cenie. A na tę okazję czekam od lat

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

KONSOLE WALCZĄ O NASZĄ CHOINKĘ

Radzimy, co kupić, gdy bardzo chce się grać

PAWEŁ GÓRECKI

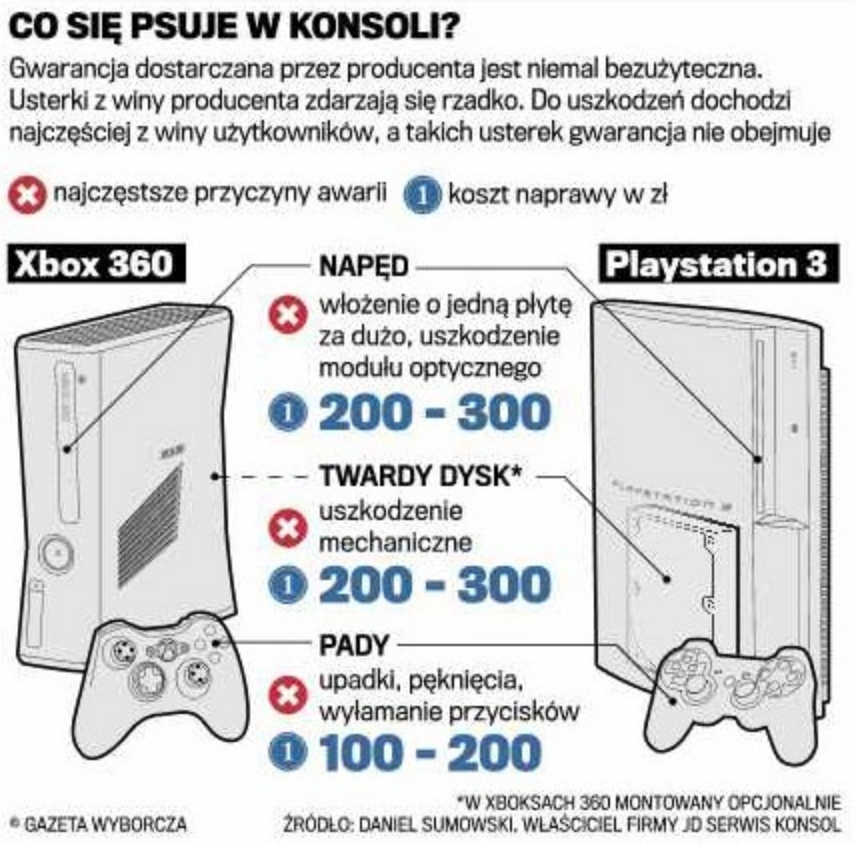
CO SIĘ PSUJE W KONSOLI?
Gwarancja dostarczana przez producenta jest niemal bezużyteczna. Usterki z winy producenta zdarzają się rzadko. Do uszkodzeń dochodzi najczęściej z winy użytkowników, a takich usterek gwarancja nie obejmuje
najczęstsze przyczyny awarii
koszt naprawy w zł
Xbox 360
Playstation 3
NAPĘD
włożenie o jedną płytę za dużo, uszkodzenie modułu optycznego
200 - 300
TWARDY DYSK*
uszkodzenie mechaniczne
200 - 300
PADY
upadki, pęknięcia, wyłamanie przycisków
100 - 200
*W XBOKSACH 360 MONTOWANY OPCJONALNIE
© GAZETA WYBORCZA
ŹRÓDŁO: DANIEL SUMOWSKI, WŁAŚCICIEL FIRMY JD SERWIS KONSOL

– Została tylko ta jedna demonstracyjna konsola. Rano mieliśmy ich ok. 300, ale rozeszły się w ciągu kilku godzin – powiedział mi ze smutną miną sprzedawca jednego z warszawskich sklepów Euro RTV AGD 29 listopada, w dniu europejskiej premiery PlayStation 4.

Tego dnia podobnie było w innych dużych sieciach handlujących elektroniką. W każdym ze sklepów Saturn (jest ich w Polsce 30) i Media Markt (47) na półkach znalazło się od kilkudziesięciu do kilkuset konsol. Znikły od razu. Do sklepów Komputronik nawet nie dojechały, bo wszystkie zostały wykupione w przedsprzedaży. Wprawdzie 7 grudnia do magazynów w całym kraju dowieziono kolejną partię, ale ta także znalazła klientów w ciągu godziny. – Ludzie czekają jeszcze przed otwarciem sklepu i w ciągu kilku minut konsole są już na ich wózkach. Przed świętami spodziewamy się jeszcze jednej partii, ale prawdopodobnie ona też zniknie szybko – mówi mi Wioletta Batóg, rzeczniczka Media Saturn Holding Polska.

Nikogo najwyraźniej nie zraża fakt, że w zależności od sklepu za konsolę trzeba zapłacić od 2000 do 2300 zł za wersję z jedną grą, najczęściej „Killzone".

Wygląda więc na to, że Polacy naprawdę pokochali gry na konsolach i chyba łatwiej im już poruszać się w wirtualnych światach „Assassin's Creed", „Call of Duty", „Halo", „Gears of War" czy „Uncharted", niż znaleźć drogę z Trzebiatowa do Kolbuszowej.

Microsoft nie zdążył

Jeszcze do niedawna liczyliśmy na to, że niemal równocześnie z PlayStation 4 na rodzimych półkach sklepowych znajdzie się konkurencyjna konsola Xbox One Microsoftu. Premiera tego urządzenia od dawna zapowiadana była na 22 listopada. I rzeczywiście tego dnia konsola pojawiła się w 13 krajach – w USA, Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii, Meksyku i sześciu krajach Europy Zachodniej. Niestety, nie w Polsce. Dla Microsoftu, jak widać, na razie jesteśmy rynkiem klasy B.

Kiedy nowy Xbox będzie u nas? Microsoft milczy, a sprzedawcy elektroniki, z którymi rozmawiałem, przebąkują coś o marcu przyszłego roku.

Czy warto czekać, czy już teraz postawić na konsolę Sony? A może rozsądniej w ogóle porzucić myśl o najnowszym sprzęcie, na który trzeba wydać ponad 2 tys. zł plus gry i wybrać zupełnie inną opcję: starszy i tańszy model konsoli, konsolę przenośną, gry na tablecie czy smartfonie albo na starym poczciwym pececie? Sprawdzamy.

To gry sprzedają konsole

Podsumowując, muszę stwierdzić, że mimo pewnych różnic same parametry nie ułatwiają wyboru. Jest jednak pewien szczegół, który może wskazywać zwycięzcę. To światowe dane na temat sprzedaży w pierwszym tygodniu po wprowadzeniu konsol na rynek. I PlayStation 4, i Xbox One trafiły w tym czasie do miliona klientów. Tyle że konsola Sony zadebiutowała w dwóch krajach (USA i

Kanadzie), a konsola Microsoftu w trzynastu. Dlaczego PlayStation zdaje się mieć więcej fanów? Powodem może być niższa cena, ale też kwestia wizerunku obu gadżetów. Microsoft na kilku konferencjach prasowych prezentował Xboksa One raczej jako multimedialne centrum rozrywki niż konsolę do gier. – Musimy jednak pamiętać, że to gry sprzedają konsole, a lepszych gier gracze spodziewają się po PlayStation. To prawda, że obie konsole mają swoje „duże" tytuły, ale PS4 ma tę przewagę, że będzie na nią więcej popularnych serii, które powstały jeszcze z myślą o PS3, takich jak „Uncharted", „Last of Us" czy „Killzone". Na Xboksa nie ma ich odpowiedników. Ponadto Sony bardzo wspiera niezależnych twórców gier i na PS4 takich niezależnych produkcji będzie nieco więcej, co też przyciąga potencjalnych nabywców – wyjaśnia Borys Brzozowski z Komputronik Megastore.

A może lepiej wybrać starszy model?

W końcu są to urządzenia gruntownie przetestowane. Znaleźć je można w setkach tysięcy polskich domów. – Niestety, na razie nie planujemy obniżek cen konsol PlayStation 3 – mówi mi Stefan Nabiałczyk z Sony Computer Entertainment Polska. Microsoft też nie obniża cen Xboksa 360, choć tu sprawa jest bardziej zrozumiała, bo nowej konsoli Xbox One na polskim rynku jeszcze nie ma. To, że ceny nie spadną, wcale nie znaczy jednak, że kupienie teraz jednego z nieco starszych modeli konsol to zły pomysł. Za takie urządzenie możemy zapłacić około 1000-1400 zł, często w zestawie znajdziemy grę, dodatkowy pad czy nawet kontroler ruchu. To i tak o połowę mniej, niż musielibyśmy wydać na jeden z najnowszych modeli. Czy przyjemność z grania na starszym modelu jest o połowę mniejsza niż na nowszym? Bardzo wątpliwe. To prawda, że PS4 i Xbox One oferują użytkownikom zanurzenie się w bardziej realistycznych niż dotąd wirtualnych światach, bogatsze tekstury, żywsze kolory, precyzyjniej dopracowane detale. Ogólny efekt nie jest jednak aż tak różny od tego, co dawały nam poprzednie modele konsol. Przesiadając się na nowy model konsoli, nie będziesz miał wrażenia, jakbyś zamienił rower na maserati quattroporte. – To

jedna z przyczyn, dla których stare modele konsol wciąż nie będą tanieć, a jeśli już, to minimalnie – ocenia Brzozowski. Poleca obejrzenie w sieci filmu, w którym na podzielonym na pół ekranie widać, jak gra „Assassins Creed" prezentuje się na PlayStation 4 i PlayStation 3. Różnice dotyczą głównie jasności obrazu.

Kupno konsoli nieco starszego typu jest więc wciąż godne polecenia, ale raczej PlayStation 3 niż Xboxa 360, ze względu na dostępność unikatowych gier, tzw. ekskluswiów, których na konsolę Sony powstało dużo więcej, oraz odtwarzacz Blu-ray. Jednak niezależnie od tego, którą ze starszych konsol wybierzemy, nie ruszą na niej nowe gry. Co innego, jeśli kupimy nowy model konsoli. Starsze gry wciąż będą dostępne. To między innymi za to musimy zapłacić dodatkowy tysiąc.

Jeśli jednak mimo trudności z dostępem do nowych gier decydujemy się na starszy model konsoli, poza Sony i Microsoftem na polskim rynku jest jeszcze trzeci gracz, choć bardzo zmarginalizowany. To firma Nintendo z konsolą Wii. Urządzenie to na świecie bije rekordy popularności, a u nas jest niemal nieznane. Wii ma nieco prostszą grafikę niż PS czy Xbox, ale gry pisane na nią doczekały się szerokiego grona fanów. U nas można ją znaleźć w nielicznych sklepach, głównie w internecie. Jest też kłopot z dostępem do gier. Jeśli zdecydujemy się na zakup, musimy być prawdziwymi pasjonatami.

A może przenośna?

Zamiast starszego modelu konsoli można również kupić… konsolę przenośną.

Ciężko porównywać ją ze stacjonarną, bo to urządzenie nieco innego rodzaju. Ma znacznie mniejszy ekran, mniej gier, prostszą grafikę. Ale są też plusy – wrzuca się ją do plecaka i wychodzi z domu. Można zagrać w tramwaju czy na wakacjach. Można dać ją dziecku, by nie nudziło się w podróży samochodem, zwłaszcza że można na niej odtwarzać też filmy. Wmontowany w niektóre

modele moduł GPS pozwala korzystać z konsoli jak z nawigacji satelitarnej. A całe urządzenie może też służyć do wysyłania maili czy rozmów wideo. Kupienie u nas dobrej konsoli przenośnej to jednak problem. Wiem, o czym mówię, bo sam niedawno szukałem takiego urządzenia dla syna. Wybór miałem mocno ograniczony, bo polski rynek został zdominowany przez jednego producenta – Sony. W sklepach można dostać najnowszą konsolę przenośną PS Vita albo jej poprzednią wersję – PSP. Wybór żadnej z nich nie jest w 100 procentach zadowalający, bo pierwsza jest droga (850 zł), a gier na nią mało. Druga ma gier sporo, jest o połowę tańsza, tyle że nie jest już produkowana, a nowe gry na nią nie powstają. Wybrałem Vitę, wiedząc, że można na nią pobrać gry z PSP. Poza tym to nowoczesne urządzenie z panelem dotykowym nie tylko z przodu, ale też z tyłu, dwiema kamerami i dobrym procesorem. Ale wybór wcale nie był oczywisty. Oprócz przenośnych konsol Sony są jeszcze urządzenia Nintnentdo z charakterystycznymi dwoma ekranami – modele DS3 i DS2. Podobnie jak Wii na świecie są popularne, ale w Polsce to kompletna nisza.

A jeśli nie konsola, to co?

Jeszcze w 2011 roku 86 proc. Polaków przyznających się do tego, że bawi się grami wideo, twierdziło, że robi to na komputerach osobistych. Dzisiaj to już 61 proc. – wynika z najnowszego raportu „Game Industry Trends 2013" sporządzonego przez firmę NoNoobs. Komputer PC to jednak wciąż najważniejsze narzędzie umożliwiające kontakt z grami, głównie dlatego, że to narzędzie dostępne.

Na Allegro komputer do grania można kupić już za 595 zł. Jest też grupa pasjonatów, która samodzielnie składa maszyny z myślą o grach albo kupuje gotowe zestawy charakteryzujące się głównie bardzo drogimi i zaawansowanymi technicznie kartami graficznymi. Ceny takich zestawów dochodzą nawet do kilkunastu tysięcy złotych. Za 15,6 tys. zł można kupić składaka z sześciordzeniowym

procesorem Intel-i7 Extreme Edition, czterema kościami pamięci po 8 GB, dyskiem twardym SSD 480 GB i dyskiem tradycyjnym 4 TB..

_____

2 tys. złotych

Tyle najmniej trzeba zapłacić za konsolę PlayStation 4 z grą

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

POJEDYNEK PS4 Z XBOX ONE

RED

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PS4 – Na PS4 będzie więcej popularnych serii, takich jak „Uncharted", „Last of Us" czy „Killzone" (na zdjęciu po lewej).

XBOX ONE – Zwolennicy Xboxa One mogą za to liczyć na dołączany za darmo kontroler ruchu Kinect i rodzynki takie jak Forza (na zdjęciu po prawej)

Czy są podobne?

Owszem

Pod względem technicznym obie konsole bardzo się do siebie zbliżyły. Podobne są w nich karty graficzne i pamięć.

I PS4, i Xbox One mają też takie same ośmiordzeniowe procesory AMD Jaguar o architekturze x86.

Czyli tutaj mamy remis

Czy można grać w nowości?

Symbol x86 w wolnym tłumaczeniu oznacza to, że są w swojej konstrukcji bardzo zbliżone do tych używanych w pecetach. To z kolei pozwala spodziewać się wielu gier multiplatformowych, a więc takich, które będą działać na Xboksie, PS4 i na komputerach osobistych, nawet gdy początkowo zostaną stworzone tylko na jedno z tych urządzeń.

Chyba że Sony albo Microsoft zapłacą za to, aby ktoś zrobił grę tylko dla nich (w przeszłości bywały takie przypadki, na przykład gra „Uncharted" powstała tylko na konsolę Sony).

Jeśli więc nastawiasz się na nowości w grach, teoretycznie nie powinieneś mieć z nimi problemu, niezależnie od tego, na którą konsolę się zdecydujesz. Zestaw gier startowych na PS4 (26 pozycji) jest porównywalny z tym na Xboksa (22).

Wynik? Lekka przewaga Playstation

Pogram w sieci?

Gra online? Graczy czeka niemiła niespodzianka. Osoby, które kupią nowe modele, muszą się liczyć z tym, że za możliwość grania z innymi przez internet trzeba będzie dodatkowo zapłacić. Czyli wykupić abonament, który uprawnia do pobierania nowych gier

raz w miesiącu, a niejako dodatkowo daje możliwość gry online. Abonament kosztuje ok. 200 zł rocznie.

To nowość wprowadzona zarówno przez Sony, jak i Microsoft wraz z debiutem nowych modeli konsol. – Utrzymywanie bezpłatnych usług tego rodzaju byłoby absurdalne, biorąc pod uwagę ostatnie inwestycje w infrastrukturę online – tłumaczył niedawno Shuhei Yoshida, prezes Sony Worldwide Studios.

Wynik? Remis

Obejrzę film?

Obie konsole mają też napędy Blu-ray, co znacznie ułatwia proces instalacji gier. Poprzednia wersja Xboxa była wyposażona tylko w DVD. Zamiast instalować grę z jednej płyty, trzeba było żonglować czterema czy pięcioma.

Poprzednia wersja PlayStation PS3 miała jednak już napęd Blu-ray, dzięki czemu można było na niej nie tylko grać, ale też oglądać filmy – w najlepszej dostępnej w domowych warunkach jakości.

Na dodatek cena PS3 przed kilku laty była zbliżona do ceny samego „gołego" odtwarzacza Blu-ray, dlatego wiele osób kupowało tę konsolę wyłącznie z tego powodu. Dzisiaj już tak nie jest, ceny odtwarzaczy Blu-ray bardzo spadły – niezłej jakości sprzęt można mieć już za 400 zł.

Ale jeśli poza grami lubisz też filmy w dobrej jakości, to to, że obie nowe konsole mają odtwarzacz Blu-ray, powinno cię zainteresować.

Oba urządzenia mają techniczną możliwość odtwarzania filmów w rozdzielczości 4K, czyli czterokrotnie większej niż full HD. Dla porównania: obraz w kinach jest 2K. Dla Polaków to jednak tylko (na razie) nieprzydatny bajer. Nie ma u nas praktycznie filmów w tym formacie. Przepraszam – można sobie pooglądać niektóre klipy na YouTubie. W dodatku, aby odtworzyć rozdzielczość 4K, trzeba

mieć telewizor, który jest w stanie to udźwignąć. Najtańszy sprzęt tego typu to 55-calowy Sony za… 14 999 zł.

Dla fanboyów rada – już dziś na Amazon.com można kupić 50-calowy telewizor 4K chińskiej firmy Seiki za 1399 dol.

Kiedy jednak w przyszłości standard 4K się upowszechni, właściciele konsol nie będą już musieli myśleć o oddzielnym odtwarzaczu. Na marginesie: Microsoft ani Sony na razie nie planują gier z obrazem w rozdzielczości 4K. Prawdopodobnie byłyby one zbyt dużym obciążeniem dla procesorów i kart graficznych.

Wynik? Remis

Trochę sportu?

Do pudełka z Xboksem producent dorzuca kontroler ruchu Kinect. Składa się z kamer i obsługującej je elektroniki. Kinect rozpoznaje i śledzi sylwetkę gracza, by ten mógł sterować obiektami na ekranie za pomocą ruchów całego ciała. Jeśli więc jesteś fanem gier ruchowych, takich jak „Kinect Sports" czy „Dance Central", nowa konsola Microsoftu jest dla ciebie.

Do poprzedniej wersji konsoli Microsoftu Kinect trzeba kupić oddzielnie i za niego zapłacić – ok. 350 zł. Ale z nową wersją konsoli Microsoftu znajdziesz jednak nowego, ulepszonego Kinecta z nieco bardziej wyczuloną kamerą.

Z tego jednak powodu w USA cena Xbox One (499 dol.) jest wyższa niż PS4 o całe 100 dol. Nie ma pewności, że w Polsce różnica pomiędzy cenami konsol będzie taka sama, ale prawdopodobnie także u nas urządzenie Microsoftu będzie droższe.

Japoński koncern wprawdzie też ma w swojej ofercie kontroler ruchu, Play Station Move (jeden można dostać za jakieś 140 zł), ale to zupełnie inny sprzęt. Przypomina rękojeść miecza świetlnego, w

którym laserowe ostrze zastąpiono niewielką świecącą kulką. Gracz trzyma taki kontroler w dłoni albo dwa kontrolery w obu dłoniach.

Oko kamery podłączanej do konsoli śledzi świetlne punkty i dzięki temu wie dokładnie, jakie ruchy wykonujemy. Przewagą tego rozwiązania nad Kinectem jest precyzja. Minus jest taki, że system śledzi tylko ruchy rąk, a nie całego ciała.

Play Station Move trzeba kupić oddzielnie, w zestawie z PS4 go nie znajdziemy. A to oznacza, że ceny obu konsol z kontrolerami mogą okazać się porównywalne, a wybór pomiędzy nimi – jeszcze trudniejszy.

Wynik – przewaga Xboksa

Jak z łącznością?

Jedyna rzecz, która znacząco odróżnia Xboksa One od PS4, to HDMI. Owszem, obie nowe konsole mają wyjścia HDMI pozwalające wysyłać obraz wysokiej rozdzielczości do telewizora, monitora czy projektora. Jednak tylko Xbox One ma dodatkowo wejście. Do niego można podłączyć na przykład tunery telewizji satelitarnej lub kablowej czy zewnętrzny odtwarzacz DVD i sterować nimi z poziomu konsoli. Co ciekawe, do Xboksa można podłączyć nawet… konkurencyjną konsolę PlayStation 4. To rozwiązanie korzystne dla prawdziwych maniaków gier, którzy muszą mieć w domu oba sprzęty. Dzięki niemu nie trzeba przepinać wszystkich kabli za każdym razem, gdy chce się zmienić konsolę.

Wejście HDMI sprawia ponadto, że Xbox może pełnić funkcję centrum domowej rozrywki.

Zwłaszcza że sterowanie nim jest dość łatwe za sprawą nowego interfejsu użytkownika będącego odmianą systemu Windows 8. O interfejsie z PS3 nie dało się powiedzieć, że jest intuicyjny.

Wynik? Przewaga Xboksa

***

Sony w przeciwieństwie do Microsoftu ma w swojej ofercie konsole przenośne. Jeśli ktoś ma takie urządzenie, może zdalnie połączyć je z konsolą stacjonarną i używać jako dodatkowego pada albo też bawić się grą ze stacjonarnej konsoli na ekranie konsoli przenośnej. Xbox nie daje takich możliwości.

Przewaga Playstation

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

SAMCIK NA BLOGU I PAPIERZE

DŁUGI W SPADKU? WIEM, JAK ICH UNIKNĄĆ

MACIEJ SAMCIK

Jakiś czas temu opisywałem na blogu przypadek dwóch chłopców, których ojciec odszedł z domu, pozaciągał długi, po czym mu się zmarło. Sąd zadecydował o przyjęciu przez nich spadku z dobrodziejstwem inwentarza (a więc z odpowiedzialnością za długi tylko do wysokości dziedziczonego majątku).

SKOK, któremu zmarły ojciec był winien 10 tys. zł, poczekał, aż spadkobiercy skończą 18 lat i... zgłosił się po zwrot pieniędzy. Razem z odsetkami – 40 tys. zł. Dziś podobna sprawa – Ewelina skończyła niedawno 18 lat. Dowiedziała się właśnie, że odziedziczyła z urzędu trochę ziemi po zmarłym ojcu. Ojciec nie wychowywał córki i nie utrzymywał z nią kontaktu.

Do drzwi pani Eweliny zapukał też komornik z żądaniem zwrotu kilkudziesięciu tysięcy złotych długów po ojcu. Pani Ewelina nie wiedziała o postępowaniu spadkowym ani o długach ojca. Co robić

w takiej sytuacji? Zgodnie z prawem Ewelina ma pół roku na odrzucenie spadku. Czas biegnie od momentu, w którym się o nim dowiedziała. Musi więc pójść do notariusza, spisać oświadczenie i przedstawić je komornikowi.

Ale jest też drugie rozwiązanie, by uniknąć sytuacji, w której o długach spadkowych dowiadujecie się od komornika. Co prawda nie ma żadnego sposobu, by ustalić, czy spadkodawca zostawił po sobie długi, dopóki nie przyjmie się spadku. Ale zaraz po przyjęciu spadku trzeba podreptać do Biura Informacji Kredytowej i złożyć wniosek o raport o spadkodawcy. W BIK są dane o 99 proc. kredytów bankowych oraz pożyczek ze SKOK-ów (nie ma niestety długów z firm pożyczkowych).

Na wycieczkę do BIK trzeba zabrać postanowienie sądu stwierdzające nabycie spadku lub akt notarialny poświadczający dziedziczenie (oryginał, ewentualnie kopia poświadczona przez notariusza), a także akt zgonu spadkodawcy. Można też wysłać wszystko pocztą.

Jeśli na podstawie lektury dokumentów okaże się, że spadkodawca był niezłym ziółkiem, idziemy do prawnika, by sporządził w naszym imieniu wniosek do sądu o uchylenie się od skutków oświadczenia o przyjęciu spadku. Należy powołać się na art. 1019 kodeksu cywilnego mówiący o działaniu pod wpływem błędu. Patent zadziała, jeśli dochowaliśmy staranności w sprawdzeniu, jak wygląda stan finansowy spadkodawcy.

Wyjaśnienie: przed tygodniem napisałem, że aby uzyskać gwarancję najniższego oprocentowania pożyczki w Banku Millennium trzeba przynieść umowę zawartą z innym bankiem. Na szczęście – jak wyjaśnił bank – wystarczy formularz informacyjny.

SUBIEKTYWNIE O FINANSACH: SAMCIK.BLOX.PL

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

MÓJ FINANSOWY TRIK NIE TYLKO NA DZIŚ

PRZED GWIAZDKĄ WARTO ZGUBIĆ KARTĘ?

MACIEJ SAMCIK

Boże Narodzenie to dla naszych portfeli jeden z najbardziej niebezpiecznych momentów w roku. Wydatków jest tak wiele, że nawet największe asy mogą stracić kontrolę nad stanem konta. Mnie zdarza się to prawie zawsze. Teraz będzie jeszcze gorzej, bo prawie wszystkie karty w moim portfelu mają funkcję zbliżeniową. I o ile kiedyś płaciłem plastikiem tylko za większe zakupy, to teraz – prawie za wszystkie. Kontrolowanie wydatków stało się jeszcze trudniejsze.

Życie nieoczekiwanie podsunęło mi rozwiązanie, które w tym roku przetestuję. Otóż dwa miesiące temu zgubiłem kartę debetową. Zgłosiłem przez internet zapotrzebowanie na nową, ale minął tydzień, potem dwa, a karty nie było. I nie ma do dziś. Na początku zamierzałem się awanturować, ale zauważyłem, że jeśli idę do banku i wyjmuję określoną sumę, która musi mi wystarczyć na dwa tygodnie, to... wydaję jakby mniej. Widzę, jak stosik banknotów w portfelu topnieje i bardziej miarkuję się z zakupami. A jak pieniądze się kończą, to po prostu nie kupuję. I jakoś żyję.

Chyba poczekam z wyrobieniem nowej karty do stycznia, kiedy wokół portfela zrobi się bezpieczniej. Tylko co zrobić z kartami kredytowymi, które też przydałoby się zgubić, przynajmniej na święta? Może zainwestować w sejf? I zapomnieć kod?

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

INTERWENCJE: EKIPASAMCIKA@WYBORCZA.BIZ

BANK NIE CHCE FRANKA, KLIENCI NA LODZIE

MONIKA TRUSZKOWSKA, MACIEJ SAMCIK

Alior Bank wycofał ze swoich oddziałów franki szwajcarskie w gotówce. Temu, komu kończy się lokata w tej walucie, musi się zgodzić na wypłatę pieniędzy w złotych bądź na horrendalnie drogi przelew franków na konto walutowe w innym banku. Ekipa pyta: dlaczego bank zostawia klientów na lodzie?

Ten bank od samego początku kreował się nie tylko na najbardziej nowoczesny (tablety w każdej placówce), ale i na najbardziej przyjazny bank dla podróżników. Jednak ostatnio mocno podpadł części klientów, ogłaszając, że nie będzie już prowadził wpłat i wypłat franków szwajcarskich w gotówce. Nowe warunki obowiązują od początku listopada. To kłopotliwa zmiana dla osób, które mają lokaty w tej walucie albo trzymają franki na koncie walutowym. Co prawda zmianę zasad gry ogłoszono już pod koniec sierpnia, więc każdy klient miał dwa miesiąca na wycofanie franków z banku, ale niektórzy mieli lokaty frankowe, które wygasały już po 1 listopada, i nie chcieli ich zrywać przed terminem. A teraz mają problem.

– Bank ogłosił, że kwota lokaty zostanie wypłacona w złotych przeliczonych po kursie NBP. Mam ulokowaną dużą kwotę i jej wypłata w złotych oznacza dla mnie duże straty, bo zanim założę lokatę w innym banku, uzyskane złotówki będę musiała znów zamienić na franki – opowiada jedna z klientek. Bank daje też drugą opcję: przelew lokaty na konto prowadzone we frankach w innym banku. – Ta możliwość jest również nieopłacalna. Prowizje, jakie bank pobiera od przelewów zagranicznych, kilkakrotnie przekroczą kwotę odsetek od lokaty – skarży się klientka.

Inna czytelniczka twierdzi, że w ogóle nie wiedziała o zmianie zasad. – W banku bywam raz w miesiącu i w żadnym oddziale nie zetknęłam się z informacją o zaprzestaniu wypłacania franków. Z internetowej bankowości w Aliorze nie korzystam, więc zamieszczonego tam komunikatu nie widziałam. W oddziałach mówią tylko, że „były wywieszone karteczki" – opowiada. – Gdybym wiedziała, że tak kombinują, tobym natychmiast wycofała stamtąd pieniądze. Pracownicy w oddziale mówili, że takich sytuacji mają więcej.

Ekipa Samcika postanowiła zająć się tą sprawą i zapytać szefów banku, czy ich zdaniem na pewno wszystko jest w porządku. – Bank informował o zmianach z dwumiesięcznym wyprzedzeniem, by każdy z klientów miał możliwość zapoznania się z nimi i ewentualnie mógł wypowiedzieć umowę – usłyszeliśmy w odpowiedzi.

Sęk w tym, że – co przyznaje sam bank – rozwiązując umowę, klient traciłby wszystkie odsetki. „W przypadku odstąpienia przez klienta od umowy lokaty terminowej przed dniem jej zapadalności Bank ma prawo do nienaliczania odsetek". – Kiedy bank zawierał z nami umowy lokat, nie informował, że zasady zmienią się w trakcie jej trwania. Najkorzystniejszym wyjściem dla mnie byłoby zerwanie lokaty jeszcze w październiku, ale to z kolei oznaczałoby utratę odsetek. W normalnych warunkach byłoby to zrozumiałe, jednak w tym konkretnym wypadku zerwanie lokaty nastąpiłoby z powodu zmian zasad wprowadzonych przez bank, więc powinien wypłacić naliczone już odsetki – mówi jedna z klientek.

Uważamy, że bank pomimo zmiany zasad gry powinien do końca obsługiwać klientów, którym wygasają lokaty, na takich zasadach, na jakie się z nimi umówił. Jeśli nie wypłaca franków w gotówce, to przynajmniej niech weźmie na siebie koszty przelewu franków do innego banku. Liczymy, że bank zachowa się fair wobec klientów.

Ściągnęli mu pieniądze z karty, a bank odmówił pomocy. Ekipa w akcji

K ilka tygodni temu w internetowym wydaniu „Pieniędzy Ekstra" opisaliśmy problem jednego z klientów banku Citi Handlowego, któremu z karty zniknęło 2,5 tys. zł. Klient zgłosił do banku reklamację, ale usłyszał, że ponieważ zwrócił się z problemem zbyt późno, to bank nie zajmie się sprawą. Sprawa wydała nam się kontrowersyjna, bo klient zeznał, że pieniądze pobrała hiszpańska firma wynajmująca samochody. Pan Krzysztof korzystał z jej usług w 2011 r., ale od tego czasu nie był w Hiszpanii. Obciążenia opiewały na poważne kwoty – 27 lutego 2013 r. Hiszpanie zabrali mu z konta karty 280 euro, a 13 marca – kolejne 330 euro. – W tym czasie przebywałem w Polsce i nie wypożyczałem samochodu. Złożyłem więc reklamację w Citi Handlowym. Ten jednak odrzucił ją, powołując się na regulamin organizacji płatniczej MasterCard, z którego wynika, że reklamację można składać tylko w ciągu 120 dni od kwestionowanej transakcji – opowiadał pan Krzysztof.

Banku nie zainteresowało, czy była to pomyłka, czy też kradzież z karty klienta. Dlaczego nie podjął trudu wyjaśnienia zagadki, tylko umył ręce, powołując się na „przedawnienie"? Dorota Szostek-Rustecka z Citi Handlowego powiedziała nam, że ze strony banku nie było żadnego zaniedbania, bo skoro klient przekroczył terminy składania reklamacji, to bank miał prawo ją odrzucić z przyczyn formalnych. I w ogóle nie wnikać w to, czy ktoś ukradł panu Krzysztofowi pieniądze, czy nie. Mimo wszystko przedstawicielka Citi Handlowego zadeklarowała pomoc czytelnikowi.

Czekaliśmy na finał tej sprawy i... w końcu się doczekaliśmy. Pan Krzysztof przysłał nam kolejny list. „Dzień dobry! Z prawdziwą przyjemnością donoszę o naszym zwycięstwie nad bezduszną biurokracją bankową. Podkreślam słowo »nasze«, bo bez Państwa pomocy i presji najpewniej sprawa zostałaby zamieciona pod dywan. Zadzwoniła do mnie przedstawicielka Citi Handlowego. Podczas dość długiej rozmowy zostałem kilkakrotnie przeproszony

za treść i przede wszystkim za formę reakcji banku na moją spóźnioną reklamację. Bank żałuje, że nie podjął nieformalnych kroków, by wyjaśnić sprawę. Bank podjął decyzję o zwrocie nienależnie pobranych pieniędzy. Mój przypadek podobno posłużył do modyfikacji zaleceń dotyczących obsługi reklamacji".

Ekipa dziękuje bankowi, także za zmianę procedur reklamacyjnych. Może dzięki temu w przyszłości klienci, których okradziono na odległość, nie będą odsyłani z kwitkiem.

OPRAC. MACIEJ SAMCIK

Konsultantka zrozumiała. I zapamięta na zawsze

To wyjątkowo irytujące: przychodzą do ciebie SMS-y adresowane do kogoś zupełnie innego. Zgłaszasz do nadawcy, a ten... nadal wysyła ci te drażniące SMS-y. Prosisz drugi, trzeci raz – to samo. Co robić? Czasem, niestety, trzeba napisać do Ekipy.

Pan Jacek jest klientem firmy Multimedia Polska. Ostatnio dostał niepokojącego SMS-a: „Prosimy o pilne uregulowanie zaległych opłat. Brak zapłaty spowoduje wstrzymanie naszych usług. Infolinia tel. 244 244 244". Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby klient faktycznie zalegał z jakimiś opłatami. Ale wszystkie faktury opłacał w terminie.

„Dzwonię na infolinię, tam pracownica potwierdza, że nie mam żadnej zaległości. Pytam, o co chodzi z tym SMS-em. Pani na to, że prawdopodobnie ktoś podał mój numer telefonu jako swój telefon kontaktowy i firma będzie mi takie SMS-y przesyłała. Oznajmiłem pani, że nie chcę otrzymywać fałszywych powiadomień. A konsultantka na to, że ona nie ma możliwości sprawdzenia, kto podał taki numer telefonu. I że jedyna możliwość to usunięcie go przez osobę, która się pomyliła. Czy jest to normalne?" – pyta nasz czytelnik.

Zapytaliśmy o to Krystynę Kanownik z firmy Multimedia Polska. „Przykro mi, że naraziliśmy naszego klienta na stres i zajęliśmy mu czas. Nawiązaliśmy z nim kontakt, wyjaśniliśmy źródło zamieszania i przeprosiliśmy za wszystkie niedogodności. Konsultantka wprowadziła w błąd klienta. Zrozumiała i na pewno zapamięta na zawsze. Fatalny zbieg zdarzeń – na szczęście klient zaakceptował nasze wyjaśnienia i przyjął zapewnienia, że nie będzie od nas otrzymywał błędnych informacji" – odpowiada Krystyna Kanownik.

Ekipa dziękuje i ma nadzieję, że konsultantki nie spotkała zbyt okrutna kara... Bo jak czytamy, że „zrozumiała i na pewno zapamięta na zawsze", to ciarki przechodzą nam po plecach.

OPRAC. MONIKA TRUSZKOWSKA

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

UWAGA, PROMOCJA!

JAK NIE PRZEJECHAĆ SIĘ NA MIODZIE?

PIOTR MIĄCZYŃSKI, LESZEK KOSTRZEWSKI

FOT. -
Miód wielokwiatowy z Biedronki zawiera miody polskie, bułgarskie, rumuńskie i ukraińskie

„Rewelacja z Biedronki – miód wielokwiatowy. Z ciekawości chciałem zobaczyć, skąd pochodzi, i tu wielkie zaskoczenie" – pisze do nas pan Wojciech.

Miód nie jest bowiem z pasiek Małopolski czy województwa zachodniopomorskiego. Na słoiku jak byk za to stoi: „Mieszanka miodów wyprodukowanych w UE i krajach spoza UE".

Co to za dziwo? Takie oznaczenia na słoikach to nic innego jak wytrych, który ma ukryć fakt, że mamy do czynienia z miodem pochodzącym zazwyczaj z Chin, czasami z Ukrainy, Rumunii, Bułgarii, a nawet z Argentyny albo Nowej Zelandii.

Prawo nie wymaga, aby podawać listę krajów, z których miód pochodzi. Producent ani sprzedawca nie muszą tego ujawniać. Podobnie zresztą nie ma obowiązku zaznaczania na etykiecie, jaka

część tej mieszanki to miód unijny, a jaka spoza terenu UE. A szkoda.

Biedronka nie jest tu zresztą wyjątkiem. Podobnego rodzaju oznaczenia są choćby na miodzie z Piotra i Pawła.

Oczywiście chodzi o pieniądze. Mieszanki są po prostu tańsze niż miód produkowany na terenie kraju.

Miód wielokwiatowy z Biedronki, co ustaliliśmy w biurze prasowym dyskontu, zawiera miody polskie, bułgarskie, rumuńskie i ukraińskie. Poznaniacy z Piotra i Pawła zarzekają się z kolei na swoim profilu na Facebooku, że ich miód nie jest chiński, bo „tak deklaruje producent, który dla nich ten towar robi".

Dlaczego importerzy tak bardzo unikają skojarzeń z miodem „made in China"? Z prostej przyczyny, jedzenie produkowane w Chinach nie budzi najlepszych skojarzeń, na dodatek część konsumentów ciągle pamięta aferę z chloramfenikolem (rodzaj antybiotyku) wykrytym kilka lat temu w chińskim miodzie.

Mimo to w ciągu ostatnich pięciu lat import miodu z Chin do Unii wzrósł o blisko 50 proc. (dane za PAP). Dlaczego? Bo jest dwa razy tańszy niż ten z UE. Organizacja skupiająca wspólnotowych rolników – Copa-Cogeca – zaapelowała nawet w tegoroczne wakacje do Komisji Europejskiej o podjęcie działań w sprawie wwozu na teren UE taniego miodu z Chin, żądając np. wprowadzenia na niego specjalnych ceł.

Na miód z Chin najłatwiej trafić, kupując go w słoikach przy drodze. Zamiast polskiego miodu dostajemy chiński, tyle że z ładną nalepką udającą produkt lokalny.

Roczne spożycie miodu w naszym kraju to tylko ok. 0,62 kg/osobę. Natomiast w Grecji jest to 3,5, w Austrii – 2,5, a w Niemczech ok. 2 kg/rok/os. W ubiegłym roku produkcja miodu w Polsce wyniosła ok. 18 tys. ton. Średnia produkcja miodu z ostatnich dziesięciu lat to

15 tys. ton rocznie. W tym roku sprowadzimy kolejne 15 tys. ton z zagranicy.

Miód z Polski jest, owszem, droższy, ale poza granicami naszego kraju uchodzi za wyjątkowy delikates.

Na przykład Niemcy niebywale cenią miód wrzosowy z etykietą „made in Poland". Ma wyjątkowy smak. Zróbmy im konkurencję i... zjedzmy go sami.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

KARTA NA ZAKUPACH

Z PLASTIKIEM PRZEZ SIEĆ

Złodzieje nakupili sobie na mój koszt masę sprzętu windsurfingowego – opowiada nasza czytelniczka. Radzimy, jak uniknąć takiej sytuacji i bezpiecznie robić zakupy w internecie

MATEUSZ OSTROWSKI

Sprzedaż internetowa rośnie jak na drożdżach i jak wynika z raportu eCommerce 2013 publikowanego przez Internet Standard, to już 3,5 proc. całości sprzedaży detalicznej. I w najbliższych latach ten rynek będzie dalej się rozwijać. Żeby zakupy w internecie były bezpieczne, warto się do nich przygotować.

Komputer – co trzeba w nim mieć

Jeśli chcesz kupować w sieci, zadbaj o komputer. Dobry program antywirusowy to podstawa i jak mówi Maciej Ziarek, ekspert ds. bezpieczeństwa IT w Kaspersky Lab Polska, warto, by był wyposażony w wirtualną klawiaturę.

– To program, który pozwala wprowadzać hasła i kody za pomocą myszy na wyświetlanej na ekranie klawiaturze. Możemy mieć bowiem na komputerze zainstalowany program przechwytujący dane. Wykorzystuje on do tego zwykłą klawiaturę, więc jeśli korzystamy z tej wirtualnej, będziemy bezpieczni. Taki program może być dodatkiem do płatnego pakietu antywirusowego – mówi Maciej Ziarek. W sieci dostępne są też darmowe wersje takiego programu.

Absolutną podstawą jest dobry program antywirusowy, który w pakiecie będzie miał tzw. zaporę ogniową, czyli filtr niedopuszczający na nasz komputer złośliwych aplikacji. Płatne pakiety antywirusowe gwarantują lepszą ochronę, a koszt takiego rozwiązania to wydatek rzędu 50-150 zł w skali roku.

Uważaj na oszustów

Własny komputer możemy dobrze zabezpieczyć, ale te dostępne w publicznych miejscach mogą być zainfekowane przez wirusy, dlatego lepiej unikać np. kawiarenek internetowych. Kiedy już wejdziemy na stronę WWW sklepu, warto sprawdzić, czy połączenie jest szyfrowane, czyli czy adres strony zaczyna się od https:// zamiast standardowego http://, oraz czy w dolnym rogu okna przeglądarki internetowej znajduje się symbol kluczyka lub kłódki.

Czasami jednak to nie wystarczy, o czym przekonała się Maria Skownacka. – Zostałam oszukana, bo okazało się, że strona sklepu była fałszywa. W ten sposób wykradziono moje dane i próbowano później zrobić zakupy na mój koszt. Dowiedziałam się później, że trzeba jeszcze sprawdzać, czy strona posiada certyfikat. Dopiero to daje 100-proc. pewność, że wszystko jest w porządku – mówi pani Maria.

To, czy dana strona posiada certyfikat, łatwo sprawdzić, klikając na ikonę kłódki. Możemy też ustawić odpowiednio ustawienia przeglądarki, tak by pokazywała nam certyfikaty.

Spełnienie technicznych wymagań to jednak nie wszystko, bo trzeba jeszcze sprawdzić sam sklep. Tylko jak w internecie rozpoznać zaufanego dostawcę, kiedy nie można zobaczyć, jak mu z oczu patrzy? To faktycznie minus, ale za to ogromnym plusem sieci jest łatwy dostęp do informacji. Wystarczy sprawdzić komentarze i opinie innych użytkowników dotyczące danego sklepu. Zajrzeć na internetowe fora czy też przejrzeć informacje na stronach porównywarek cenowych. I poszukać, co internauci piszą o realizacji transakcji, dostawie czy o ewentualnych reklamacjach. Dzięki temu szybko unikniemy nierzetelnych sprzedawców.

Marcin Chruściel, dyrektor departamentu kart kredytowych Raiffeisen Polbank, zwraca również uwagę na sposób realizowania samej płatności. – Większość sklepów internetowych w Polsce nie przyjmuje bezpośrednio płatności. Po dokonaniu zamówienia w sklepie powinniśmy zostać przekierowani na stronę bezpiecznego dostawcy płatności – mówi Marcin Chruściel. Jeśli trafimy na stronę Dotpay czy PayU, czy innej znanej firmy realizującej płatności, to możemy obdarzyć sklep większym zaufaniem.

Kiedy nie ma czasu czekać

Za internetowe zakupy możemy płacić na różne sposoby. Wciąż popularne są tradycyjne przesyłki za pobraniem czy zwykłe przelewy. Jednak coraz częściej klienci korzystają z bardziej nowoczesnych rozwiązań jak chociażby przelewy pay-by-link. Po dokonaniu zakupu klient zostaje przekierowany na stronę swojego banku, gdzie po zalogowaniu się i dokonaniu autoryzacji płaci za wybrany towar. Jak mówi Dagmara Królikowska, ekspertka z wydziału kart kredytowych mBanku, nie muszą to być środki z rachunku bieżącego.

– Niektóre banki umożliwiają w ramach tego narzędzia płacenie środkami z rachunku karty kredytowej. Co ważne, zazwyczaj taka płatność traktowana jest przez bank jak zwykły przelew internetowy i w większości wypadków nie wiąże się z

dodatkowymi kosztami oraz skróceniem okresu bezodsetkowego na karcie – mówi Królikowska.

Inny sposób to płatność bezpośrednio kartą kredytową. Wystarczy podać numer karty, datę ważności, imię i nazwisko oraz umieszczony na odwrocie kod bezpieczeństwa zwany CVV2 lub CVC2. To wystarczy do natychmiastowej autoryzacji transakcji. Coraz częściej w ten sam sposób można dokonywać transakcji kartami debetowymi, o ile nasz bank dodaje do nich taką możliwość.

Dla Marka Robowskiego, warszawskiego biznesmena, który często lata po Europie w służbowych sprawach, karta kredytowa to podstawowy sposób zakupu biletów. – Bardzo często muszę kupować bilety z dnia na dzień i nie mam czasu czekać na realizację zwykłego przelewu. Płacę za bilet od ręki kartą kredytową. A dodatkową korzyścią jest to, że realnie będę musiał za niego zapłacić dopiero w przyszłym miesiącu, kiedy bank przyśle mi zestawienie transakcji z karty kredytowej. Spłacam zawsze całość zadłużenia, więc nie płacę odsetek – mówi Marek Robowski.

Uwaga na tanie linie lotnicze – często doliczają dodatkową opłatę za transakcję kartą kredytową.

Plastikowe pieniądze mogą się okazać niezbędne, kiedy chcemy zarezerwować hotel za granicą. Wygodnie płaci się w ten sposób również w zagranicznych sklepach internetowych. I oczywiście poza internetem również znajdziemy miejsca, gdzie wymagane są karty kredytowe, jak chociażby wypożyczalnie samochodów.

Pan Marek wspomina również sytuację w austriackiej linii kolejowej. – Chciałem zapłacić kartą za obiad w barze i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu okazało się, że barman wyciągnął spod lady taki stary, ręczny terminal do akceptacji kart zwany „żelazkiem". Potrzebna była do niego wypukła karta – wspomina Marek Robowski. I te wypukłe karty to właśnie najczęściej kredytówki,

choć trzeba też przyznać, że trafić na taki stary terminal jest już coraz trudniej.

Plastikowe BHP

Dagmara Królikowska, ekspertka z wydziału kart kredytowych mBanku: – Nie należy ujawniać swojego kodu PIN, zwłaszcza w internecie. Żaden sprzedawca, tradycyjny czy internetowy, nie ma prawa żądać jego ujawnienia. Jedynym kodem podawanym podczas transakcji zdalnych jest kod umieszczony na odwrocie karty, czyli CVV2 lub CVC2. Nie należy również podawać kodu PIN osobom podającym się za pracowników banku. Pracownik banku nigdy o to nie zapyta – mówi Królikowska.

Oczywiście w przypadku zgubienia czy kradzieży karty kredytowej należy ją jak najszybciej zastrzec, bo przecież znalazca będzie miał wszystkie dane potrzebne do wykonania zakupu na nasz koszt.

Pamiętamy też o wspomnianych wcześniej zaleceniach, czyli sprawdzeniu, czy strona ma certyfikat, czy połączenie jest szyfrowane, czy mamy do czynienia z profesjonalną firmą obsługującą płatność.

Karta w prezencie pod choinką?

To wszystko powinno zabezpieczyć transakcję kartą kredytową, ale dla sceptyków są dodatkowe rozwiązania zwiększające bezpieczeństwo.

Systemy 3D Secure. Tak jak wprowadzenie mikroprocesorów zwiększa bezpieczeństwo kart w przypadku tradycyjnych transakcji, tak powyższe rozwiązanie zmniejsza ryzyko internetowych transakcji. Po dokonaniu zakupu, zamiast podawania kodu wypisanego na odwrocie karty, klient zostaje przekierowany na specjalną stronę internetową, najczęściej do serwisu bankowości internetowej, gdzie musi wpisać jednorazowe hasło, które dostaje przez SMS lub za pomocą tokenu. Jest to więc dodatkowa forma autoryzacji. Takie rozwiązanie już kilka lat temu wprowadził Bank

Zachodni WBK. Potem dołączyły do niego inne instytucje, jak chociażby Citibank, Bank Pekao, Bank Millennium, ING Bank.

Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że to rozwiązanie również nie daje 100 proc. pewności, bo nie wszystkie e-sklepy korzystają z tej technologii. Przekonała się o tym Barbara Zamojska, której na wakacjach w Egipcie skradziono kartę kredytową.

– Wiedziałam, że moja karta ma to dodatkowe zabezpieczenie, bo wielokrotnie z niego korzystałam. Jednak zanim zastrzegłam kartę, złodzieje znaleźli sklep, w którym można było zrobić zakupy w tradycyjny sposób, czyli podając ten kod z tyłu karty. I nakupili sobie na mój koszt masę windsurfingowego sprzętu. Na szczęście moja karta była ubezpieczona, więc nie straciłam ani złotówki, ale bardzo się denerwowałam – wspomina pani Barbara.

Jest jeszcze jeden sposób, który może poprawić bezpieczeństwo internetowych transakcji, a mianowicie karty wirtualne albo przedpłacone. Ładuje się je odpowiednią kwotą gotówki, więc ewentualny złodziej może wykorzystać tylko to, co się na niej znajduje, a nie cały limit kredytowy czy wszystkie pieniądze na koncie.

Wirtualne plastiki do płacenia w sieci mają w swojej ofercie mBank, ING Bank, BZ WBK.

Karty przedpłacone znajdziemy również w BZ WBK i ING, ale także w Banku Pekao, Citibanku, BNP Paribas i w Millennium. Karty przedpłacone są niespersonalizowane, a więc może z nich korzystać każdy. Może to dobry pomysł na świąteczny prezent?

ZDANIEM EKSPERTA

Maciej Pieczkowski, dyrektor departamentu produktów detalicznych Banku BPH: Trudno dzisiaj wyobrazić sobie zakupy w internecie bez karty kredytowej czy debetowej. Bez karty nie da się zarezerwować miejsc w wielu hotelach czy wypożyczyć samochodu.

Robiąc zakupy w internecie, korzystamy z różnych możliwości płatniczych: szybkich i standardowych przelewów oraz płatności za pobraniem. Aby ułatwić kupowanie w sieci, firmy zrzeszające wydawców kart płatniczych planują w przyszłym roku wprowadzenie nowych rozwiązań pozwalających płacić kartą za pomocą tylko trzech–czterech kliknięć myszką. To może dodatkowo zachęcić posiadaczy kart do robienia zakupów przed monitorem komputera czy urządzeń mobilnych.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

KONIEC JESIENI, W PONIEDZIAŁEK LOSOWANIE 1/8 FINAŁU

Wszyscy bohaterowie Ligi Mistrzów

RAFAŁ STEC (GAZETA WYBORCZA)

FOT. CLAUDE PARIS / AP

Kevin Grosskreutz zapewnił wczoraj Borussii awans do 1/8 finału. Był to drugi gol w Lidze Mistrzów w jego karierze

A najbardziej skrzywdzeni – jeśli w sporcie w ogóle jest sens używać tego pojęcia – na pewno poczuli się piłkarze Napoli. Los skazał ich na najbardziej wymagającą grupę, wczoraj wygrali z rozpędzonym w tym sezonie Arsenalem, uzbierali aż 12 punktów. Jeszcze się w

Champions League nie zdarzyło, by taki dorobek nie wystarczył do awansu do 1/8 finału. Neapolitańczycy są pierwsi.

Do koszmarnych rozstań z rozgrywkami niedługo przywykną. Półtora roku temu pokonali 3:1 Chelsea, która w rewanżu przedarła się do ćwierćfinału po dogrywce. A potem zdobyła trofeum.

Teraz neapolitańczyków wyprzedził właśnie Arsenal oraz dortmundczycy, których ocalił człowiek symbol tak lubianego przez trenera Jürgena Kloppa futbolu pełnego poświęcenia, waleczności, końskiego zdrowia. Kevina Grosskreutza świat dotąd pamiętał z tego, że gra wszędzie – na każdej pozycji – gdzie go potrzebują. Teraz strzelił zwycięskiego gola. Brzydkiego, piłka wirowała po dziwacznych trajektoriach, jakby chciała pomóc poranionej Borussii i za wszelką cenę zmylić bramkarza Marsylii.

W tej grupie cierpieli wszyscy, bo los skojarzył zbyt mocnych rywali. A co się działo gdzie indziej?

Real, mistrzowie jesieni

Chciałoby się rzec: nie tej jesieni, lecz generalnie wszystkich jesieni. Paradoks madryckiego klubu polega na tym, że zanim faza pucharowa okazuje się dla niego mniejszym lub większym rozczarowaniem, fazę grupową rozgrywa śpiewająco. Przed dwoma sezonami miał bilans idealny (komplet 18 punktów, 19-2 w bramkach, nikt inny od jesieni 2002 roku tego nie dokonał), w minionych pięciu uzbierał 74 pkt, więcej od Barcelony (67), Bayernu (66), Manchesteru United (62), Chelsea (62) oraz Arsenalu (58). Teraz też trener Carlo Ancelotti chciał finiszować możliwie najefektowniej, więc pomimo pewnego awansu zabrał do Kopenhagi wielu swoich superbohaterów, umożliwiając Cristiano Ronaldo ustanowienie snajperskiego rekordu w rundzie grupowej (9 goli). Zlatan Ibrahimovic, inny pies na prywatne łupy, miał szansę na to samo osiągnięcie, ale na ostatni mecz Paris Saint Germain w ogóle nie poleciał.

Bayern, mistrzowie stylu

Imponującą moc zademonstrowali chyba tylko oni, obrońcy trofeum – w Manchesterze rozbili City, spychając rywali do rólki biernych obserwatorów monachijskiej karuzeli podań. Owszem, wtorkowy rewanż przegrali, ale wypada podejrzewać, że się zwyczajnie zagapili, jak w wiosennej 1/8 finału z Arsenalem, któremu ulegli rozluźnieni przeświadczeniem, iż wyjazdowym 3:1 zabezpieczyli sobie awans. Im od kilkunastu miesięcy żyje się zbyt łatwo, to musi deprawować – w sobotę dali siedmiogwiazdkowe show w Bundeslidze, wcześniej odnieśli 10. z rzędu triumf w Champions League, czego nie dokonał dotąd nikt...

Największym wrogiem drużyn spełnionych i obwoływanych perfekcyjnymi jest bezruch, więc trener Pep Guardiola majstruje w taktyce Bayernu, ale poważnych skutków ubocznych nie stwierdzono. Gdyby nie awanturka wokół zdrajcy, wynoszącego ponoć do „Bilda" taktyczne sekrety z szatni, to chyba wszyscy monachijczycy – także kibice – spędziliby jesień z tętnem spoczynkowym. A główni soliści do tego stopnia się nie wychylają, że monachijczyków próżno szukać na szczytach indywidualnych rankingów – dzielą się i golami (po trzy wbili Götze, Müller, Ribéry oraz Robben), i asystami (po dwie mieli Dante oraz Mandzukić).

Juventus, mistrzowie karnych

W zasadzie jeden mistrz – nazywa się Arturo Vidal, wykonuje je nie tylko jeszcze pewniej niż sławniejszy Mario Balotelli, ale chyba pewniej niż ktokolwiek na świecie (przynajmniej wśród najlepszych, regularnie oglądanych). To miał być akapit poświęcony również jego niesamowitej boiskowej wszechstronności, która zachęcała, by ogłosić go najznakomitszym graczem 2013 wśród pominiętych przy rozdawaniu nominacji do Złotej Piłki. Niestety, sensacyjny mecz w zamarzniętym stambulskim piekle – Galatasaray wygrało, Galatasaray awansowało – sprawił, że trzeba pochylić się nad straconą szansą Juve.

Straconą w okolicznościach niezwyczajnych. Turyńczycy dwukrotnie stawiali twardy opór Realowi, w zremisowanym meczu w Kopenhadze niemal wgniatali rywala w jego bramkę, w sumie oddali najwięcej – 118 – strzałów w całej LM. A jednak. Kibice już zapomnieli, kiedy piłkarze rozegrali w europejskich pucharach ostatni mecz godny marki Juve. Latem zdiagnozowano, że drużyna czołowym ustępuje przede wszystkim siłą ognia. Dodać miał jej nade wszystko Carlos Tevez, który jednak podtrzymał passę z Manchesteru City – dla aktualnego i poprzedniego klubu nie zdobył bramki w Lidze Mistrzów. Po raz ostatni trafił dla Manchesteru United wiosną 2009 roku, 27 meczów temu... Również dlatego sytuację musiał ratować wspomniany Vidal. Tłukł gole z rzutów karnych, które turyńczycy dostawali najczęściej – aż czterokrotnie. Co by było bez nich?

Galatasaray, mistrzowie nieprzypadkowi

To była jego najważniejsza główka od finału w Monachium sprzed półtora roku. Didier Drogba, który wrócił z przedemerytalnego relaksu w lidze chińskiej, rozstrzygająco asystował, Wesley Sneijder, którego prezes ściągnął wbrew trenerowi jako słup reklamowy, oddał rozstrzygający strzał. Obaj przeżyli już gdzie indziej triumf w LM, obaj przypomnieli, że Champions League, w przeciwieństwie np. do mundialu, niechętnie toleruje przypadkowych bohaterów. Tureckie kluby mogą poszaleć, bo tradycyjnie wspierające futbol państwo zmieniło ligę w raj podatkowy – zawodników obejmuje stawka 15-proc., czyli kilkakrotnie niższa od obowiązującej w Anglii (50 proc.), Niemczech (45 proc.), Hiszpanii i Włoszech (43 proc.). Galatasaray wznosi zatem sukces – drugi kolejny sezon w 1/8 finału! – na ludziach, którzy widzieli wiele, jak Felipe Melo (brazylijski uczestnik mundialu), Hamit Altintop (poprzednio Bayern i Real), Emmanuel Eboue (Arsenal) czy trener Roberto Mancini.

Ponieważ nawet firmy nafaszerowane ciężkimi inwestycjami nie wygrywają w LM od razu (patrz City), tym bardziej docenić należy zbiorowy kunszt i godną faworytów konsekwencję Atletico

Madryt, podpierającego się tylko kilkoma graczami z jakąkolwiek przeszłością w LM (Arda Turan, Diego Godin, Tiago). Ich znamy, bo wepchnęli się w Hiszpanii między wiadomą parę kolosów, nowych gwiazd jesień generalnie nie wylansowała. Wczoraj swój pierwszy wielki wieczór w LM miał Neymar (hat-trick), ale on nie urodził się po to, by bić przeciwników rangi Celticu.

Anglia i Niemcy, mistrzowie masowego punktowania

Wciąż licznym orędownikom tezy, jakoby Premier League przewyższała wszystkie krajowe rozgrywki na kontynencie, jesień wręczyłaby trochę argumentów – awansował cały kwartet jej reprezentantów. Ale tendencję dynamicznie zwyżkową utrzymała przede wszystkim Bundesliga. Też wystąpi w 1/8 finału w sile czterech klubów. I to jej mistrz uchodzi za głównego faworyta rozgrywek.

Viktoria Pilzno, mali mistrzowie

Do wtorkowego wieczoru zdawało się, że skończą bez punktu. Że obejrzymy znany scenariusz, po euforii wywołanej wepchnięciem się do LM przez skromny klub z byłych demoludów temperatura będzie malała z meczu na mecz, by przy ostatnim zbliżyć się do zera absolutnego. Szorujący po dnie tabeli piłkarze z Czech i ze Słowacji – innych w kadrze nie było – kwadrans przed końcem przegrywali z CSKA Moskwa 0:1, ale się podnieśli, w 90. minucie wbili zwycięskiego gola, unieśli na trzecie miejsce w grupie i za parę miesięcy pobawią się w Lidze Europejskiej. To będzie ich trzecia wiosna z rzędu w tych rozgrywkach. Klubu biedniejszego niż Legia Warszawa.

Liga Mistrzów

Grupa A: Manchester United – Szachtar 1:0 (0:0): Jones (67.); Sociedad – Bayer 0:1 (0:0): Toprak (49.)

1. Man United	6	14	12:3

2. Bayer	6	10	9:10
3. Szachtar	6	8	7:6
4. Sociedad	6	1	1:10

Grupa B: Galatasaray – Juventus 1:0 (0:0): Sneijder (85.); Kopenhaga – Real 0:2 (0:1): Modrić (25.), Ronaldo (28.).

1. Real	6	16	20:5
2. Galatasaray	6	7	8:14
3. Juventus	6	6	9:9
4. Kopenhaga	6	4	4:13

Grupa C: Benfica – PSG 2:1 (1:1): Lima (45., karny), Gaitan (58.) – Cavani (37.); Olympiakos – Anderlecht 3:1 (1:1): Saviola (34., 58.), Dominguez (90., karny) – Kljestan (39.)

1. PSG	6	13	16:5
2. Olympiakos	6	10	10:8
3. Benfica	6	10	8:8
4. Anderlecht	6	1	4:17

Grupa D: Bayern – Manchester City 2:3 (2:1): Müller (5.), Götze (12.) – Silva (28.), Kolarov (59., karny), Milner (62.); Viktoria – CSKA Moskwa 2:1 (0:0): Kolar (77.), Wagner (90.) – Musa (65.)

1. Bayern	6	15	17:5
2. Man City	6	15	18:10
3. Viktoria	6	3	6:17
4. CSKA	6	3	8:17

Grupa E: Schalke – Basel 2:0 (0:0): Draxler (51.), Matip (57.); Chelsea – Steaua 1:0 (1:0): Ba (10.)

1. Chelsea	6	12	12:3
2. Schalke	6	10	6:6
3. Basel	6	8	5:6
4. Steaua	6	3	2:10

Grupa F: Olympique Marsylia – Borussia Dortmund 1:2 (1:1): Diawara (14.) – Lewandowski (4.), Grosskreutz (87.); Napoli – Arsenal 2:0 (0:0): Higuain (74.), Callejon (90.)

1. Borussia	6	12	11:6
2. Arsenal	6	12	8:5
3. Napoli	6	12	10:9
4. Marsylia	6	0	5:14

Grupa G: Austria – Zenit 4:1 (1:1): Hosiner (44., 51.), Jun (48.), Kienast (90.) – Kierżakow (35.); Atlético – Porto 2:0 (2:0): Garcia (14.), Costa (37.)

1. Atlético	6	16	15:3
2. Zenit	6	6	5:9
3. Porto	6	5	4:7
4. Austria	6	5	5:10

Grupa H: Milan – Ajax 0:0; Barcelona – Celtic 6:1 (3:0): Piqué (7.), Pedro (40.), Neymar (45., 48., 58.), Tello (72.) – Samaras (88.)

1. Barcelona	6	13	16:5

2. Milan	6	9	8:5
3. Ajax	6	8	5:8
4. Celtic	6	3	3:14

Do 1/8 finału awansowały dwie najlepsze drużyny z każdej grupy, zespoły z trzecich miejsc zagrają w 1/16 finału Ligi Europejskiej.

Losowanie 1/8 finału LM w poniedziałek. Zwycięzcy grup będą dolosowywani do zespołów z drugich miejsc. Drużyny z tego samego kraju i te, które rywalizowały w grupach, nie mogą grać ze sobą.

Drużyny z pierwszych miejsc: Manchester United, Real, PSG, Bayern, Chelsea, Borussia, Atlético, Barcelona.

Zespoły z drugich miejsc: Bayer, Galatasaray, Olympiakos, Manchester City, Schalke, Arsenal, Zenit, Milan.

Liga Europejska

Grupa J. *A*pollon – Legia 21. (Canal+ Sport, TVN Turbo); Lazio – Trabzonspor 21. (nSport)

1. Trabzonspor	**5**	**13**	**13-6**
2. Lazio	**5**	**11**	**8-4**
3. *A*pollon	5	4	5-8
4. Legia	5	0	0-8

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

PIŁKA NOŻNA

Anglii problem z racami

Stawiany za wzór porządku na trybunach brytyjski futbol ma problem z pirotechniką. Przez trzy miesiące obecnego sezonu w tamtejszych ligach użyto jej 96 razy. Rząd uruchamia z tego powodu szeroką kampanię, a przedstawicielka kibiców apeluje do nich: – Uspokójcie się z racami, bo pójdziecie za kraty!

PRZEMYSŁAW IWAŃCZYK

FOT. DARREN WALSH/AP

Fani Chelsea także mają za sobą incydenty z pirotechniką

Od poprzedniej ligowej kolejki w programach meczowych na stronach internetowych oraz na tablicach reklamowych zamieszczono plakaty z ostrzeżeniami, czym grozi użycie na stadionach zakazanej prawem pirotechniki. Akcja jest konsekwencją wyników najnowszej ankiety przeprowadzonej wśród kibiców Premier League. Aż 87 proc. z nich uważa race i bomby dymne za niebezpieczne, a 86 proc. obawia się o własne bezpieczeństwo na imprezach piłkarskich.

Do niedawna pirotechnika na brytyjskich stadionach była zjawiskiem nieznanym. W całym sezonie 2012/2013 użyto jej 172 razy, w sezonie 2011/2012 – 100 razy, a w sezonie 2010/2011 – zaledwie osiem razy.

Bilans obejmuje rozgrywki Premier League (20 drużyn) oraz niższe ligi Football League (w sumie 72 drużyny) i Football Conference (68 drużyn). Policja czuwająca nad bezpieczeństwem imprez masowych w Wielkiej Brytanii opublikowała czołówkę klubów, których kibice sięgają po pirotechnikę. Rekordzistami są Manchester United, Everton i Wigan Athletic (pięć razy w tym sezonie), Liverpool, Manchester City, Sheffield United (cztery), Bradford City, Bristol City, Burnley, Charlton Athletic, Leeds United, Mansfield Town, Nottingham Forest i Oldham Athletic (trzy razy).

W Polsce pierwszy podobny raport powstał po rundzie wiosennej poprzedniego sezonu. Obejmuje mecze ekstraklasy, I ligi oraz dwóch grup II ligi. W sumie 70 klubów i 546 rozegranych spotkań. Wynika z niego, że pirotechniki użyto 78 razy, z czego 41 na stadionach ekstraklasy. Przed końcem roku PZPN ma opublikować dane za kończącą się właśnie rundę jesienną.

Na niebezpieczeństwo związane z użyciem pirotechniki zwracają uwagę nie tylko przedstawiciele brytyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, ale także organizacje kibiców. Amanda Jacks z Federacji Kibiców Piłkarskich reprezentującej prawa kibiców w Wielkiej Brytanii i Walii mówi: – Hasła charakterystyczne dla innych europejskich stadionów, np. bez pirotechniki nie ma zabawy, wolałabym zamienić na slogan: pirotechnika może oznaczać więzienie. Jest przecież bardzo realna możliwość spędzenia świąt za kratami, jeśli kibice nie zrezygnują z użycia niedozwolonych środków.

Na Wyspach za pirotechnikę grożą surowe sankcje. Pisząc szeroko o kampanii przeciwko pirotechnice, media podają przykłady, m.in. kibic Manchesteru United, któremu udowodniono odpalanie rac

podczas pożegnalnego meczu Aleksa Fergusona z West Bromich Albion, dostał od sądu wyrok w zawieszeniu i trzyletni zakaz stadionowy.

Wspierana przez brytyjski rząd kampania ma nie tylko charakter informacyjny. Wykorzystywane są psy wykrywające środki pirotechniczne oraz wzrosła aktywność policji, dokładniej przeszukiwani są kibice wchodzący na stadion.

Damian Green, brytyjski minister stanu ds. policji i sądownictwa, mówi jednak, że walka z pirotechniką jest trudna, bo do jej wnoszenia wykorzystywane są nawet ośmioletnie dzieci, które szmuglują race i bomby dymne.

Jacks: – Wielu kibiców po prostu nie zdaje sobie sprawy, że posiadanie i używanie środków pirotechnicznych jest zakazane i grozi nawet karą więzienia.

Premier League w swoich badaniach przepytała 1635 kibiców. Połowa z nich była świadkiem incydentów pirotechnicznych w trakcie meczu, 24 proc. miało z tego powodu ograniczoną widoczność, 10 proc. narażonych było na wdychanie oparów, a 2 proc. odniosło poparzenia.

– Pirotechnika to największy problem, z jakim spotykamy się wśród kibiców – twierdzi w rozmowie z BBC Cathy Long, szefowa ds. obsługi kibiców w Premier League.

– Jak widać, to nie tylko sprawa polska czy brytyjska, jak się teraz okazuje. Uczestniczyłem ostatnio w konferencji UEFA, podczas której dyskutowano o łamaniu regulaminu na stadionach. Usłyszeliśmy, że mimo restrykcyjnych przepisów w 67 proc. meczów pod egidą europejskiej federacji, a więc w klubowych pucharach oraz spotkaniach reprezentacji, używane są race – opowiada dr Dariusz Łapiński, krajowy koordynator ds. współpracy z kibicami w PZPN. Stanowisko to zostało powołane wspólnie przez

związek oraz Ministerstwo Sportu przed ubiegłorocznym Euro w Polsce.

Nie ma danych, ile razy użyto rac w ostatni weekend w Anglii. W Polsce na pewno odpalono je na PGE Arenie podczas meczu Lechii Gdańsk z Legią Warszawa. W poprzedniej kolejce zrobili to kibice Górnika Zabrze, a przez ich użycie w meczu Legia – Pogoń Szczecin wojewoda mazowiecki zamknął stadion.

Dr Łapiński: – Podczas wspomnianego kongresu UEFA padło dość znamienne zdanie, że jeśli ktoś znajdzie sposób na rozsądne rozwiązanie kwestii pirotechniki na stadionach, dostanie Pokojową Nagrodę Nobla.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Czy to jest sport dla starych ludzi?

DARIUSZ WOŁOWSKI

Razem mają 78 lat. Janne Ahonen i Noriaki Kasai tkwią na skoczni niczym relikty przeszłości. Pierwszy wrócił drugi raz wziąć na barki fińskie skoki, drugi po czterdziestce atakuje podium w klasyfikacji generalnej. Kolejny krok zrobią w sobotę w Titisee-Neustadt?

Dziewiąte miejsce Ahonena na dużej skoczni w Lillehammer w minioną niedzielę wskazuje na to, że tak jak ostrzegał, nie wraca na skocznię dla rozrywki. To był najlepszy wynik fińskiego skoczka w zawodach Pucharu Świata od niemal dwóch lat. Fińskie skoki upadły nisko, pomysł reaktywacji 36-letniego zawodnika mógł wyglądać jednak na akt skrajnej rozpaczy. Dziś z przekąsem i ironią uśmiecha się coraz mniej kibiców. Ahonen, zawiedziony nieudanymi biznesami, wrócił do sportu naprawdę przygotowany.

A przecież zbliża się Turniej Czterech Skoczni, który wygrał rekordowe pięć razy.

Jeszcze lepiej skacze 42-letni Noriaki Kasai. W niedzielę w Lillehammer był czwarty. W klasyfikacji generalnej awansował na siódmą pozycję, co jest odpowiedzią dla tych, którzy zaczynali dostrzegać w jego sportowym uporze element rekreacji. Skoki to przecież sport dla młodych ludzi, bywa, że wręcz nastolatków. 20-letni Kasai debiutował na igrzyskach w Albertville, gdzie bohaterem był 17-letni Fin Toni Nieminen (dwa złote medale i brązowy). Ahonen jest zaledwie dwa lata młodszy od rodaka, który już dawno porzucił sport.

Fin i Japończyk wydawali się niewzruszeni i w dobrych, i w złych chwilach. Po legendarnym dla Polski Turnieju Czterech Skoczni w 2001 roku Fin rozbrajająco wyznał: „Też chciałbym kiedyś skakać tak jak Małysz". I jak wiemy, jego marzenia na niemiecko-austriackiej imprezie spełniały się częściej niż komukolwiek innemu. Ma pseudonim „Maska" i „Buster Keaton", nigdy nie okazuje emocji. „Jesteśmy tu, żeby skakać, a nie żeby się uśmiechać" – powiedział kiedyś.

Kasai i Ahonen wyglądają w obecnej stawce skoczków jak dinozaury pamiętające „prehistoryczne" igrzyska w Lillehammer sprzed 20 lat. Japończyk razem z kolegami zdobywał wtedy pierwszy dla swojego kraju medal igrzysk w drużynowym konkursie. Miał być złoty, ale Masahiko Harada zepsuł ostatnią próbę, uzyskując zaledwie 97,5 m. Tuż przed katastrofalnym skokiem Harady podszedł do niego słynny Jens Weissflog, gratulując zwycięstwa. Norweg Espen Bredesen twierdził potem, że Niemiec zrobił to celowo, by zdekoncentrować Japończyka. Faktycznie krótki i konwulsyjny lot Harady dał tytuł Niemcom. Kasai nigdy nie zdobył już medalu olimpijskiego, choć w konkursie na skoczni normalnej w Lillehammer był trzeci po pierwszej serii. W drugiej znowu wyprzedzili go Niemcy Weissflog i Dieter Thoma.

Ahonenowi znaczący sukces olimpijski też nie był dotąd pisany. Ma zaledwie dwa srebrne medale z konkursów drużynowych z Salt Lake City i Turynu. Biorąc pod uwagę pięć złotych krążków z mistrzostw świata, dwie Kryształowe Kule za triumf w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata i pięć zwycięstw w Turnieju Czterech Skoczni, mógłby uchodzić za skoczka absolutnie spełnionego, gdyby nie igrzyska. Chce to naprawić w Soczi. „Złoty medal da mi pozycję najlepszego skoczka na świecie" – mówi.

Fin ma za sobą 375 konkursów w Pucharze Świata, z czego 36 wygrał, a 108 razy stawał na podium. Kasai między 29 lutego 1992 roku a 17 stycznia 2010 był na podium 44 razy. W niedzielę w Lillehammer do trzeciej pozycji, którą zajął o 15 lat młodszy rodak Daiki Ito, zabrakło mu 5 pkt.

Kasai nie musi brać na siebie odpowiedzialności za japońskie skoki. Rodacy skaczą świetnie w tym sezonie, Taku Takeuchi jest drugi w klasyfikacji generalnej. Gorzej z Ahonenem, który jest 19., a kolejny Fin, 25-letni Olli Muotka, zajmuje dopiero 33. pozycję. Może przykład legendy zmobilizuje resztę lub chociaż w perspektywie lat pomoże odbudować dyscyplinę?

Ahonen już dwa razy opuszczał skocznię. Za pierwszym razem w tak wielkim stylu jak Adam Małysz. 14 marca 2008 roku w Planicy po raz 105. w karierze stanął na podium PŚ, zajmując drugie miejsce za równie fenomenalnym Gregorem Schlierenzauerem. W klasyfikacji generalnej sezonu był trzeci za dwoma młokosami z Austrii – Thomasem Morgensternem i Schlierenzauerem. 26 marca ogłosił zakończenie kariery, na konkurs pożegnalny zaprosił 18 zawodników, w tym Kasaiego i Małysza. Wygrał go, wyprzedzając Polaka.

Rozczarowany życiem z dala od sportu po półtora roku wrócił, by z marszu zająć drugie miejsce w swoim ulubionym Turnieju Czterech Skoczni. Na igrzyskach w Vancouver był czwarty na normalnej skoczni. Potem jednak seria słabszych wyników sprawiła, że po raz

drugi ogłosił zakończenie kariery. 13 marca 2011 roku oddał skok – tego lata okazało się, że jednak wciąż nie ostatni. – Za pierwszym razem wrócił nieprzygotowany. Teraz jest inaczej – mówi słynny fiński trener Mika Kojonkoski. Jeszcze trochę i Janne spotka się na skoczni z 12-letnim synem, który już rozpoczął starty w FIS Youth Cup ze starszymi skoczkami.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

NUMERY LOTTO

RED

Losowania wtorkowe

Lotto

7 – 25 – 31 – 32 – 35 – 45

Lotto Plus

12 – 16 – 35 – 44 – 45 – 48

Mini Lotto

2 – 9 – 17 – 19 – 42

Losowania środowe

Multi Multi (godz. 14)

4 – 6 (plus) – 13 – 17 – 21 – 25 – 33 – 38 – 42 – 46 – 48 – 50 – 52 – 56 – 58 – 60 – 62 – 64 – 72 – 73

Multi Multi (godz. 21.40)

11 – 15 – 17 – 19 – 21 – 29 – 31 – 42 – 43 – 50 – 56 – 60 – 62 – 64 – 67 (plus) – 69 – 75 – 77 – 78 – 80

Joker

(22) 2 – 19 – 26 – 50

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Gazeta Stołeczna

CZY POLICJA I OCHRONIARZE MIELI PRAWO WYRZUCIĆ LOKATORÓW SQUATU

Squat się broni

Szarpanina podczas interwencji policji na pikiecie przed squatem przy Nowogrodzkiej 4. Jego mieszkańców wyrzucono z kamienicy o świcie. Twierdzą, że nielegalnie, bo bez wyroku sądu nakazującego eksmisję

WOJCIECH KARPIESZUK, MPW, PIOT

FOT. JACEK MARCZEWSKI

Wieczorem pod squatem odbyła się demonstracja i miały miejsce przepychanki z policją. Więcej zdjęć i wideo: warszawa.gazeta.pl

„Nie mają prawa traktować nas jak śmieci! Odbijamy nasz dom. Czy prawo nie istnieje? Czy liczą się tylko pieniądze i przemoc?" – takie oświadczenie wczoraj po południu rozsyłali członkowie kolektywu Odnowa. Zwoływali się na portalach społecznościowych na wieczorną demonstrację przed kamienicą przy Nowogrodzkiej 4.

Rano squattersów, którzy mieszkali tam – jak deklarują – od września, wyrzucili ochroniarze prywatnej firmy Ekotrade (pracuje w niej były rzecznik stołecznej policji Dariusz Janas) w asyście ok. 30 policjantów. – To był nasz dom. Mieszkało tu 12 osób: studenci, imigranci, osoby bezrobotne, ale też pracujący, których nie stać na wynajęcie mieszkania albo kredyt na 30 lat – opowiada członek kolektywu Odnowa. Mówi: – Policjanci i ochroniarze weszli ok. 5.30, przed zakończeniem ciszy nocnej. Wyłamali zamki. Dali nam dwie minuty na zabranie rzeczy osobistych. Nie chcieli się wylegitymować, podać podstawy prawnej. Mówili, że pomagają właścicielowi, firmie Restaura. Tylko że właściciel nie miał prawa nas wyrzucić bez wyroku sądu.

Członkowie kolektywu powołują się na przepisy z kodeksu cywilnego o posiadaniu samoistnym. – W świetle prawa to my faktycznie władamy nieruchomością. Zabezpieczyliśmy budynek, bo jego stan stwarzał zagrożenie. Były tam podpalenia, kradzieże. Właściciel to ignorował – tłumaczą. Ostatni komunalni lokatorzy zostali stamtąd wysiedleni w 2007 roku. Do września kamienica była pusta. Squattersi mówią, że przedstawiciele Restaury wiedzieli o nich. W budynku w listopadzie byli policjanci, nie interweniowali.

– Jeśli ci ludzie rzeczywiście przebywają w kamienicy od września, to są posiadaczami samoistnymi. Właściciel bez wyroku o eksmisji nie może ich wyrzucić. Nawet jeżeli squattersi nie zawarli z nim umowy. Właściciel mógłby prosić o pomoc policję, gdyby ktoś gwałtem włamywał mu się do budynku, gdyby to się działo ostatnio, ale nie po trzech miesiącach – tłumaczy Adam Starczewski, radca prawny.

Squattersi zorganizowali wieczorem protest przed kamienicą. Przyszło ok. stu osób. Uważają, że mają moralne prawo zajmować pustostany na mieszkania. Przynieśli transparenty: „Gdzie macie nakaz", „Policja chroni bogatych przed biednymi". Skandowali: „Miasto to nie firma", „Pustostany dla bezdomnych", bili w bębny.

Kiedy demonstranci wielkim transparentem zasłonili drzwi w bramie kamienicy, policjanci zaczęli na nich nacierać. W powietrzu było czuć gaz łzawiący. Ktoś rzucił świecę dymną. Doszło do szarpaniny. Nagle trzech squattersów pojawiło się na balkonie szóstego piętra. Krzyczeli, że do mieszkania, w którym są, próbują dostać się ochroniarze. Wkrótce druga grupa pojawiła się na pierwszym piętrze. Nie wiadomo, jak dostali się do budynku. Spokojniej zrobiło się, kiedy przyjechała Wanda Nowicka, wicemarszałkini Sejmu. Zażądała wyjaśnień od policjantów, dlaczego nie próbują rozdzielić dwóch stron – ochroniarzy prywatnej firmy i squattersów. Wzburzona pytała, na jakiej podstawie policjanci rano asystowali ochroniarzom.

– O interwencję poprosił nas właściciel budynku. Poprosił też przebywające tam osoby o opuszczenie kamienicy. I te osoby opuściły ją dobrowolnie – zapewnia Anna Kędzierzawska z Komendy Stołecznej. Dodaje: – To spór natury cywilnoprawnej. Nie jesteśmy jego stroną. Naszym zadaniem jest zapewnienie porządku.

Policja zatrzymała sześć osób. Jednej postawiono zarzut naruszenia nietykalności funkcjonariusza. O godz. 22.45 skłotersi przekazali wiadomość, że zdecydowali się wyjść z kamienicy.

Budynek przy Nowogrodzkiej 4 kilka lat temu kupiła Restaura, polski oddział hiszpańskiej firmy deweloperskiej. Nie zdążyła rozpocząć żadnych prac, bo spółka matka poniosła duże straty na rynku w Hiszpanii. Polska spółka zawiesiła działalność. – Inwestycję na Nowogrodzkiej mieliśmy prowadzić wspólnie z hiszpańskim bankiem Bankia. To on przejął zarządzanie budynkiem. Ja złożyłem rezygnację, bo bank nie przekazywał nam środków nawet na zabezpieczenie budynku – mówi Paweł Augustyn z Restaury. Z Bankią nie udało nam się wczoraj skontaktować.

– Jeżeli właściciel kamienicy wyrzucił squattersów – czyli posiadaczy samoistnych – bez wyroku sądu, to ma problem. Bo squattersom

przysługuje powództwo o naruszenie posiadania – mówi Adam Starczewski.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

INAUGURACJA 18 GRUDNIA

Powstaje lodowisko na Starówce

JACEK RÓŻALSKI

Na Rynku Starego Miasta już widać, w którym miejscu będzie się można poślizgać na łyżwach. Ratusz ma nadzieję, że zimą będzie to jedna z największych atrakcji stolicy.

Na ledwo co wyremontowanym bruku, bliżej kamienic po stronie Barssa (wschodniej), położono już czarną folię, a na nią wysypano kruszywo. Wczoraj wyrównywał je spychacz. Teren, na którym ma powstać lodowisko, jest ogrodzony. Inauguracja ślizgawki 18 grudnia.

– Na kruszywo położymy jeszcze jedną warstwę folii. Na niej umieścimy rurki, którymi będzie płynął glikol, czyli płyn chłodzący płytę lodowiska – mówi Artur Niewęgłowski z Warszawskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. – Lód będzie miał grubość ok. 7-8 cm – dodaje Niewęgłowski.

Lodowisko ma mieć 20x30 m. – Będzie nie tylko oświetlone, ale też pięknie iluminowane i świątecznie udekorowane. Poza tym będzie je otaczać 40 świerków dostarczonych przez Lasy Miejskie – informuje Agnieszka Kłąb z biura prasowego ratusza. Tuż przy ślizgawce zostanie postawiona wypożyczalnia łyżew. Całość otoczą kramy, gdzie łyżwiarze będą mogli posilić się jedzeniem oferowanym przez staromiejskich restauratorów.

Lodowisko będzie otwarte przez całą zimę od poniedziałku do piątku w godz. 10-21, w weekendy do 22.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

CO DALEJ Z TEATREM DRAMATYCZNYM?

Nie chcemy teatralnej hybrydy

Teatr Dramatyczny stracił nie tylko patrona, ale też świetny zespół i swoją pozycję. Właśnie teraz, gdy przybywa podpisów pod petycją o przywrócenie imienia Gustawa Holoubka, jest idealny moment, żeby władze miasta zajęły się przyszłością tego teatru

DOROTA WYŻYŃSKA (GAZETA WYBORCZA)

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI

To powinien być jeden z najlepszych teatrów w Warszawie

Kilkaset osób podpisało petycję w sprawie przywrócenia Teatrowi Dramatycznemu imienia Gustawa Holoubka. Wczoraj w „Gazecie" zamieściliśmy rozmowę z synem aktora Janem Holoubkiem, który namawiał media do wspierania akcji. Sprawa patrona to niejedyny palący problem tej sceny.

Już widać, że pomysł połączenia trzech teatrów: Dramatycznego, Na Woli oraz sceny Przodownik i przekazania ich w ręce jednego dyrektora, Tadeusza Słobodzianka, nie był trafiony. Niezależnie od tego, czy wyszedł on od samego Tadeusza Słobodzianka, czy od wiceprezydenta Włodzimierza Paszyńskiego, czy ówczesnego dyrektora biura kultury Marka Kraszewskiego.

Mamy już konsekwencje tej pochopnej decyzji: teatr-hybrydę bez konkretnego wyrazu. I nie chodzi tylko o odbiór recenzentów, którzy krytykują kolejne premiery, ale też spojrzenie przeciętnego widza, który nie rozumie całego zamieszania. „To Teatr Na Woli istnieje czy został zlikwidowany? Bo przecież jest, a jednak go nie ma" – już kilkakrotnie słyszałam to pytanie. Nie mówiąc już o tych widzach, którzy jadą na przedstawienie do Teatru Dramatycznego w Pałacu Kultury, a potem okazuje się, że mają bilet na scenę przy ul. Olesińskiej na Mokotowie, czyli do Przodownika.

Dyrektor Tadeusz Słobodzianek, znakomity dramatopisarz, autor wyróżnionej Nagrodą Nike i granej z powodzeniem na całym świecie „Naszej klasy", dostał zadanie ponad swoje możliwości. Nie można mu odebrać zasług, jakie ma jako twórca Laboratorium Dramatu. Moim zdaniem ciekawie i sprawnie prowadził Teatr Na Woli, ale trudno go komplementować za to, co robi obecnie jako dyrektor Słobopleksu (ta nazwa już weszła do żargonu teatralnego).

Żal zespołu Teatru Dramatycznego tworzonego tu przez lata. Zespołu, który był w stanie zagrać i u Krystiana Lupy, i u Agnieszki

Glińskiej, i u Moniki Strzępki. Część aktorów została zwolniona, część odeszła za porozumieniem stron. A te braki już czuje się na scenie.

„Czy Gustaw Holoubek, widząc to, co się tu teraz odbywa, chciałby być patronem takiego teatru?" – pytają nasi czytelnicy, komentujący teksty z „Gazety" w internecie. Nazwisko Gustawa Holoubka nie zniknęło zupełnie z Teatru Dramatycznego, bo wielki aktor wciąż jest patronem sceny. Sceny rozumianej jako cały gmach teatralny w Pałacu Kultury. Ale radni zachowali się w tym wypadku jak słoń w składzie porcelany, nie informując o tej zmianie rodziny patrona.

Jednocześnie cieszy tak ogromny odzew na petycję Jana Holoubka w sprawie przywrócenia dawnej, pełnej nazwy – Teatr Dramatyczny im. Gustawa Holoubka. Sprawa nabiera rozpędu. To idealny moment, żeby władze miasta zajęły się przyszłością Teatru Dramatycznego. I zastanowiły się, czy przypadkiem nie warto wrócić do dawnego porządku i rozdzielić Teatr Na Woli i Teatr Dramatyczny. Dla odzyskania patronów: Gustawa Holoubka i Tadeusza Łomnickiego. Ale też dla nas, widzów.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

CZYTELNICY DO „GAZETY"

Jestem wściekła na burmistrza Wilanowa

ELŻBIETA CHOJNA

Bardzo zainteresowały mnie dwa artykuły w „Gazecie Stołecznej" dotyczące tego, co dzieje się w Wilanowie, autorstwa Dariusza Bartoszewicza („Doskonałe miasteczko z rybą", 1.11.2013) oraz Jarosława Osowskiego („Autem pod same drzwi", 29.11.2013).

Niestety, ten ostatni przejrzałam niedawno, a szkoda, bo może uniknęłabym przykrości.

W paskudną deszczową sobotę wybrałam się do Muzeum Plakatu w Wilanowie na prelekcję towarzyszącą obecnej wystawie. Chciałam zaparkować przy poczcie (choć to kawałek od muzeum) i tam się skierowałam. Byłam dość zdziwiona, że cała ul. Kostki Potockiego była szczelnie zastawiona samochodami, podczas kiedy parking świecił pustkami. Pomyślałam, że może klienci pobliskich kawiarni i restauracji chcieli mieć samochody na widoku. Wjechałam na parking i zaparkowałam w rogu. Po powrocie do samochodu (szarpiąc się z parasolką, bo deszcz i wiatr nie odpuszczały) zobaczyłam kartkę za wycieraczką. Po zapoznaniu się z jej treścią oczy miałam wielkości talerzy! Otrzymałam mandat za brak kwitka z parkomatu.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że to parking płatny. Pomyślałam, że to jakiś żart, bo przecież w soboty nigdzie nie uiszcza się opłat za postój. A ja nawet nie wiedziałam, że jest w tym miejscu strefa płatnego parkowania, choć śledzę sytuację w mieście.

Dość wzburzona, nadal szarpiąc się z parasolem, postanowiłam poszukać autora wystawionego „dokumentu". Niestety, nikogo takiego nie było w pobliżu. Przyjrzałam się oznaczeniu parkingu i dopiero wtedy zauważyłam, że pod znakiem „P" widnieje informacja wielkości „kruczków" z umów bankowych, iż parking jest płatny 24 godziny na dobę przez cały tydzień. Konia z rzędem, kto to przeczyta podczas deszczu, śnieżycy lub wieczorem zza szyby swojego samochodu.

Oczywiście mogę złożyć reklamację, ale wiem, że ma to tyle sensu co kopanie się z koniem.

Dopiero po przejrzeniu internetu zorientowałam się, kto i kiedy zadecydował o tym parkingu, i wściekłam się jeszcze bardziej. Może bym przebolała, że parking wybudowany za pieniądze podatników

jest płatny, ale że jest dzierżawiony przez prywatną firmę, to już nie. Uważam, że celowo kierowcy są wprowadzani w błąd, ponieważ oznaczenia są niewystarczające, a robione jest to za przyzwoleniem burmistrza Wilanowa.

Nikt nie zadbał, aby przy wjazdach stanęła albo duża informacja niepozostawiająca wątpliwości, albo szlaban z biletami. Mój żal wynika nie tylko ze straty tych 50 zł tytułem „dodatkowej opłaty", lecz z poczucia, że od burmistrza Wilanowa otrzymałam propozycję nie do odrzucenia w klimacie „Kup pan cegłę".

Dorzucę jeszcze kamyczek do ogródka tego pana, który zapewne jest odpowiedzialny za coraz większą szpetotę Wilanowa. Budy, o których pisał pan Bartoszewicz, są niczym w porównaniu z poronionym pomysłem plaży przy miasteczku Wilanów (będącej przez trzy czwarte roku klepiskiem) czy szkaradnego mostku okraszonego kiczowatymi światełkami w kształcie gigantycznych serc. Mostek przyozdobiony jest również metalowymi blachami w kształcie serc przytwierdzonymi na balustradach, na których można zawiesić swoją kłódkę – prawie jak na moście w Paryżu. No właśnie – PRAWIE robi wielką różnicę.

Choć sąsiedztwo królewskiej rezydencji i pięknego cmentarza zobowiązuje, to tak wiejsko jak za kadencji burmistrza Ludwik Rakowski w Wilanowie jeszcze nie było.

Pozwalam sobie zgłosić tego pana do nagrody „Nogi od stołka" *, choć może lepsza byłaby nagroda „Siekiery" czy „Ciupagi" za szkodliwe efekty wizualne i schlebianie najniższym gustom.

NASZ ADRES: STOLECZNA@AGORA.PL

*** „Stołki" i „Nogi od Stołka" to nagrody i antynagrody roku przyznawane przez dziennikarzy „Gazety Stołecznej". Swoich kandydatów mogą też wskazywać czytelnicy. W tym roku plebiscyt zaczniemy w połowie grudnia.**

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

STOŁECZNA OPINIA PUBLICZNA

RED

*Co w tym dziwnego, że metro byłoby przeciągnięte aż do Białołęki? Dobrze, że miasto bierze pod uwagę taki wariant. Nam, mieszkańcom tej dzielnicy, bardzo ułatwiłoby życie. Bo autobusy i tramwaje to jedno, ale najszybciej i najwygodniej podróżuje się jednak metrem.

*Popieram sylwestra pod Stadionem Narodowym. Po pierwsze, mieszkańcy pl. Konstytucji odetchną, po drugie, impreza będzie tym razem na Pradze. I tu nie ma domów w bezpośrednim sąsiedztwie.

*Przeczytałam kolejny tekst o konflikcie w CSW, tym razem w „Gazecie". Nie rozumiem, dlaczego mimo nagłośnienia sprawy, mimo protestów i skandali nikt nie reaguje. Może jednak ktoś będzie miał odwagę wypowiedzieć się np. w ministerstwie, czy obecny dyrektor dobrze czy źle kieruje tym Centrum.

_____

Chcesz podzielić się opinią, zadzwoń 22 555 4750

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Ochódzki na prowizorce

Miał być żart z rondem prezesa Ochódzkiego na Grochowie, ale radni PiS z Pragi-Południe uznali, że

ta nazwa dobrze opisze nieudolność PO w budowie i remontach ulic. Rondo to ciągła prowizorka

JAROSŁAW OSOWSKI

FOT. EAST NEWS

Ryszard Ochódzki (z prawej) w filmie „Miś" wyciąga angielski znaczek od Wacława Jarząbka. To właśnie Jarząbek śpiewał do szafy „łubu-dubu"

O pomyśle rady osiedla Kamionek, by skrzyżowanie Terespolskiej ze Stanisławowską nazwać „rondem prezesa Ochódzkiego", pisaliśmy w październiku. Wtedy zaprotestowała Olga Johann (PiS) z komisji nazewnictwa Rady Warszawy. Stwierdziła, że bohater filmów „Miś", „Ryś" i „Rozmowy kontrolowane" to „arogancki kretyn".

Stanisław Tym, który grał tę postać, przypomniał w wywiadzie dla „Gazety" w ostatnią sobotę: „Miał się nazywać Nowohucki, ale cenzura uznała, że to kpina z osiągnięć socjalizmu".

Teraz sprawą zajęli się dzielnicowi radni z Pragi-Południe. Nieoczekiwanie reprezentanci PiS ochoczo podjęli temat. Wiceprzewodniczący rady Marek Borkowski stwierdził, że dzisiaj „jak najbardziej aktualne są wiernopoddańcze hołdy z okresu PRL", które filmowy Ochódzki przyjmował w klubie sportowym Tęcza. Stała tam słynna szafa, do której Jarząbek Wacław, trener II klasy, śpiewał: „Łubu- dubu, łubu-dubu, niech żyje nam prezes naszego klubu". Scenę tę nagrano w południowopraskim Orle, którego budynki w dużym stopniu są ruiną.

– Jeśli jest już takie ciśnienie na prezesa Ochódzkiego, postać negatywną, i to z minionych czasów, należałoby mu dać np. jakiś skwer koło klubu Orzeł – uznał Mateusz Mroz z PiS, ale jego koledzy obstawali przy rondzie. Radny Borkowski: – Są tam dwie kuriozalne sprawy: jego tymczasowy kształt, który trwa już wiele lat, i drzewo, które stoi na przejściu dla pieszych – wymieniał. – Nie może być tak, że jednego dnia przyjeżdża ciężarówka, zostawia betonowe kloce na środku skrzyżowania i mamy rondo.

– Czy ten wyczyn drogowy zostanie w końcu uporządkowany? – dopytywał kolejny przedstawiciel PiS Sławomir Kalinowski.

Do odpowiedzi poczuli się wywołani wiceburmistrzowie Pragi-Południe z Platformy Obywatelskiej. – Ta fantastyczna inwestycja – zaczął z przekąsem Robert Kempa – została wykonana przez Zarząd Dróg Miejskich na ulicach, które nie podlegają naszej dzielnicy. Zdopingowani złośliwościami radnych PiS postaramy się oczywiście dowiedzieć, jakie są dalsze plany ZDM wobec tego miejsca.

Wiceburmistrz Jarosław Karcz przypomniał, że na skrzyżowaniu doszło do poważnego wypadku, w pobliżu mieści się szkoła i to mieszkańcy apelowali o poprawę bezpieczeństwa. – ZDM

zareagował bardzo szybko, tworząc rondo tymczasowe. Najpierw z plastikowych pachołków, a potem stanęły betonowe ograniczniki – opisywał.

– Ale nie mogą tak stać w nieskończoność. Niech tam będzie na tym rondzie jakiś cywilizowany środek – domagał się radny Kalinowski. Rzecznik ZDM Adam Sobieraj powiedział jednak „Gazecie", że drogowcy na razie nie przewidują zmian: – To pierwsze tego typu rondo w Warszawie. Zrobiliśmy je w ciągu dwóch dni. Są tam tzw. betonowe dżerseje, które mają służyć temu, żeby kierowcy się nadmiernie nie rozpędzali, a w razie potrzeby łatwo je zdemontować. Nie ma już tam wypadków. Dotąd nikt nie miał zastrzeżeń do tego rozwiązania, ale się nie upieramy, jeśli dzielnica zaproponuje jakieś bardziej estetyczne rozwiązania, np. zieleniec albo rabatę.

Wystąpił też pomysłodawca „ronda prezesa Ochódzkiego" Adam Rosiński z rady osiedla Kamionek. Zgodził się, że to drogowa prowizorka, ale przestrzegał: – Broń Panie Boże, żeby występować o ścięcie drzewa z przejścia dla pieszych. Trzeba mieć do siebie dystans, żeby nadać rondu taką nazwę. Ulica Terespolska zagrała w „Misiu". Chodzi o wprowadzenie na Pragę-Południe trochę słońca i radości – przekonywał. Skutecznie, bo większość dzielnicowych radnych poparła rondo dla prezesa Ochódzkiego, tylko dwóch samorządowców PiS wstrzymało się od głosu. Ostateczna decyzja należy do Rady Warszawy.

_____

Zobacz zdjęcia tymczasowego ronda: warszawa.gazeta.pl

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Przypominanie rocznicy 13 grudnia

Znów zapłoną koksowniki, ulicami będą chodzić inscenizatorzy w mundurach ZOMO, będą manifestacje i edukacyjne imprezy – w piątek będziemy obchodzić 32. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego

TOMASZ URZYKOWSKI

Pierwsze wydarzenie związane ze stanem wojennym już dziś.

Przed willą generała

Choć gen. Wojciech Jaruzelski przebywa w szpitalu, dzisiejsza nocna demonstracja przed jego willą przy ul. Ikara na Mokotowie odbędzie się jak co roku. Manifestacje w tym miejscu w latach 90. organizował Niezależny Związek Studentów, teraz robi to Społeczny Komitet Upamiętnienia Ofiar Stanu Wojennego, w którym pierwsze skrzypce gra młodzieżówka PiS. Przybycie w nocy z 12 na 13 grudnia na ul. Ikara zapowiadają różne prawicowe grupy. Pod hasłem „Rozliczmy czerwonych zbrodniarzy" na demonstrację przed willą generała nawołuje Liga Obrony Suwerenności. Manifestacja rozpocznie się przed północą.

Koksowniki i ZOMO

W piątek 13 grudnia w centrum Warszawy od rana widać będzie zomowców przy koksownikach i pojazdy pancerne z czasów PRL-u. Już po raz dziewiąty Fundacja Odpowiedzialność Obywatelska przybliży mieszkańcom stolicy wydarzenia sprzed 32 lat. Kiedyś urządzała inscenizacje bitew demonstrantów z milicją, teraz ogranicza się do happeningu. „Akcja ma na celu uświadomienie i przypomnienie wydarzeń stanu wojennego młodemu pokoleniu, które może znać ten okres wyłącznie z książek i lekcji" – piszą organizatorzy. Happening z udziałem przebranych za zomowców inscenizatorów trwać będzie w godz. 6-22 na placu zwanym „patelnią" przed stacją metra Centrum. O godz. 10 w dolnym kościele św. Krzyża fundacja zorganizuje spotkanie licealistów z

historykiem prof. Antonim Dudkiem i dawnym opozycjonistą Adamem Borowskim. O godz. 20.30 w tym samym miejscu koncert piosenek Jacka Kaczmarskiego.

Przejazd ikarusem

Własną kampanię społeczną upamiętniającą ofiary stanu wojennego przygotowuje IPN. 13 grudnia na Pałacu Kultury pojawi się symboliczne Światło Wolności. „Ma być hołdem złożonym wszystkim ofiarom stanu wojennego i manifestacją przywiązania do idei wolności, demokracji i prawdy" – czytamy w informacji IPN. Do akcji „Zapal Światło Wolności" może się włączyć każdy. Wystarczy 13 grudnia o 19.30 zapalić świeczkę w oknie lub wirtualnie – na: www.ipn.gov.pl.

Instytut proponuje w piątek w godz. 10-20 przejazd kursującym po Warszawie zabytkowym ikarusem 280. Jego trasa, zaczynająca się i kończąca na pl. Konstytucji, połączy miejsca związane ze stanem wojennym: gmach MSW przy Rakowieckiej, pobliski areszt, dawną siedzibę „S" przy Mokotowskiej, Pałac Mostowskich, kościół św. Stanisława Kostki i Wyższą Oficerską Szkołę Pożarniczą na Żoliborzu. Przejazd jest bezpłatny. O godz. 16, też w piątek, przed kościołem św. Stanisława Kostki otwarta zostanie przygotowana przez IPN wystawa „Ofiary stanu wojennego". O godz. 18 w Teatrze Kamienica w al. „Solidarności" 93 wieczór wspomnieniowy nawiązujący do działań konspiracyjnego „Teatru domowego". Zaproszenia są do wygrania w konkursie na stronie: www.facebook.pl/eduipn.

Sztuka w stanie wojennym

Również 13 grudnia Muzeum Historii Polski i Dom Spotkań z Historią zapraszają na premierowy pokaz filmów o sztuce stanu wojennego. O godz. 18 w siedzibie DSH przy ul. Karowej 20 dwa dokumenty: „Literatura i prasa podziemna" i „Aktorzy w stanie wojennym". Po pokazie spotkanie z ich bohaterami: aktorką

Katarzyną Łaniewską i pisarzem Markiem Nowakowskim oraz reżyserem filmów Pawłem Woldanem. Wstęp wolny.

Marsz PiS

O godz. 19 z pl. Trzech Krzyży w kierunku kancelarii premiera wyruszy organizowany przez PiS Marsz Wolności, Solidarności i Niepodległości. „W tym roku w centrum tego, co chcemy przekazać, jest prawda o wielkiej niesprawiedliwości, jaka dzieje się w naszym kraju, o wielkiej niesprawiedliwości społecznej" – zapowiedział kilka dni temu prezes PiS Jarosław Kaczyński.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Znów nie przyszedł do sądu. Twierdzi, że ma cztery nerki

PIOT

Arkadiusz B., oskarżony o zabójstwo Edyty Wieczorek, nie stawił się dziś w sądzie. Swojemu obrońcy powiedział, że jest w szpitalu. Kłamał.

Warszawski sąd chciał dziś (już po raz trzeci) zakończyć głośny proces o zabójstwo młodej kobiety, poznanej za pośrednictwem internetu. Sprawa jest niecodzienna, bo nie znaleziono zwłok ofiary. Nie ma pewności, w jaki sposób zginęła. Co więcej, nie ma 100-procentowej pewności, że Edyta Wieczorek nie żyje. Ale prokuratura jest pewna, ma na to setki dowodów, że to Arkadiusz B. najpierw oszukał, a potem zabił 31-letnią kobietę.

Dziś strony miały wygłosić mowy końcowe. Nie udało się to jednak, bo B. znów nie przyszedł. Wcześniej dzwonił do adwokata, tłumacząc, że jest w szpitalu, bo ma problemy nerkowe. Już

dwukrotnie stawiał się do lecznicy akurat w dniu rozprawy. Potem zaraz wychodził.

W październiku skład sędziowski pod przewodnictwem sędziego Wojciecha Małka stracił cierpliwość i aresztował oskarżonego. Zanim jednak policja zdążyła go ująć i odwieźć do celi, jego adwokat złożył zażalenie. A Sąd Apelacyjny w Warszawie to zażalenie uwzględnił. Co zresztą ciekawe, akurat na to posiedzenie Arkadiusz B. przyszedł. Tłumaczył wtedy sądowi apelacyjnemu, że jest chory, dostaje zastrzyki i jeszcze ma cztery nerki i dwa układy moczowe. Zapewniał, że nie unika przychodzenia na rozprawy i że 11 grudnia się stawi. A jednak znów nie przyszedł. Sąd znów postanowił go aresztować.

– W dniu dzisiejszym oskarżony nie przedstawił żadnego dokumentu, usprawiedliwiającego nieobecność. A co więcej, wprowadził w błąd swojego obrońcę co do przyczyn niestawiennictwa. Tym samym usiłował wprowadzić w błąd również sąd – argumentował sędzia Wojciech Małek. Stwierdził też, że oświadczenie o czterech nerkach „wydaje się absurdalne". Co prawda literatura medyczna zna przypadki osób z czterema albo trzema nerkami, ale trudno podejrzewać, by wymiar sprawiedliwości o tym wcześniej nie wiedział, skoro B. spędził już za kratami ponad cztery lata.

Kolejna próba zakończenia procesu w styczniu 2014 roku. Sprawa ciągnie się już dziewiąty rok. Edyta Wieczorek ostatni raz widziana była 10 listopada 2005 roku. Tego dnia, jak powiedziała znajomym, umówiła się na kolację z Arkadiuszem B. Mężczyzna rozkochał ją w sobie, by wyciągnąć od niej pieniądze, ponad 70 tys. zł. Prokuratura twierdzi także, że zabił. Oskarżony nie przyznaje się. To już jego drugi proces. W pierwszym sąd go uniewinnił, ale po apelacji sprawa wróciła do ponownego rozpoznania.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Galeria sztuki średniowiecznej znów zaprasza

JSM

FOT. MUZEUM NARODOWE

Fragment tablicy modlitewnej Alegoria chwały Marii

Po blisko dwóch latach Galeria Sztuki Średniowiecznej w Muzeum Narodowym znów jest dostępna dla publiczności.

Uroczyste otwarcie miało miejsce we wtorek. Od wczoraj zaś każdy może ją zwiedzać. W znakomitej nowej aranżacji na gości czeka ponad sto wysokiej klasy dzieł sztuki.

Galeria zawiera jeden z najlepszych zbiorów sztuki późnogotyckiej w Europie. Ekspozycja jest tak pomyślana, by odzwierciedlać ponadregionalność ówczesnej sztuki w północnej Europie.

Jako znakomite regiony artystyczne XIV i XV w. są przedstawione nie tylko Niderlandy czy Francja, ale też Gdańsk i Wrocław.

W galerii dominują dzieła sztuki sakralnej, wykonywane na zamówienie kleru i przeznaczone niegdyś dla świątyń.

Na wystawie znajdziemy m.in. kamienną Madonnę, która około 1380 r. wyszła spod ręki Parlerów – słynnych budowniczych katedry w Pradze, ale również dzieła pochodzące z Austrii, Francji, jak również z Górnego i Dolnego Śląska, Pomorza i Małopolski.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

ZAPROSZENIE

RED

DZIŚ. Warszawa da się lubić!

Pod tym tytułem ukaże się płyta, przygotowana przez Fundację „Afryka Inaczej". Na krążku znajdą się warszawskie szlagiery w nowych aranżacjach afro. To kontynuacja działań fundacji na rzecz połączenia tradycji muzycznych Warszawy i Afryki. Oprócz „Nie masz cwaniaka nad Warszawiaka" w wykonaniu Ifi Ude, usłyszymy też: Darka Malejonka wyśpiewującego „Bal na Gnojnej", Sylwestra Kozerę, założyciela legendarnej Kapeli Czerniakowskiej, Grzegorza Świtalskiego oraz afrykańskich artystów Mamadou Dioufa, Pako Sarra i Ricky'ego Liona. Oprócz szlagierów warszawskich na płycie znajdzie się nowa kompozycja – „Mama Africa", rezultat afrykańsko-warszawsko-wileńskiego spotkania muzyków, które miało miejsce w tym roku w Wilnie w ramach innego projektu „Afryki Inaczej". – Tym albumem chcemy sprowokować do zainteresowania folklorem miejskim Warszawy – tłumaczy Mamadou Diouf z Fundacji „Afryka Inaczej".

Premiera albumu odbędzie się dziś w Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie o godz. 19. Wstęp wolny.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Artyści alarmują w sprawie centrum sztuki

W CSW trwa kryzys związany ze złym sposobem zarządzania – napisała grupa artystów w liście do ministra

ANNA SZAWIEL

FOT. KUBA ATYS

Artyści przynieśli pod ministerstwo wyplecione litery, tworzące słowo „crisis”

Wolność, współpraca – wykrzykiwali po polsku i angielsku. Przed sobą nieśli instalację z liter tworzących słowo „crisis” – wczoraj po południu spod Centrum Sztuki Współczesnej do Ministerstwa Kultury przeszli artyści i aktywiści z międzynarodowej grupy Winter Holiday Camp.

To zespół, który wspólnie z pracownikami od wielu miesięcy pracuje nad przekształceniami instytucji CSW, a w ostatnich dniach zainicjował happeningi w środku i wokół Zamku Ujazdowskiego, gdzie mieści się centrum. W skład grupy wchodzą bardzo znani artyści, m.in. Paweł Althamer, Artur Żmijewski, Imani Jacqueline Brown, Noah Fischer, Zofia Waślicka.

– Liczyliśmy, że niektórzy pracownicy CSW dołączą do demonstracji, mimo że to my jesteśmy organizatorami – mówiła Waślicka, która przewodniczyła zgromadzeniu.

Ale pracownicy się nie przyłączyli. Powodem braku udziału zespołu CSW w demonstracji mogły być poranne telefony z ministerstwa – rozdzwoniły się w centrum po naszym artykule, w którym napisaliśmy, że w demonstracji wezmą udział także pracownicy centrum. – Podkreślam, że nie mamy nic wspólnego z demonstracją – zastrzegał wczoraj po południu Janusz Byszewski, kurator CSW i przewodniczący NSZZ „Solidarność" w centrum.

Manifestujący zanieśli ministrowi list. Zwracają w nim uwagę, że w CSW trwa kryzys związany z niewłaściwym sposobem zarządzania instytucją. Podkreślali, że wspierają wolność wypowiedzi artystycznej, sprzeciwiają się zaś używaniu sztuki do celów politycznych. Według nich miało to miejsce w związku z atakiem prawicowych środowisk na autora instalacji „Adoracja Chrystusa" Jacka Markiewicza (nagi artysta ocierał się o krycyfiks) i Marka Goździewskiego, kuratora wystawy, na której była prezentowana. Przeciwko Markiewiczowi i Goździelewskiemu toczy się śledztwo (pod wnioskiem do prokuratury podpisało się około 50 polityków PiS).

Janusz Byszewski wraz z dwiema innymi kuratorkami z CSW Ewą Gorządek i Kają Pawełek uczestniczył w spotkaniu z ministrem. – Jesteśmy bardzo zadowoleni ze spotkania – mówił w przerwie. – Minister roztoczył bardzo ciekawą wizję centrum i planuje nadal nas wspierać – dodał Byszewski.

Szczegółów negocjacji nie zdradził. Na pytanie, czy ta rozmowa przyniesie zmiany w CSW, usłyszeliśmy, że najpierw minister chce się spotkać z dyrektorem CSW Fabiem Cavalluccim, co ma nastąpić w najbliższych tygodniach.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Z szacunkiem pochowają szczątki ludzkie

TU

Ludzkie kości wykopane w Ogrodzie Krasińskich pochowane zostaną na Cmentarzu Żydowskim przy ul. Okopowej. Jest tam specjalna kwatera, w której składane są szczątki odnajdywane na terenie dawnej żydowskiej dzielnicy Warszawy.

Kości leżały w ziemi w północnej części Ogrodu Krasińskich – w miejscu, gdzie do 1943 roku stała kamienica przy Świętojerskiej 40. Zasypane resztki piwnic tego domu znalazły się po wojnie w granicach powiększonego wtedy parku. Odsłonili je archeolodzy z Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, którzy poszukują tu ukrytego w czasie okupacji archiwum żydowskiej lewicowej partii Bund. Na dokumenty na razie nie natrafili, odkopali drobne przedmioty, a w poniedziałek – szczątki dwóch osób. Wydobyte z dołu kości przewiezione zostały do Zakładu Medycyny Sądowej, gdzie biegły patolog określi m.in., z jakiego czasu pochodzą.

Ponieważ dom przy Świętojerskiej 40 znajdował się w Dzielnicy Północnej, zamieszkanej do ostatniej wojny głównie przez Żydów, a w czasie okupacji był w granicach getta, w dodatku w rejonie walk powstania 1943 roku, jest bardzo prawdopodobne, że szczątki należą do żydowskich mieszkańców Warszawy.

O ich znalezieniu poinformowano już Biuro Naczelnego Rabina Polski. Tak dzieje się zawsze, gdy podczas robót ziemnych na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej wykopywane są ludzkie kości. W tym roku o takich przypadkach biuro rabina powiadamiane było trzy razy.

Za każdym razem pracownicy biura rabina czynią starania, by znalezione szczątki z należytym szacunkiem zostały pochowane na Cmentarzu Żydowskim. Nekropolia przy ul. Okopowej ma specjalną kwaterę, gdzie chowane są szczątki znajdowane na terenach niegdyś zamieszkanych przez Żydów.

Kwatera ta znajduje się w obrębie murów nieukończonego przed wojną mauzoleum żołnierzy żydowskich, przy południowej granicy cmentarza.

Zbigniew Polak, szef archeologów z Muzeum Historycznego, uważa, że w miejscu wykopalisk w Ogrodzie Krasińskich ludzkich szczątków może być więcej.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Zobacz, jak inni świętują

Prawosławne ikony, muzułmańskie modlitewniki i lalka Miku w skąpej spódniczce. W Muzeum Etnograficznym nowa wystawa „Czas świętowania w kulturach ludowych Polski i Europy”

ANNA SZAWIEL

FOT. ADAM STĘPIEŃ

W pierwszej, czarnej sali eksponowane są m.in. zabytkowe makiety tańców ludowych z całej Europy. To właśnie jedna z nich

To 1100 metrów wypełnionych oryginalnymi eksponatami, filmami i muzyką, które tworzą wielogłosową opowieść o świętowaniu.

– Nie jest to wystawa „tekturowa", jak mówimy w naszym żargonie, ale nowoczesna, łączy wartką narrację historyczną z żywym obiektem, prawdziwymi zabytkami – mówi dyrektor Muzeum Etnograficznego Adam Czyżewski, który wraz z zespołem muzeum pracował nad wystawą od trzech lat.

Grajkowie i tancerze

Ekspozycja dzieli się na dwie główne części. Mniejsza, czarna sala dedykowana jest muzyce i tańcom związanym ze świętowaniem. Pierwszy raz w tak dużej odsłonie zostały tu pokazane bezcenne makiety tańców ludowych z wystawy paryskiej z 1937 roku. Przedstawiają zastygłe w ruchu figurki tancerzy z Estonii, Włoch, Litwy, Hiszpanii, regionów Francji, krajów bałkańskich, nordyckich i

z Polski, które w latach 80. pozyskano do zbiorów muzeum. Przeleżały w magazynach, dopiero niedawno zaczęto je konserwować. – Samo wpatrywanie się w te figurki może zająć ze dwie godziny – cieszy się Adam Czyżewski. Obok makiet będzie można obejrzeć dawne instrumenty ludowe i ich rekonstrukcje, a także za pomocą żółtych słuchawek posłuchać, jak brzmiały. Ta część wystawy nosi nazwę „Od Chopina do wielkiej awangardy" i ma także zwrócić uwagę, jak sztuka ludowa wpływała na mainstreamowych artystów różnych epok. – Chcemy wyjść z tego „getta" – mówi dyrektor muzeum. – W Polsce polityczne wykorzystanie folkloru nadało mu konotacji negatywnych. Nie widzi się na przykład jego związku z kulturą elitarną, a folklor jest niewyczerpanym źródłem inspiracji – dodaje. Stąd na wystawie m.in. rejestracja filmowa awangardowego „Baletu Triadycznego" Oscara Schlemmera.

Stroje z całej Europy

Galeria odświętnych strojów ludowych z różnych regionów Polski i Europy wypełnia największą salę wystawy i liczy półtora tysiąca eksponatów. Stroje zakomponowano w mocno oświetlonych gablotach, pomiędzy którymi stoją kredensy. Zwiedzający mogą sami zajrzeć w ich szuflady, gdzie pogrupowano całe kolekcje wstążek, obrusów czy wyrobów z włóczki. Osobne miejsce zajmują aneksy poświęcone różnym świętom: Bożemu Narodzeniu (wśród eksponatów m.in. XIX-wieczna szopka krakowska z oryginalnymi figurami), Wielkiej Nocy, jarmarkom. Część wystawy została poświęcona pisankom, a także zabawkom – niektóre z nich zwiedzający będą mogli wziąć do ręki, a także pohuśtać się na drewnianej huśtawce. Salę z posadzką imitującą XIX-wieczne płytki poświęcono różnym świętom żydowskim. Znalazły się tu przedmioty zabytkowe, ale także współczesne, jak menokija (projektu Heleny Czernek), czyli lampa oliwna łącząca trzy tradycyjne świeczniki żydowskie: dwuramienny szabatowy, siedmioramienną menorę i dziewięcioramienną chanukiję. Także pogańskie święta litewskie czy prawosławne znajdują

odzwierciedlenie na wystawie. Z muzeum historycznego w Białymstoku przyjechały zabytkowe modlitewniki tatarskie.

Folklor jest sexy

180 cm wzrostu, niebieskie włosy i kusa spódniczka inspirowana strojem krakowskim. Taka lalka powita wchodzących do muzeum. To nowy pomysł na jego promocję. Jest wzorowana na postaci Hatsune Miku, wirtualnej piosenkarki wykreowanej kilka lat temu w Japonii, która robi furorę w internecie i na koncertach. Miku z muzeum etnograficznego w realu stanęła na postumencie przy portierni muzeum, w internecie śpiewa i tańczy ludową piosenkę „Jadą goście, jadą". Dyrektor muzeum Adam Czyżewski przyznaje, że postać nawiązuje do kultury hentai (anime, której tematyką jest pornografia). Tłumaczy też, że chodzi o to, żeby muzealna Miku była rozpoznawalna globalnie. Pomysłodawczyni nowego symbolu muzeum Elżbieta Czyżewska mówi, że etno-Miku powstała z dystansu do polskiej kultury. – Polska nie jest się w stanie przebić. Nawet na pokazach mody z elementami etno widać motywy z Ukrainy, Rosji. Brakuje tych z Polski. Jesteśmy prowincjonalnym narodem, który cechuje połączenie dużych kompleksów z dużą megalomanią. Musimy znaleźć sposób, żeby zaistnieć – dodaje.

_____

„Czas świętowania w kulturach ludowych Polski i Europy" – wystawa stała będzie czynna od piątku 13 grudnia. Państwowe Muzeum Etnograficzne, ul. Kredytowa 1, wt.-sob. g. 11-19, niedz. 12-17. Bilety 6 i 12 zł.

Zespół kuratorski: dr Adam Czyżewski, Jadwiga Koszutska, dr Paweł Matwiejczuk, dr Justyna Laskowska-Otwinowska, Małgorzata Orlewicz, Patryk Pawlaczyk, Aleksander Robotycki, Amudena Rutkowska, Klara Sielicka-Baryłka. Projekt scenograficzny: Alena Trafimava. Grafika: Klara Jankiewicz

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Pro Helvetia się wyprowadza

Szwajcarska Fundacja dla Kultury Pro Helvetia to jedna z najprężniejszych instytucji w Warszawie. Po ponad 20 latach zamyka tutejsze biuro. W weekend zaprasza na rozmowy i spektakl taneczny „Tarab”

IZABELA SZYMAŃSKA

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Cykl wydarzeń zakończy taneczny spektakl „Tarab”

Hasłem, które łączy wszystkie planowane wydarzenia, jest słowo „zmiana”.

Pro Helvetia pojawiła się w Polsce na początku lat 90., w czasie, kiedy transformację przechodziły nie tylko polityka i gospodarka, ale również kultura. Pracownicy instytucji byli świadkami zmian oraz przyczyniali się do nich, m.in. wysyłali animatorów kultury czy artystów na stypendia, by podpatrywali modele funkcjonowania kultury i czerpali z nich inspirację.

Podczas weekendu Pro Helvetia razem z zaproszonymi gośćmi będzie zastanawiać się, jak dziś powinna wyglądać międzynarodowa współpraca kulturalna.

Rozmowy odbędą się w piątek i sobotę w lokalu Państwomiasto przy ul. Andersa 29. W debacie prowadzonej przez Urszulę Kropiwiec, dyrektor warszawskiej Pro Helvetii, uczestnicy będą szukali sposobów na wspieranie zmian w krajach, które dziś przechodzą rewolucję. Do rozmowy zaproszeni zostali m.in. dr Emad Abou Ghazi – były minister kultury Egiptu – oraz Marek Radziwon – dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie (piątek, godz. 17).

Na sobotę zaplanowano dwa spotkania. Podczas pierwszego goście, m.in. Abeer Ali – reżyserka teatralna i aktywistka – czy Agata Siwiak – nominowana do Paszportów „Polityki" kuratorka teatralna, zastanowią się, jak funkcjonuje kultura niezależna i oficjalna w Egipcie i Polsce (godz. 14). W kolejnym – podejmą temat sztuki w krajach z silną i scentralizowaną władzą. Rozmawiać będą m.in. Anna Morochnik z rosyjskiej Fundacja Sztuki „Biennale Moskiewskie", Stach Szabłowski, krytyk i kurator (godz. 16).

Cykl wydarzeń zakończy taneczny spektakl „Tarab" w choreografii Laurence Yadi i Nicolasa Cantillona. Przygotowała go szwajcarsko-francuska grupa Compagnie 7273, którą widzowie mogą znać z festiwalu Ciało/Umysł czy Plusy Tańca w Teatrze Narodowym.

Tytuł przedstawienia to ważne słowo w arabskiej kulturze, które łączy poezję, muzykę i duchowość. Porównywane jest do swingu w jazzie. Na scenie zobaczymy grupę 10 tancerzy. Choreograficznym punktem wyjścia do ich pracy było zestawienie łagodnych linii arabskiej kaligrafii z tradycją zachodniego tańca współczesnego. Jak zapowiadają twórcy, spektakl przypomina hipnotyzujący fresk, a mnogość ruchów daje początek ekstazie i wolności. W muzyce usłyszymy akcenty arabsko-andaluzyjskie. „Tarab" zostanie pokazany w Nowym Teatrze (ul. Madalińskiego 10/16, sobota, godz. 20).

_____

Szczegółowe informacje: www.prohelvetia.pl

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

W SKRÓCIE

Jubileusz Ewy Wiśniewskiej

RED

Aktorka Teatru Narodowego świętuje 50-lecie pracy artystycznej. Dziś wieczorem na Scenie przy Wierzbowej specjalny jubileuszowy spektakl „Łysej śpiewaczki" Ionesco w reżyserii Macieja Prusa. Ewa Wiśniewska wystąpi jako Pani Smith.

Do współpracy z Teatrem Narodowym zaprosił ją w 2004 roku Jerzy Jarocki. W „Błądzeniu" według Witolda Gombrowicza aktorka wystąpiła gościnnie w czterech rolach: Cioci, Królowej Małgorzaty, Hrabiny Himalaj i Matki, za które otrzymała nagrodę Feliksa Warszawskiego. W 2009 roku po raz drugi współpracowała z Jerzym Jarockim, grając Eugenię w „Tangu" Mrożka. Od sezonu 2009/2010 Ewa Wiśniewska jest aktorką Teatru Narodowego. Wystąpiła w przedstawieniach Jacques'a Lassalle'a (Maria Soderini w „Lorenzacciu" de Musseta, 2011), Agnieszki Glińskiej (Ciotka Walerka w „Pożegnaniach" wg Dygata, 2012) i ostatnio – Grzegorza Chrapkiewicza (Duża Mama w „Kotce na gorącym blaszanym dachu" Williamsa, 2013).

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

ZAPROSZENIA

ŁUK

DZIŚ. Koncert w Biosfeerze

To koncert specjalny, z którego cały dochód przeznaczony zostanie na budowę szkół i punktów medycznych w najbardziej potrzebujących regionach Tybetu. Organizatorem jest fundacja Asia Onlus, która od ćwierć wieku wspiera działania mające zachować kulturalną odrębność, różnorodność i wyjątkowość ludności zamieszkującej Azję. Koncert, który odbędzie się w restauracji Biosfeera (ul. Niepodległości 80), zgodziły się wesprzeć zespoły Ballady i Romanse oraz The Abstinents. Początek o godz. 19.30, bilety cegiełki 20 zł.

JUTRO. Koncert Dreams Factory

Jak piszą organizatorzy, to „koncert performatywny, mieszczący się w obszarach poetyki freejazzowej". Na czele zespołu stoi gitarzysta, wokalista, grający na instrumentach klawiszowych Paweł Prochnowski, muzyk znany również z projektu Lena Ledoff Trio, koncertów na Jazz Jamboree czy komponowania muzyki teatralnej. Z Dreams Factory wystąpi jutro o godz. 20 w Pracovnii (ul. Popiełuszki 16). Wstęp 10 zł.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

WSPOMNIENIE (1932-2013)

Irena Orłowska

STANISŁAW ORŁOWSKI

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Irena urodziła się we wsi Kuklin, w powiecie mławskim, w rodzinie nauczycieli wiejskich.

Po kilku latach jej ojciec Zygmunt awansował na inspektora oświaty w powiecie i rodzina przeniosła się do Mławy.

Wybuch II wojny światowej i towarzyszące okoliczności sprawiły, że rodzina zdecydowała się porzucić mieszkanie i uciec do Ciechanowa, gdzie w bardzo trudnych warunkach mieszkała przez całą okupację. Ciasna komórka, użyczona przez znajomego ojca, przez kilka lat stanowiła mieszkanie dla 6-osobowej rodziny. Dokuczał głód. Matka, Stanisława, wędrowała po wsiach, starając się wymienić resztki dobytku na cokolwiek do jedzenia. Ze względu na łapanki i inne niebezpieczeństwa w okresie okupacji Irena przebywała głównie w domu, gdzie opiekowała się dziadkami i czytała, czytała, czytała. Wieczorami rozmawiała z ojcem o książkach, ustalali dalsze lektury, dyskutowali o historii Polski.

Dzięki znajomości j. niemieckiego ojciec Ireny zatrudnił się jako robotnik w miejscowym magazynie żywności, w konspiracji zaś, będąc nauczycielem j. polskiego, nadzorował tajne nauczanie na obszarze powiatu. To on osobiście kształcił Irenę w czasie okupacji.

Po zakończeniu wojny młodzież masowo ruszyła do szkół.

W wyniku przeprowadzonych rozmów kwalifikacyjnych Irena trafiła do drugiej klasy szkoły średniej w Ciechanowie.

Uczyła się chętnie, a z przedmiotów humanistycznych była wyróżniającą się uczennicą. Otoczona gronem przyjaciół aktywnie uczestniczyła w życiu szkoły.

Pomimo kłopotów zdrowotnych, będących konsekwencją życia okupacyjnego, bez przeszkód zdała maturę i przystąpiła do egzaminów na Wydział Geologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Chcąc ułatwić córce studiowanie w stolicy, rodzice zdecydowali o przeprowadzeniu się rodziny do Radzymina.

Po ukończeniu studiów Irena pracowała w Państwowym Instytucie Geologicznym. Gdy na początku lat 50. dowiedziała się o możliwości zatrudnienia w nowo powstającej bibliotece Wydziału Geologii UW, decyzję podjęła szybko. Nareszcie mogła zawodowo robić to, co kochała – obcować z książkami. Nie zrażała jej wyczerpująca praca przy scalaniu księgozbiorów ani niskie uposażenie. Miłość do książek i jej wrodzone cechy, takie jak systematyczność, skrupulatność, obowiązkowość i odpowiedzialność, sprawiły, że uruchomiona i prowadzona przez nią biblioteka była wielokrotnie wyróżniana jako najlepsza w skali całego UW. Na stanowisku kierownika biblioteki Irena przepracowała ponad 30 lat.

Po przejściu na emeryturę pozostała wierna literaturze. Podobnie jak w latach poprzednich, pasjami czytała książki o różnej tematyce, zazwyczaj 3-4 równocześnie. Pozostawiła po sobie zeszyt, w którym skrupulatnie notowała przeczytane tytuły.

Tylko w latach 1988-2005 było ich blisko tysiąc. Czytane książki dobierała starannie. Interesowała ją zarówno literatura polska, jak i światowa, a ostatnie lata zbliżyły ją mocno do pisarzy skandynawskich.

Ważne miejsce w życiu Ireny zajmowały psy. Była nie tylko ich wielką miłośniczką, ale i znawczynią. Kochała wszystkie psy, a one kochały ją. W naszym domu zawsze były czworonogi, najczęściej małe czarne pudelki. Wszystkie wypieszczone i zadbane odwzajemniały okazywaną im miłość.

Moja żona kochała też kwiaty. Jej ulubione to tulipany. Z pasją hodowała je na działce, wielokrotnie wyróżnianej w lokalnych konkursach.

Irena odeszła nagle 29 czerwca 2013 r., pozostawiając w moim życiu i sercu wielką pustkę.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

POŻEGNANIE

Teresa Chmielewska

WITOLD SADOWY

FOT. ARCHIWUM

Była osobą delikatną i wrażliwą. Niezwykle skromną i pracowitą. Dobroć i uczciwość miała wypisane na twarzy.

Była człowiekiem teatru. Kochała go miłością wielką. Teatr był dla niej świątynią. Aktorzy kimś niezwykłym. Dla nich zrobiłaby wszystko.

Nie znam szczegółów jej życia. Wiem tylko tyle, że była profesjonalistką wysokiej klasy. W teatrze pracowała jako charakteryzatorka, fryzjerka i perukarka.Wszyscy ją cenili i kochali. Nigdy nie skarżyła się i nie narzekała. Robiła swoje i cichutko znikała. Zależało jej na tym, aby jej ukochani aktorzy dobrze wyglądali, pięknie grali i byli zadowoleni.

Często siadywała na widowni w czasie prób i obserwowała aktorów. Cieszyła się, kiedy odnosili sukcesy, i martwiła, kiedy nie wszystko było tak, jak by pragnęła.

Zawsze schludnie i dobrze ubrana. Znakomicie wychowana.

Sama wychowywała dwójkę wspaniałych dzieci, Michała i Basię. Wyrośli na przyzwoitych ludzi. Wykształciła ich. Michał jest naukowcem. Basia skończyła rusycystykę i pracuje w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego.

Do Teatru Klasycznego (dziś Studio) i Teatru Rozmaitości, w którym pracowałem od dawna, przyszła z Teatru Wielkiego w latach 50. za dyrekcji Emila Chaberskiego. Spędziła w nich kilkanaście lat, także za dyrekcji Jerzego Kaliszewskiego i Ireneusza Kanickiego.

Kiedy nastąpił rozłam tych teatrów i dyrekcję Teatru Klasycznego przejął Józef Szajna, zmieniając nazwę teatru na „Studio", a Teatr Rozmaitości połączył się ze Studenckim Teatrem Satyrycznym pod wodzą dyrektora Andrzeja Jareckiego, Terenia została na Marszałkowskiej w „Rozmaitościach". Wkrótce dołączyły do niej dwie równie znakomite charakteryzatorki, perukarki i fryzjerki, które potrafiły robić cuda. Ich nazwiska to Ula Rojek i Tereska

Opalińska. Stworzyły najlepszy zespół w stolicy. Ten okres u Jareckiego wspominam ze szczególnym rozrzewnieniem. Przyjaźniłem się z nimi.

Długie godziny spędzałem w ich pracowni. Nie było u nas podziału na artystów i zespół techniczny. Wszyscy żyli w przyjaźni.

Każdemu zależało na sukcesie naszego teatru. Kochaliśmy się i szanowaliśmy. A kiedy wybuchła „Solidarność", byliśmy jedną wielką rodziną.

Tereska pracowała jeszcze Teatrze Rozmaitości za dyrekcji Andrzeja Marii Marczewskiego, przez jakiś czas także za dyrekcji Ignacego Gogolewskiego. Potem wszystkie trzy odeszły z tego teatru. Terenia ponownie znalazła się w Teatrze Studio, a następnie w Teatrze Kwadrat u Edmunda Karwańskiego i Andrzeja Nejmana. Wszędzie ją ceniono i szanowano. Kiedy bywałem w tych teatrach, zawsze spotykałem się z Tereską. Witaliśmy się serdecznie i wspominaliśmy dawne czasy. Była słabego zdrowia.

Gdy zaatakował ją rak, leczyła się, ale teatr był dla niej najważniejszy. Nie opuszczała go. Dawał jej siłę, by przetrwać. Na początku października nieoczekiwanie zatelefonowała do mnie, pytając o moje zdrowie. Długo rozmawialiśmy o wszystkim, także o jej zdrowiu. Powiedziała mi, że jest na emeryturze, że pożegnała się z teatrem, bo nie ma już siły. Po tym telefonie długo o niej myślałem, miałem do niej zatelefonować, ale nie zdążyłem.

W czwartek wieczorem 24 października 2013 roku odebrałem telefon. Ula Rojek, przełykając łzy, zawiadomiła mnie, że Terenia Chmielewska nie żyje. Miała sześćdziesiąt kilka lat i chęć życia. Całą noc nie spałem. Wciąż widziałem Terenię i jej piękną, szlachetną twarz.

Żegnaj, kochana Teresko. Byłaś cudownym, wspaniałym Człowiekiem. Nie spotyka się już dziś takich ludzi. Cieszę się, że Cię znałem.

Śpij spokojnie.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

WSPOMNIENIE

Jan Radlicki

EWA RADLICKA

Z okazji zbliżającej się ósmej rocznicy śmierci adwokata Jana Radlickiego pragniemy przypomnieć Jego sylwetkę.

W 1955 r. skończył prawo i z nakazem pracy po studiach został prokuratorem. Zrezygnował z tej funkcji w marcu 1968 r., nie chcąc brać udziału w oskarżaniu protestujących studentów. Następnie w tym samym roku rozpoczął pracę jako radca prawny.

Już jako adwokat pomagał „Solidarności", a w stanie wojennym został przewodniczącym obsługi prawnej Prymasowskiego Komitetu Pomocy Represjonowanym i Uwięzionym przy kościele św. Marcina w Warszawie.

Jeździł na interwencje do więzień do internowanych działaczy.

Bronił ich w sądach. Za swoją działalność zastał odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Był człowiekiem wysokiej kultury osobistej, bardzo uczciwym adwokatem, dobrym mężem i ojcem.

Bardzo brak nam Jego i Jego rad.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

PIŁKA NOŻNA

Śmiać się czy płakać?

– Na razie z Legii śmieją się tylko w Polsce, ale jeśli przegra, to jestem przekonany, że śmiać się będą także w całej Europie – mówi przed dzisiejszym meczem Legii z Apollonem Andrzej Juskowiak

BARTEK KUBIAK

FOT. KUBA ATYS

W środku Helio Pinto, to on dzisiaj powinien zastąpić na boisku kontuzjowanego Radovicia

– Powinniśmy powalczyć z Trabzonsporem o drugie miejsce – mówił pod koniec sierpnia, zaraz po losowaniu grup Ligi Europejskiej, Jan Urban. Po trzech miesiącach słowa trenera Legii można włożyć między bajki. Po pięciu kolejkach fazy grupowej bilans mistrzów Polski jest zatrważająco słaby – 0:1 i 0:2 z Lazio, 0:1 z Apollonem i dwukrotnie po 0:2 z Trabzonsporem.

– Moim zdaniem w klubie za łatwo przechodzono obok tych wszystkich porażek. Za mało było presji – mówi Juskowiak, ekspert TVP. – Cały czas słyszałem, czy to z ust trenera, czy piłkarzy, że nic się nie stało, że zabrakło szczęścia, że w sumie to byliśmy lepsi albo nie czuliśmy się gorsi. Po meczach w pucharach takie tłumaczenia są śmieszne – dodaje.

Ale to już koniec. Dzisiaj Legia spotkaniem z *A*pollonem żegna się z Europą. Mistrzowie Polski muszą zdobyć choćby jeden punkt albo – co mało realne – przegrać, ale strzelić Cypryjczykom pięć goli, aby nie stać się najgorszą drużyną w historii tych rozgrywek. W tej chwili są bowiem jedynym spośród 48 zespołów w tej edycji LE, który nie zdobył punktu i nie strzelił gola.

– Siedzi w naszych głowach to, że zaraz możemy stać się najgorszą drużyną w Lidze Europejskiej. Ale będziemy walczyć, aby tak się nie stało. Na pewno nie lecimy na Cypr na wakacje. Chcemy godnie pożegnać się z tymi rozgrywkami – mówił dzień przed wylotem do Nikozji Dominik Furman.

Żeby się w miarę godnie pożegnać, Legia musi na Cyprze zdobyć pierwsze punkty. Jeśli tak się nie stanie, wpisze się do historii negatywną statystyką. Na razie najgorszym zespołem w czteroletniej historii LE jest irlandzka drużyna Shamrock Rovers, która w sezonie 2011/12 przegrała wszystkie sześć spotkań z Tottenhamem, PAOK i Rubinem Kazań, ale w czterech z nich zdobywała jedną bramkę.

Czwartkowy mecz dla *A*pollonu też ma znaczenie tylko statystyczne. Cypryjczycy mają cztery punkty, a wcześniej awans z grupy J zapewniły sobie już Trabzonspor i Lazio. Oba zespoły w czwartek zagrają w stolicy Włoch. Trabzonsporowi do utrzymania pierwszego miejsca w tabeli wystarczy remis.

Urban zabrał na Cypr tylko 17 zawodników. Po niedzielnym meczu z Lechią ze składu wypadli mu Ivica Vrdoljak i Miroslav Radović.

Kapitan Legii ma problemy ze stopą, a Radović z mięśniem krawieckim. Na Cypr poleciał za to Jakub Wawrzyniak, który od początku tygodnia nie trenował z powodu przeziębienia.

– Zdecydowanie najbardziej Legii brakować będzie Radovicia. Ciężko wskazać, kto powinien go zastąpić. Na pewno pierwszym, który przychodzi mi do głowy, jest Helio Pinto. Ale nie wiem, może trener Urban da szanse innym – zastanawia się Juskowiak. – Podobnie jak Jerzy Engel w ostatnim meczu z USA na mistrzostwach świata w 2002 roku – wskazuje. Polska, w meczu o prestiż, wygrała wówczas 3:1.

– Z wieloma kontuzjami zmagaliśmy się przez całą rundę i teraz też musimy sobie poradzić – skomentował krótko sytuację kadrową Urban. – Na pewno chcemy w końcu coś ugrać w Lidze Europejskiej. Na Cypr przylecieliśmy po to, aby się zrewanżować za porażkę w pierwszym meczu – przypomniał trener październikowe spotkanie z *A*pollonem, które Legia przegrała na Pepsi Arenie przy pustych trybunach 0:1.

Jak będzie tym razem? Juskowiak podkreśla, że w tej chwili wiele zależeć będzie właśnie od trenera. – To on musi wpłynąć na ten zespół. Musi z niego zdjąć presję w szatni, bo jak Legia szybko nie strzeli gola, to z każdą minutą może to wyglądać coraz gorzej – tłumaczy.

I dodaje: – Na razie z Legii śmieją się tylko w Polsce, ale jeśli przegra w Nikozji, to jestem przekonany, że śmiać się będą także w całej Europie.

Najgorsze jest to, że nawet w przypadku okazałego zwycięstwa z *A*pollonem, kibicom Legii do śmiechu nie będzie.

Przypuszczalny skład na *A*pollon: Kuciak – Bereszyński, Dossa Junior, Astiz, Wawrzyniak – Jodłowiec, Furman – Ojamaa, Pinto, Brzyski – Dwaliszwili.

Początek meczu 21.05. Transmisja w Canal+ Sport i TVN Turbo. Relacja, oceny, komentarze, wypowiedzi na Warszawa.sport.pl.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Antolović odchodzi z Legii

BK

FOT. KUBA ATYS

Wczoraj przed południem Legia Warszawa rozwiązała kontrakt z Marijanem Antoloviciem. Chorwacki bramkarz dostanie trzymiesięczną odprawę i w ciągu kilku najbliższych dni opuści Łazienkowską.

W 2010 roku Antolović, najlepszy wówczas bramkarz ligi chorwackiej, przychodził jako następca znakomitego Jana Muchy, który zmieniał Legię na Everton. Chorwat na Łazienkowskiej kompletnie się nie sprawdził. W Legii rozegrał zaledwie dziewięć meczów.

Przez ostatnie półtora roku Antolović był wypożyczany – najpierw do bośniackiego FK Borac Banja Luka, a później na cały sezon do Željezniara Sarajevo, ale to Legia cały czas wypłacała mu pensje.

– Jego kontrakt to był jeden wielki szwindel – mówił „Gazecie" kilka tygodni temu o 24-letnim Antoloviciu Bogusław Leśnodorski. – Proszę mi pokazać, który młody bramkarz dostaje takie pieniądze

na dzień dobry. On w tej chwili na pewno jest w dziesiątce naszych najlepiej opłacanych piłkarzy – denerwował się prezes.

Chorwat, gdy przychodził do klubu w 2010 roku, dostał pensję w wysokości 12 tys. euro miesięcznie. Podpisał jednak kontrakt progresywny, który po każdym sezonie – niezależnie od liczby i poziomu występów – zapewniał mu 20-proc. podwyżkę. Umowa Antolovicia z Legią wygasała w czerwcu przyszłego roku.

Od lipca Antolović zarabiał więc ponad 20 tys. euro miesięcznie. Piłkarz od kilkunastu dni pojawiał się jednak w gabinecie prezesa, bo jak sam zapewniał, chce dogadać się z klubem, gdzie szans na grę nie ma żadnych.

Udało się. W środę przed południem obie strony doszły do porozumienia. Antolović od Legii dostanie trzymiesięczną odprawę i w ciągu kilku najbliższych dni pożegna się z Łazienkowską.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Rozwijają pamięć, uczą wytrwałości

MAGDALENA DUBROWSKA

Gambity hetmańskie, obrony sycylijskie, szach i mat. W weekend w Warszawie odbędą się Mistrzostwa Europy w Szachach Szybkich i Błyskawicznych.

To jedna z najstarszych gier planszowych, która cieszy się niesłabnącą popularnością do dziś. Szachy inspirowały pisarzy, np. Vladimira Nabokova, autora niezwykłej powieści pt. „Obrona Łużyna", czy Michaiła Bułhakowa, który ożywił figury szachowe w partii rozgrywanej przez Wolanda i Behemota, a także reżyserów, wśród nich samego Ingmara Bergmana. W piątek w Pałacu Kultury

(pl. Defilad 1) rozpocznie się największy w Europie turniej szachowy – Mistrzostwa Europy w Szachach Szybkich i Błyskawicznych. Organizuje go Fundacja Szachowa im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

– Każdy, kto kocha szachy, może zagrać w turnieju, niezależnie czy ma lat 6 czy 86. Można też przyjść i popatrzeć – zachęca Maria Macieja, dyrektor turnieju. – Na listach startowych nie zabraknie też gwiazd z całej Europy, Aleksieja Driejewa czy Władimira Małachowa oraz czołówki polskich arcymistrzów i najlepszego w Polsce gracza – Radosława Wojtaszka. Oprócz tego, jak co roku w turnieju, zagra 250 dzieci do lat 14.

Zawodnicy reprezentują 30 krajów Europy, m.in. Litwę, Ukrainę, Rosję, Francję, Bułgarię, Holandię i Szwecję. W piątek odbędą się zawody w szachach błyskawicznych, do których zgłosiło się 450 osób, a w sobotę i w niedzielę 760 graczy zmierzy się w turnieju szachów szybkich. W tzw. Blitzu, czyli szachach błyskawicznych, każdy z graczy ustawia na swoim zegarze trzy minuty, w szachach błyskawicznych – 15 minut. Dodatkowo zawodnicy mają ograniczony czas na każdy ruch. Jeśli nie wyrobią się w czasie – przegrywają. Szachowe Mistrzostwa Europy odbywają się w Warszawie od 2005 r.

– Europejska Unia Szachowa uruchomiła wtedy nowe zawody – w szachach szybkich i błyskawicznych, ale nie miały one renomy. A w tym samym czasie my w Warszawie organizowaliśmy Memoriał im. Stanisława Gawlikowskiego, imprezę szachową, która dzięki sponsorom w pewnym momencie stała się najsilniejsza w Europie – opowiada Maria Macieja, dyrektor turnieju. – W końcu zgłosił się do nas Boris Kutin, prezes EUS, żeby nadać memoriałowi rangę Mistrzostw Europy. Zgodziliśmy się. Udało się zbudować wielką imprezę – dodaje.

Dlaczego warto grać w szachy?

– Ich edukacyjnych walorów nie sposób przecenić. Rozwijają pamięć, uczą wytrwałości – mówi Macieja. – Ponadto szachy bardzo pomagają wyławiać talenty w przedmiotach ścisłych już na wczesnym etapie rozwoju dziecka. To bardzo ważne, bo żaden kraj nie może sobie pozwolić na marnowanie takich talentów.

_____

Rozgrywki zaczynają się o godz. 11 (w piątek) i 10 (sobota, niedziela). Więcej o Mistrzostwach Europy w Szachach Szybkich i Błyskawicznych przeczytasz w serwisie Warszawa.sport.pl

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

WARSZAWA.SPORT.PL

RED

ŚRODA NA WARSZAWA.SPORT.PL

– Podczas środowego posiedzenia Komisja Ligi anulowała czerwoną kartkę dla Jakub Wawrzyniaka. Oznacza to, że obrońca Legii będzie mógł zagrać w niedzielę przeciwko Cracovii.

– Dragomir Okuka w Legii? – Chciałbym tu jeszcze kiedyś pracować. To wielkie moje marzenie – nie ukrywa serbski szkoleniowiec, który w 2002 roku zdobył z warszawskim zespołem mistrzostwo Polski.

CZWARTEK NA WARSZAWA.SPORT.PL

– Zaraz po meczu Legii z *A*pollonem w serwisie relacja, oceny piłkarzy, wypowiedzi, komentarze.

– Łyżwiarski czwartek na Stegnach. Tradycyjny zimowy cykl zawodów, w których uczestnicy będą startować na dystansach od

50 do 300 metrów, a klasyfikacja będzie prowadzona dla zawodników indywidualnych i drużyn.

– Otwarty trening ultimate frisbee. Warszawska drużyna 4Hands w sezonie jesienno-zimowym przenosi treningi do hali. Zajęcia są otwarte dla wszystkich, każdy może przyjść spróbować swoich sił w tej dyscyplinie. Więcej informacji – w serwisie.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

SZCZYGIEŁ NA CZWARTEK

Klucz do polskości?

Oto, co ostatnio usłyszałem, podsłuchałem, przeczytałem

MARIUSZ SZCZYGIEŁ

Kiedy rzeźby mieszkającego w toskańskiej Pietrasancie polskiego rzeźbiarza Igora Mitoraja stanęły na placu Zamkowym w Warszawie, niektórzy kręcili nosem. Nie rzeźbi jak Polak. Te prace są za ładne, mówili. Zbyt proste. Zbyt włoskie.

– Zbyt włoskie, czyli jakie? – spytałem jedną z moich znajomych, która nawet nie poszła na wystawę popatrzeć. Odpowiedziała: – Są zbyt zrozumiałe. Łatwe.

Przyznają państwo, że komplikacje to nasza specjalność.

– Ciężko was, Polaków, zrozumieć – mówi mi znajomy Czech. Trwa kryzys, wy macie najlepsze wyniki ekonomiczne z państw Unii, a

jednocześnie przez dziesięć lat pięciokrotnie wzrosła w Polsce liczba księży egzorcystów. Z całej Europy macie najwięcej prywatnych inwestorów giełdowych, a w parlamencie odbywa się oficjalna modlitwa o deszcz.

Ma rację. Moim zdaniem bycie nierozumianym daje Polakom pewne poczucie wyższości. Może nie mamy wielu autostrad, ale jesteśmy kimś wyjątkowym. To właśnie nierozumienie ma budzić szacunek.

Wszystko to pomyślałem, kiedy włoski miesięcznik literacko-społeczny „Internazionale" zaproponował mi przedstawienie polskiej literatury współczesnej. W każdym numerze na Boże Narodzenie „Internazionale" prezentuje w miarę nowe opowiadania z jakiegoś kraju, które wybiera zaproszony redaktor. Ponieważ nie gorzej niż opowiadania (a może nawet lepiej) stoją w Polsce reportaże, część mojego wyboru to właśnie one. Do tego kryminał, fantasy, komiks i fotoreportaż.

Moja lista wygląda tak: Hanna Krall – „Ta z Hamburga" (z „Żalu"), Ewa Winnicka – „Mister Pałac i jego ojczyzna" (z „Londyńczyków"), Wojciech Tochman – „Wściekły pies" (z „Bóg zapłać"), Magdalena Tulli – „Fusy" (z „Włoskich szpilek"), Zygmunt Miłoszewski – „Domiar" (znikąd, przysłał mi mailem), Jacek Piekara – „Ponury milczek" (ze „Świat jest pełen chętnych suk"), Julianna Jonek – „Włosy nasze powszednie" (z pisma „Akcent" nr 4/2013), Kaja Malanowska – „Justyna i łopiany" (z „Imigracji"), fragment komiksu Marka Sieńczyka „Przygody na bezludnej wyspie" oraz fotoreportaż Adama Pańczuka „Karczeby" z tekstem Grzegorza Sroczyńskiego, który ukazał się w „Dużym Formacie".

Dałem więc Włochom klucz do polskości. Ponieważ od dawna uważam, że „polski" znaczy „nierozumiany", wszystkie wybrane dzieła mają z tym związek.

Bohaterka opowiadania Julianny Jonek nie rozumie siebie jako kobiety i dlatego wciąż jest dziewczynką. Ale jak ma rozumieć siebie, jeśli nie wie nawet, za jaki kraj bił się jej dziadek? Czy to ważne, za jaki kraj? W Polsce – tak. Przecież u nas nawet ślad krwi na śniegu po zabitym człowieku może być uznany za element patriotyczny (w opowiadaniu Miłoszewskiego). Kto zrozumie bohatera Ewy Winnickiej, który zbudował druzgoczący swoje otoczenie pałac tylko po to, żeby pokazać, że jest zaradnym Polakiem? Kto zrozumie dwie matki, jakie ma bohaterka reportażu Hanny Krall, z których każda uważa się za matkę właściwą? Kto zrozumie księdza z HIV, który prowadzi mocne życie seksualne w gejowskich saunach, ale nie odejdzie z Kościoła, bo Jezusa kocha jak mamę i tatę? Wprawdzie coś z tego, co ją otacza, usiłuje zrozumieć matka z opowiadania Magdaleny Tulli, ale jak tylko coś zrozumie, zaraz okazuje się, że to coś nie istnieje.

A kto zrozumie fragment komiksu Marka Sieńczyka? Nie rozumieją go nawet ci, którzy poznali go w całości.

A co Państwo by wybrali do świątecznego numeru dla Włochów? Według jakiego klucza zaprezentowalibyście polską short literaturę świata? mariusz.szczygiel@agora.pl

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

LICZYMY SIĘ Z POLAKAMI

10%

polskich internautów nasłuchuje Twittera

PIOTR TOCZYSKI

Słowo „blogowanie” weszło do języka polskiego dziesięć lat temu. Natomiast „mikroblogowanie”, które ma ponad pięć lat, po polsku

zazwyczaj nazywa się „tweetowaniem". Choć przez chwilę mogło wydawać się, że będzie „blipowaniem".

A to dlatego, że pierwsze mikroblogowe teksty o długości mniej więcej SMS-a Polacy masowo wysyłali nie z Twittera, tylko z serwisu, który był polską nań odpowiedzią, a nazywał się Blip.pl. W styczniu 2008 r. Blipa odwiedziło 70 tys. Polaków.

Kiedy więc internauci już „blipowali", „tweetowanie" aż do marca 2009 r. czekało na swoją masową polską premierę. Wtedy Twitter przekonał do siebie na tyle dużo Polaków, by znaleźć się w zestawieniu. Od razu w pierwszym miesiącu obecności na liście było ich 120 tys., a przez trzy kwartały publiczność Twittera urosła ponadczterokrotnie – czyli do 570 tys. w grudniu 2009 r. Rozwój Blipa nie był aż tak szybki i pod koniec 2009 r. rodzimy naśladowca stał już za Twitterem, przyciągając 410 tys. Polaków. Dziś widać, że była to jasna zapowiedź zastąpienia „blipowania" „tweetowaniem".

W kolejnych latach publiczność Blip.pl topniała, spadając najpierw do poziomu 360 tys. (w grudniu 2010 r.), a później 240 tys. (w 2011 r.). W tym czasie polski Twitter rósł, przyciągając 1,12 mln użytkowników w grudniu 2010 r. i 1,22 mln w 2011 r. Rok temu, w grudniu 2012 r., Blip miał już ledwie 93 tys. gości, gdy Twitter – 1,7 mln.

W zestawieniu obejmującym grudzień 2013 r. Blip.pl już się nie pojawi. Z końcem sierpnia 2013 r. – gdy Twittera odwiedzało 10,1 proc. internautów w Polsce (czyli 2,1 mln) – Blip został dla oszczędności zamknięty i częściowo włączony do Wykop.pl.

Na Wykopie można więc szukać przeniesionych z Blipa dawnych wpisów Lecha Wałęsy, który swego czasu trafnie postawił na mikroblogowanie – tyle że na niewłaściwym serwisie. Bo polityków z całego świata pełno dziś na Twitterze. Bywają tam i polscy dygnitarze, nieraz „oficjalnie", choć wtedy trudno stwierdzić, jaką moc urzędową mają ich wpisy.

Wpisy z Twittera amerykańskich polityków archiwizuje Biblioteka Kongresu. Wpisy polskiego prezydenta noblisty – Wykop.pl. W czasach gdy serwisy internetowe upadają tylko nieco wolniej, niż rozkwitają, mikro- i makroblogowe komunikaty polskich polityków powinna może archiwizować Biblioteka Sejmowa.

Dane: Megapanel PBI/Gemius, kwiecień 2007 – sierpień 2013

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

PYTAM 3X KRZYK

Czy Ślązacy są narodem?

Sąd Najwyższy uchylił rejestrację Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej. Uznał, że nazwa może wprowadzać w błąd, bo naród śląski nie istnieje. A rejestracja stowarzyszenia może osłabić jedność i integralność Polski

WYSŁUCHAŁ JÓZEF KRZYK

FOT. MICHAŁ GROCHOLSKI (2), MICHAŁ CHALIMONIUK

Nie są

Prof. Jerzy Runge, kierownik Zakładu Geografii Społecznej Wydziału Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego

Nie są, bo nie spełniają naukowych kryteriów. Naród to grupa, która identyfikuje się z zamieszkanym przez siebie terytorium, ma wykształcone poczucie państwowości, posiada wspólnotę kulturową, własną – odrębną od innych – historię i wspólnotę ekonomiczną. O niczym takim w przypadku Ślązaków nie ma mowy. To, że część Ślązaków sama siebie za naród uważa, nie wystarcza. Nawet podnoszona przez zwolenników istnienia narodu śląskiego kwestia języka śląskiego jest problematyczna, bo mamy do czynienia nie tyle z jednym, oryginalnym, językiem, co z gwarą, która jest efektem nałożenia się na siebie wpływów różnych grup.

Nikt jednak nie zaprzeczy, że Ślązacy są grupą etniczną, z silnie wyartykułowanym poczuciem własnej odrębności.

Z punktu widzenia nauki nie są

Kazimierz Kutz, senator i reżyser

Ale nauka nie ma tu nic do rzeczy. Ślązacy są narodem, bo tak siebie określiło w ostatnim spisie powszechnym ponad 400 tysięcy osób. Drugie tyle podało, że są Ślązakami i Polakami.

Właściwie to dzięki temu spisowi Ślązacy powołali do życia własny naród. Dlaczego w Polsce Ślązakom odmawia się prawa do stanowienia odrębnego narodu, a w Czechach nie? Przecież to ci sami Ślązacy.

Zamiast kwestionować śląską odrębność, lepiej by było pogodzić się z faktami.

Wedle kryteriów stosowanych w Unii Europejskiej, Ślązacy to grupa etniczna z własną, plebejską, kulturą. Dzięki tej kulturze przetrwali sześć wieków i nie zasymilowali się z narodami państw, w obrębie których żyli.

W moim przekonaniu są

Jerzy Gorzelik, przewodniczący Ruchu Autonomii Śląska, historyk sztuki

B o część z nich to deklaruje. A to świadomość decyduje, czy naród istnieje, czy nie. Ślązacy mają poczucie własnej tożsamości, odrębnej od grup, z którymi współzamieszkują lub sąsiadują. Identyfikują się z zamieszkanym terytorium. Nie mają poczucia własnej państwowości i z tego, co wiem, o nią nie zabiegają, ale część opowiada się za autonomią, a to też forma podmiotowości. Że Ślązacy nie mają własnej historii? Żaden naród nie ma historii rozłącznej z historią sąsiadów. Naród jako wspólnota ekonomiczna? To w dzisiejszym świecie kryterium anachroniczne. A jeśli ktoś uważa, że brak języka w pełni usystematyzowanego i odrębnego dyskwalifikuje, niech pomyśli, ile pojęć zostało zapożyczonych do języka polskiego z innych.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

VARGA

Ucieczka z Gotham, czyli piosenki o prawdziwej miłości

Po Wyspiańskim jest już tylko Świetlicki i jego opowieść o pięćdziesięcioletnim mężczyźnie, który nową miłość przeżywa

KRZYSZTOF VARGA

Hołduję żelaznej zasadzie, że jeśli wychodzi nowa płyta istotnego dla mnie zespołu, to owej płyty słucham w sposób maniacki, lecz sięgam także po wszystkie poprzednie dzieła danego artysty i je sobie odświeżam, przypominam, odkrywam na nowo. Słowem, pojawienie się nowej płyty implikuje katowanie się także starymi nagraniami, w ten oto sposób ocalam od zapomnienia klasykę, a i znajduję kontekst dla najnowszego dzieła. Tak też naturalnie było z nową płytą Świetlików pod może nieco ambarasującym niektórych tytułem „Sromota", choć spieszę wyjaśnić, że to cytat z Wyspiańskiego, Wyspiańskim bowiem w wykonaniu Świetlickiego ten album się zaczyna, znamienne to jest wielce. Rzecz ukazała się już jakiś czas temu, a ja wciąż i wciąż wkładam ją do odtwarzacza i pławię się w jej bezdyskusyjnym pięknie, albowiem od dawna nie mieliśmy tak immanentnie pięknej płyty sprokurowanej przez polskich artystów.

„Sromota" to – powiadam w pełnej przytomności umysłu – arcydzieło. Jestem w tej płycie rozpaczliwie wręcz zakochany, tak jest, można się w płycie zakochać, można się z płytą związać w intensywnej relacji, ze „Sromotą" związać się w sumie jest prosto, nie jest to związek w żaden sposób gwałtowny, jest to miłość spokojna, refleksyjna i czuła.

Kiedy już wysłuchałem „Sromoty", dziesięć razy sięgnąłem po wszystko, co wcześniej zespół Marcina Świetlickiego nagrał, począwszy naturalnie od „Ogrodu koncentracyjnego", pełnego

buntu i uniesień debiutu z roku 1995, a więc sprzed prawie już lat 20. Oczywiście uświadomienie sobie, że pierwszy raz usłyszało się piosenkę „Opluty", że pierwszy raz wzruszało się przy miłosnym „Olifancie" i „Pod wulkanem" ze słynną frazą „Niczego o nas nie ma w Konstytucji" już dwie dekady temu, nastraja dość depresyjnie, a przynajmniej melancholijnie, ale widać dobrze, jak przez te lata zmieniły się Świetliki i jak zmienił się sam Świetlicki. Trudno zresztą, żeby się nie zmienił, czas jest nieubłagany, ale i potrafi nagradzać, z młodzieńczego, naburmuszonego poety zamienił się Marcin w refleksyjnego mężczyznę po przejściach, nawet głos mu się zmienił, pociemniał, obniżył, ale i wypiękniał. Z prawdziwym rozczuleniem słucham wczesnych płyt Świetlików, ten bezceremonialnie młodzieńczy głos Świetlickiego, który usiłował być groźniejszym, niż był w rzeczywistości, to jego wspaniałe nastroszenie, to jego tupanie nogą, domaganie się dla siebie miejsca na panteonie poetyckim, gdy śpiewał – czy też deklamował, bo przecież nie jest piosenkarzem, tylko poetą deklamującym swe wiersze – o tym, że „któregoś dnia to miasto będzie należeć do mnie", by w późniejszych wersjach tej piosenki już mówić „pomyliłem się, to miasto nigdy nie będzie należeć do mnie". No więc przesłuchałem znów po kilka razy płyty „Ogród koncentracyjny", „Cacy, cacy fleischmaschine", „Perły przed wieprze" i „Złe misie" i wróciłem do płyty Świetlików nagranej z Bogusławem Lindą „Las putas melancolicas", jednej z najpiękniejszych przecież polskich płyt, gdzie znajduje się jedna z najbardziej ujmujących piosenek „Filandia" z pamiętnym refrenem, że „Nigdy nie będzie takiego lata/ Nigdy papieros nie będzie tak smaczny/ a wódka zimna i pożywna taka/ Nigdy nie będzie tak ślicznych dziewcząt"; wielkość Świetlików w ten sposób się objawiła, że udało im się spowodować, iż nawet Bogusław Linda, aktor w sposób wręcz doskonały pozbawiony umiejętności wokalnych, urasta tu do wybitnego interpretatora poezji Świetlickiego. Z tych wszystkich płyt, tak jak z tomów wierszy Świetlickiego, garściami można cytować frazy, choćby takie jak ta, że „Bóg stworzył świat dla potrzeb telewizji", co dla mnie jest prawdą o świecie najwyższą. Ale cytować trzeba by nade wszystko

frazy o miłości, ponieważ nie ma drugiego tak bezwstydnego poety, który równie przekonująco i ujmująco by o miłości potrafił pisać, nie wpadając nigdy we wnyki sentymentalizmu. Kiedy myślę o poezji współczesnej, to mam mocne podejrzenia, że nikt nie potrafi dziś w wierszach tak o miłości mówić jak właśnie Świetlicki. Może dlatego jest Świetlicki ostatnim masowo czytanym poetą, bo jak nikt inny rozumie on, iż poezja nade wszystko musi być komunikatywna niczym piosenki. Nie ma przecież sporu, nie ma rozdźwięku między Świetlickim poetą a Świetlickim wokalistą było nie było rockowego zespołu.

Jest „Sromota" płytą o miłości, dlatego też tak łatwo się w niej zakochać, i niechaj nie zmyli nas pierwszy utwór z tego dwupłytowego albumu (a nawet trzypłytowego, bo wszak mamy i trzecią, bonusową płytę w tym wydawnictwie), po Wyspiańskim jest już tylko Świetlicki i jego opowieść o pięćdziesięcioletnim mężczyźnie, który nową miłość przeżywa, a ja się właśnie w tej opowieści o nowej miłości zakochałem.

Telewizyjno-internetowa kultura masowa zinfantylizowała miłość, z miłości po prawdzie jakąś bzdurę zrobiła, błyskotkę i pierdółkę, jak się popatrzy przez pryzmat kultury masowej, to wydawać się może, że miłość jest tylko dla idiotów. Każdy wciąż coś o swojej nowej miłości chromoli, coraz mniej prawdziwa miłość znaczy, miłość jako rzecz ciężkiej wagi, rzecz – by sięgnąć szczytów patosu – metafizyczna. Zinfantylizowana kultura masowa zawłaszczyła miłość, a Świetlicki miłość ze szponów kultury masowej wyrywa, on miłość odzyskuje i nadaje jej poważne sensy i znaczenia, w sposób radykalnie wręcz poważny o miłości powiada. Jest „Sromota" liryczną w tekstach i nastrojową w muzyce opowieścią o zakochaniu się pięćdziesięcioletniego faceta, co w pewnym sensie szokujące, bo czy dziś wolno zakochiwać się sztubacko pięćdziesięcioletnim mężczyznom? Wiem tyle, że każda mądra kobieta będzie zazdrościć tej kobiecie, o której Świetlicki na „Sromocie" śpiewa, na przykład w „Wojnach majowych" – piosence, która wręcz obezwładnia liryzmem, mnie obezwładnia nieustannie,

a i sam przecież wciąż pod nosem nucę „Ty jeszcze nie wiesz, że na ciebie patrzę/ kiedy zasypiasz, gdy nie mogę zasnąć/ ty jeszcze nie wiesz, że przez ciebie przecież/ papierosami dziury wypalam w pościeli”. Albo w piosence „O”, przepełnionej czułością jak żadna inna: „Tę wąską czarną gumkę,/ którą ściąga włosy/ nocą nosi na ręce/, żeby nie zginęła/ jej nocne obyczaje/ są zachwycające (…) znowu mam życie/ ona mi je robi”. To jest najbardziej przekonujące wyznanie miłosne, jakie usłyszałem kiedykolwiek w polskiej piosence.

A w piosence „Gotham” Świetlicki deklaruje „Opuszczam Gotham z kobietą-kotem. Tak!” – jest tu Kraków zapewne miastem Gotham, od lat przecież Świetlicki, ten wzór metryczny krakowskiego poety, swoją własną wojnę z Krakowem prowadzi, z jakimś zbiorowym Jokerem, w tym sensie jest – brawurowo można powiedzieć – Świetlicki Batmanem polskiej kultury. Ale Batmanem ironicznym, prześmiewczym, kiedy aluzyjnie deklamuje „Co to za poezja, która nie ocala, ani człowieka ani robala”.

Śpiewa na bonusowej płycie Świetlicki „Nie będziemy królami, nie będziemy i już”. I dzięki Bogu, bo Świetlicki nie nadaje się na króla, on jest urodzonym królobójcą.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

ŚWIAT WEDŁUG ORLIŃSKIEGO

Polska, Egipt, Ukraina, czyli rozważania realistycznego malkontenta

Dobry kompromis polega na tym, że wszyscy są jednakowo niezadowoleni

WOJCIECH ORLIŃSKI

Mam nadzieję, że wybaczą mi państwo, że tym razem będzie mało o popkulturze czy internecie. Polityczne przesilenie na Ukrainie skłoniło mnie do zadumania się nad tym, nad czym co tydzień dumają najwybitniejsi publicyści kraju. Czyli, proszę mi wybaczyć, polską transformacją ustrojową.

Zajmuję wobec niej postawę, którą na własny użytek nazywam postawą realistycznego malkontenctwa. Nie jestem zadowolony z przebiegu tej transformacji – za dużo biedy, za dużo nierówności, za dużo przedstawiania egoizmu jako cnoty.

Uważam, że nasza ekstensywna modernizacja, budowana na gonieniu Zachodu tanią siłą roboczą, osiągnęła swój kres. Czas już szukać czegoś lepszego. Polityka „ciepłej wody w kranie" nie nadaje się na program dla Polski roku 2014.

Ale jako realista wiem, że istnieją kraje, w których nawet zimna woda w kranie jest nieregularnie, a kurek od ciepłej zarósł rdzą i kamieniem, bo najstarsi górale nie pamiętają, żeby pociekło z niego coś poza rdzawą strużką. Gdy się rozmawia z mieszkańcami tych krajów, trudno jest nawet wyjaśnić, co nam przeszkadza w polityce ciepłej wody.

Doświadczyłem tego jakiś czas temu na konferencji w Egipcie, na którą zostałem zaproszony chyba przez pomyłkę, ale sami państwo rozumieją, że są takie zaproszenia, na które się nie odpowiada: „Ludzie, ja się na tym nie znam!". Jedzie się i się stara robić mądrą minę.

Konferencję zorganizował Instytut Szwedzki w Aleksandrii i była poświęcona transformacji demokratycznej – głównie w krajach Maghrebu, ale ponieważ panelistów z Egiptu, Tunezji czy Libanu bardzo interesowało porównanie do polskich doświadczeń, zaproszono dwie osoby z Polski.

Tą drugą był wybitny konstytucjonalista dr Bartłomiej Nowotarski, jeden z ekspertów pracujących przy pisaniu polskiej konstytucji. Uznałem, że skoro jedna osoba jest ponadprzeciętnie kompetentna, to swoją niekompetencją po prostu uśrednię wynik tak, żebyśmy się nie wychylali, więc jednak pojechałem.

Odkryłem tam, że nie jestem w stanie wyjaśnić swojego malkontenctwa. I to nie tylko z powodu mojej słabej znajomości angielskiego. Bo jak krytykować „politykę ciepłej wody w kranie" w kraju, w którym jakąkolwiek wodę w kranie mają tylko najbogatsi, a władze państwowe czy miejskie nawet nie próbują zadbać o bieżącą wodę dla każdego? Pomyślą, że Tusk to filantrop, który wierci studnie i rozdaje termy i hydrofory!

Jako ateista jestem niezadowolony z Boga w preambule do konstytucji. Uważam, że preambuła konstytucji świeckiego państwa powinna być zwięzła jak amerykańska – my, ogół obywateli, powołujemy tę republikę, żeby nam się lepiej żyło. Po co do tego wplątywać hipotetyczne istoty nadprzyrodzone?

Oczywiście, wiem, że nasi fundamentaliści religijni chcieliby z kolei zacząć konstytucję od „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego", i im też się nie podoba kompromisowe rozwiązanie, które w końcu zastosowaliśmy. Dobry kompromis polega właśnie na tym, że wszyscy są jednakowo niezadowoleni.

Egipcjanie byli zachwyceni tym, że w Polsce znaleźliśmy rozwiązanie – niechętnie, bo niechętnie, ale jednak – akceptowane i przez świeckich liberałów, i przez fundamentalistów religijnych. Pytali mnie za to, jak rozwiązaliśmy u nas problem z „wieśniakami".

Cóż, odpowiadałem zaskoczony, mamy partię, która ich reprezentuje. Nigdy nie wygrała wyborów, ale zawsze jest w rządzie, bo zawsze jej głosów brakuje do większości. Premier, który myśli, że nie potrzebuje tych głosów, szybko staje się byłym premierem.

I ta partia, ciągnąłem, miejskiej klasie średniej działa na nerwy, ale powoduje, że wieś jest największym beneficjentem transformacji. Dzięki temu polska wieś zrobiła dwa stulecia w dwie dekady, przeskakując z XIX wieku do XXI. Egipcjanie wzdychali z zachwytu.

Wracając do Ukrainy: dwie dekady temu byliśmy tam, gdzie oni. Startowaliśmy z podobnego PKB (komunistyczne statystyki oczywiście fałszowano, ale można założyć, że na podobnym poziomie i w PRL, i w ZSRR). Po dwóch dekadach transformacji my jesteśmy już tam, gdzie ciepła woda w kranie PRZESTAJE NAM WYSTARCZAĆ.

Samo to jest przecież gigantycznym sukcesem. Dlaczego, pamiętając o tym, mimo to uprawiam malkontenctwo? Bo jeszcze dziecięciem będąc, zachwyciłem się piosenką Marka Grechuty, której tekst nie do końca rozumiałem (dalej nie rozumiem, tak to bywa z Grechutą), ale bardzo mi się podoba puenta: „Piękny jest kraj, gdy wszystko wszystkim wydaje się jeszcze złe".

Ja to interpretuję tak, że jak zabraknie realistycznych malkontentów – zabraknie też w końcu i ciepłej wody...

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

SZYMANIK. WIDZIANE Z DONIECKA

Ukraińcem nie jestem. Tylko obywatelem

Dziadek z Rosji, babcia z Rosji. Ja bym zachód Ukrainy oddał Polakom, a tu, na wschodzie, sami byśmy się rządzili

GRZEGORZ SZYMANIK , WSPÓŁPRACA: JULIA WIZOWSKA

FOT. ALEXANDER KHUDOTEPLY/AFP/EAST NEWS

Wiec poparcia dla prezydenta Janukowycza zorganizowany przez Partię Regionów, Donieck, 4 grudnia 2013

Nasz drogi Siergiej Walentynowicz w swej skromności nie nadmienił – przerywa ciszę pyzata dziennikarka zaprzyjaźnionej z ratuszem gazety – że oprócz tego, że robi karierę w polityce, pisze również kryminały.

Trzask, trzask – trzaska aparat.

Siergiej Bogaczow, wiceszef donieckiej Partii Regionów, biegnie do szafy i wyjmuje egzemplarze swojej ostatniej książki.

Jest ponętna kobieta w panterce, dolary, zakrwawiony długopis, flaga rosyjska, ukraińska i tytuł „Gazowy kontrakt" – to na okładce.

„Emocje, miłość, zabójstwa. To piąta wspaniała książka Siergieja Bogaczowa, który wcześniej napisał »Przejście« i »Falę uderzeniową«"... – to na obwolucie.

„Czerepanow nawet sam nie zauważył, jak po czterdziestce zaczęły mu się zmieniać poglądy. Zdrowy cynizm ustąpił miejsca sentymentalizmowi" – to pierwsze zdanie.

Za oknem budynku rady miasta przy ulicy Artioma, która ciągnie się aż po obrzeża Doniecka, ludzie naciągają czapki na uszy i biegną do autobusu.

– Czy pan też – pytam wiceprzewodniczącego Bogaczowa – jak bohater książki Czerepanow stał się sentymentalny po czterdziestce?

A tak, przytakuje. Nawet książkę pisze teraz o Bohdanie Chmielnickim, bardzo romantyczną.

Ale bez przesady. Do euromajdanu sentymentów mieć nie można.

– Polityka to polityka – tłumaczy.

Car Piotr I Wielki w jego gabinecie zerka z obrazu tuż obok zdjęcia prezydenta Wiktora Janukowycza.

Rewolucja nie istnieje

Trzask, trzask – trzaska aparat.

Jesteśmy w Doniecku, stolicy Donbasu, Donieckiego Zagłębia Węglowego.

Obok Krymu to najbardziej rosyjski obszar Ukrainy. Donbas mówi po rosyjsku, Donbas myśli po rosyjsku. Donbas nie lubi zachodniej Ukrainy. W Donbasie narodziła się prezydencka Partia Regionów.

Premier Azarow karierę zaczynał w Doniecku, prezydent Janukowycz był gubernatorem obwodu donieckiego.

Przez okno wiceprzewodniczącego Bogaczowa widać centrum miasta: to nie Kijów, nie Lwów, nie ma flag, nikt nie protestuje. W lokalnej Donbass TV rewolucja właściwie nie istnieje. Sobotnie wiadomości: festiwal salsy, kondycja klubu piłkarskiego Szachtar, górnik z Doniecka nagrał hiphopową płytę.

Trzask – trzaska aparat.

Trzaska, bo zanim Siergiej Bogaczow, wiceszef donieckiej Partii Regionów i zastępca przewodniczącego rady miasta, zgodzi się na rozmowę, dzwoni do zaprzyjaźnionej z ratuszem lokalnej prasy, by uwieczniła wywiad. „Korespondenci zainteresowani Donieckiem, ojczyzną prezydenta! Z przyjemnością tłumaczyłem dziś polskim i niemieckim dziennikarzom sytuację w kraju" – zamieszcza potem na swojej stronie internetowej.

Teraz poprawia krawat, pokazuje kartkę ze statystykami i tak tłumaczy sytuację w kraju:

– Na tej kartce jest dowód, że współpraca z Unią Europejską zniszczy Donieck i cały Donbas. Nasze donbaskie towary przestaną być konkurencyjne. Padną donbaskie huty i fabryki pralek. Kto za to odpowie? Mamy wejść do Unii, żeby mieszkańcy Doniecka tracili pracę? Logiczne, że nasz prezydent powinien żądać od Unii rekompensaty za donieckie straty – stuka w tabelkę. – Prawda, że rozgonienie pałkami protestujących było błędem. Ale pretensje powinni mieć do milicji, nie do prezydenta. Pod milicją trzeba protestować – mówi i cichnie.

Trzask – trzaska aparat.

– Drogi Siergiej Walentynowicz – przerywa ciszę dziennikarka zaprzyjaźnionej z ratuszem prasy – w swej skromności nie nadmienił, że jego zdjęcia można oglądać również na profilu na

Facebooku. Są tam także fotografie z wczorajszej wielkiej donieckiej manifestacji poparcia dla prezydenta Wiktora Janukowycza.

Z autokarów pod budynkiem okręgowej administracji państwowej w Doniecku wysiada w środę 4 grudnia kilka tysięcy ludzi. Niosą transparenty: „Górnicy Donbasu wspierają prezydenta", „Nie destabilizacji", „Kijów to nie pole bitwy", „Kijów, stolica spokojnego kraju", „Tysiące protestują, miliony pracują".

Transparenty mają równe litery, widać że z drukarni, a nie pospiesznie malowane farbą.

– Jestem studentem, przyjechałem poprzeć prezydenta – mówi leniwie chłopak z grzywką.

– Jestem górnikiem, przyjechałem poprzeć prezydenta – mówi starszy.

Przemawia doniecki burmistrz Aleksandr Łukjanczenko, są radni miasta.

– Obywatele Doniecka, zdenerwowani chaosem i destabilizacją, przyszli tłumnie. Było ich 10, a może 20 tysięcy – opowiada wiceprzewodniczący Bogaczow.

– Góra ze 3 tysiączki przylazło – krzywi się pani Olga, z donieckiego euromajdanu, który spotyka się pod pomnikiem ukraińskiego poety narodowego Tarasa Szewczenki. – Byłam, widziałam. Wysiadali z autobusów, a każdy autobus był innej kopalni albo zakładu pracy. Boją się o pracę, to przyjechali – nie dziwi się.

– Dlaczego dowieźliście ludzi na wiec poparcia dla prezydenta? – pytamy Bogaczowa.

– W samym Doniecku Partia Regionów ma 80 tysięcy członków. Socjologowie robili ostatnio badania i wyszło, że tylko 27 procent mieszkańców jest za Unią Europejską, a 57 procent za unią celną z

Rosją. Popatrzcie na doniecki euromajdan. Myślicie, że musimy ludzi dowozić? – pyta też Siergiej Bogaczow.

Euromajdan – mało nas

Doniecki euromajdan jest malutki, a pośród socrealistycznej zabudowy ulicy Artioma wydaje się jeszcze mniejszy. Pod pomnikiem Tarasa Szewczenki najpierw rozstawiono namioty. Namioty były dwa i wcale nie przybywało więcej, a do Doniecka właśnie przyszły mrozy. Wytrzymali dwie noce. Teraz spotykają się w południe i wieczorami. W południe przychodzi kilka, kilkanaście osób. Wieczorami więcej: wtedy z Doniecka do Kijowa jedzie autokar. Wiezie swetry, torby z pierożkami, które przynoszą babcie, leki, pieniądze. Czasem protestujących. Wieczorami pod Szewczenką powiewają smutno pojedyncze flagi.

Flagę Unii Europejskiej mają tylko jedną. Niedawno porwał ją wiatr. Pomógł znaleźć milicjant. Dali mu w podzięce kiełbasy.

– Jesteśmy za Europą, jesteśmy z Kijowem! – wołają megafony do zmarzniętych 20 osób.

Władimir Leonidowicz z czarnym wąsem i w futrzanej czapce przychodzi codziennie. Tłumaczy, że czują się jak ci wariaci z „Lotu nad kukułczym gniazdem", co próbują wyrwać umywalkę. Pewnie jej nie wyrwą, ale przynajmniej próbują.

Jelena codziennie przyjeżdża na wózku: – Już nawet nie tyle jestem za Unią, co żeby ten paskudny rząd padł!

Pytamy: – Dlaczego tu cały Donieck nie protestuje?

– Wiadomo! Bo się boi – odpowiadają jedni – ludzie boją się stracić pracę. W zakładach już tłumaczą, że kto na euromajdan przyjdzie, zaraz z roboty wyleci.

– To jasne! Donieck popiera prezydenta – nie zgadzają się inni – tu wszyscy mówią po rosyjsku, nie chcą Ukrainy ukraińskiej. Wolą prezydenta, bo swojak.

– Niektórzy prezydenta już nie popierają – dodają następni – już im się wcale nie podoba. Ale nie wyjdą protestować, bo tak w Donbasie jest. Do tego ludzie są przyzwyczajeni. Jak coś się nie podoba, to siedzisz cicho i czekasz, aż się zmieni. Jak się nie zmienia, trudno. Ale protestować nie idziesz.

– Mało nas – przytakuje Siergiej Nakonieczny, student – nie chcą przychodzić. Właściwie też bym nie przyszedł, bo ani za Unią nie jestem, ani za Rosją. Ale kiedy krwawo rozpędzili demonstrację, wiedziałem, że przyjść trzeba.

– Całe życie mnie straszyli – wzdycha Nadieżda – w szkole mówili: „Porządnie się zachowuj, bo cię wyrzucą z pionierów". Kiedy koleżanka wyjechała do Ameryki: „Nie pisz do niej, bo to zdrajczyni, ty też będziesz zdrajcą". W szkole średniej spodobał mi się jeden Niemiec: „Lepiej się z nim nie zadawaj, to Niemiec, będziesz miała kłopoty". Ile można tak człowieka straszyć? Teraz powiedziałam: koniec. Prawie nikt w Doniecku nie protestuje, to chociaż ja będę!

Europa od nas nic nie kupi

– Jakbym polegała tylko na Ukrainie, to ani jednego zęba bym nie miała – mówi 71-letnia Olga Pawłowa, która karmi gołębie na placu Włodzimierza Lenina, największym w Doniecku.

– Już mi wszystkie wypadły i taka bieda, że nie stać mnie było na wstawienie nowych. Dopiero córka znalazła sobie zięcia Turka. I dzięki Turkowi mam teraz zęby złote. Do Unii Europejskiej nie chcę, ale nasz rząd też okropny – ludzie w biedzie żyją.

– Ja też Janukowycza jakoś bardzo nie uważam, ale te protesty to skandal – uśmiecha się Jewgienij Bondarenko, przez 22 lata górnik, a dziś związkowiec z Doniecka. Jeszcze na początku grudnia Partia

Regionów groziła, że do rozbicia kijowskiego majdanu wyśle 50 tysięcy donieckich szachtiorów, czyli górników. – Młodziaki protestują, bo się naoglądali reklam w telewizji. W reklamach wszystko masz od razu. I oni chcą od razu. A w życiu tak nie ma, o nie, nie – Bondarenko rozsiada się w fotelu pod flagą związkową. Na szafie ogromny portret Włodzimierza Lenina, a na stole naklejka polskiego związku górników (Bondarenko jeździł do Katowic i do Zabrza, dobrze się z polskimi górnikami integrował: „jeśli wiecie o czym mówię" – puszcza oko).

– Mam kolegę w ratuszu w Kijowie. Dzwoni do mnie w poniedziałek i mówi, że nie może wejść, bo protestujący śpią na korytarzach. „Która godzina" – pytam go. Była dziewiąta. O dziewiątej śpią? Zaraz im tam przywiozą blińczyków, śmietany, herbatki w termosach – kręci głową. – A oni śpią. I jeszcze mówią, że będą protestować do końca. Ale gdzie ten koniec, pytam? Ukraińcy już tak mają, że ich gorączka łapie. Nerwusy straszne. A moim zdaniem to zdrada narodu. Oni jak u Bułhakowa w „Psim sercu", mózg im przeszczepili. Jak szarańcza idą: protest, protest. Gdyby Janukowycz nie zrobił tak, jak zrobił, tobym uważał, że ten człowiek nie nadaje się na prezydenta. A teraz to chociaż bardzo go nie uznaję, zacząłem go więcej szanować.

– Dlaczego?

– W Donbasie jest cały przemysł. My tu nie możemy pozwolić sobie na przerwy w pracy. A protesty grożą przestojami. Górnicy Janukowycza popierają, bo rozumieją, że jak wejdziemy do Unii, to nam pozamykają kopanie, które nie przynoszą zysku. Jak coś nie przynosi zysku, to się na Zachodzie zamyka, tak słyszałem. Wszystko jest prywatne, tory prywatne, drogi prywatne, tak słyszałem. A u nas wiele kopalni utrzymuje się tylko dzięki dotacjom państwa. Węgiel leży cienkimi warstwami po pół metra, warunki coraz gorsze, coraz głębiej trzeba kopać. A z Rosją dogadujemy się dobrze. Kto będzie kupował nasze towary jak nie Rosja? Przecież nie Europa, za słabi jesteśmy. Kto będzie kupował rosyjskie samochody

jak nie my? A jak jakieś szachtiory koniecznie chcą do tej Europy, to niech sobie wykupią wycieczkę i pojadą! Kto im broni. 2 tysiące dolarów, wiza i już mogą jechać.

– A ile zarabiają?

– Minimalna pensja to u nas 1118 hrywien (410 złotych), a średnia 4000 hrywien (1500 złotych).

Rekiet mamy państwowy

Za Unią Europejską jest za to przedsiębiorca Bogdan Kurilec z Doniecka. Wszystko przez Finlandię. Do Finlandii pojechał w 1980 roku.

– Zobaczyłem różnicę i zrozumiałem, jak tłamsi nas sowiecka mentalność – opowiada.

Kiedy powstała wolna Ukraina, myślał o wyjeździe, ale rodzice byli już starzy, nie chciał ich zostawiać. Sam nie protestuje, ale rozumie młodych z Kijowa: – Dopiero zaczynają życie, nie chcą go stracić w kraju, w którym nigdy nic się nie zmienia.

Do niedawna eksportował do Polski wyroby hutnicze. Interesy Kurilcowi najpierw szły dobrze, ale ostatnio coraz gorzej. Bo żeby robić interesy na Ukrainie, stwierdza Kurilec, zwłaszcza na wschodzie, w Doniecku, trzeba mieć znajomości. Ale też nie wszystkie, tylko takie aktualne. Jak rządził Juszczenko, to wypadało mieć znajomości zachodnioukraińskie. Teraz wypada mieć znajomości wschodnie. Na przykład w klanie donieckim, u wpływowych donieckich oligarchów i polityków. Dobrze znać kogoś, kto zna Rinata Achmetowa, najbogatszego Ukraińca i właściciela klubu piłkarskiego Szachtar Donieck. Chociaż Achmetow ostatnio też się od prezydenta dystansuje. Sam tego nie mówi, ale to widać po telewizjach, które do niego należą: zaczęły pokazywać krytyczne wobec prezydenta wydarzenia.

– Jak nie znasz takich ludzi – mówi Kurilec – to musisz rekiet płacić.

– Mafii?

– Jakiej mafii. Rekiet, haracz, płacimy niezmiennie od lat 90., ale on już nie jest taki sam jak wtedy. Dziś to nie mafia, ale urzędnik państwowy przychodzi do ciebie. I mówi: trzeba zapłacić, bo jak nie, to on znajdzie jakiś kruczek prawny i twój wniosek, twoje podanie przepadnie. Albo twoja firma zbankrutuje. Prawo jest tak szerokie, że zawsze się coś znajdzie. I ludzie płacą.

– Klan doniecki rządzi dziś Ukrainą? – pytamy wiceprzewodniczącego Bogaczowa.

– Nie ma co ukrywać, że najbogatszy Ukrainiec jest z Doniecka, prezydent z Doniecka, premier Mykoła Azarow z Doniecka i marszałek Sejmu Wołodymyr Rybak też z Doniecka. Oni wszyscy zakładali tu Partię Regionów, tu jej matecznik. U Rybaka byłem nawet pomocnikiem. Ale to normalna i znana na świecie rzecz, że są różne grupy finansowe, które lobbują i trzymają się razem. Na Ukrainie dziś rządzi wschód. Co w tym dziwnego, że ziemlaki trzymają się razem?

Jakiś Kozak może by się znalazł

– Tata się urodził w Rosji, na Kubaniu, a mama w Charkowie. Mieszkam na wschodzie, mówię po rosyjsku. Ale to wcale nie znaczy, że gorszy ze mnie Ukrainiec – mówi związkowiec Bondarenko – wcale nie czuję się przez to mniej Ukraińcem. Choć co prawda trochę się różnimy. Inaczej myślimy, czego innego chcemy. Ale ja po ukraińsku mówić potrafię – dodaje i zaczyna sylabizować: – Po ukraińsku rozmawlaju, bo babcia z dziadkiem tak rozmawiali. U mene mnogo druzja na Zachidzie i ja z nimi tak po ukraińsku rozmawlaju – uśmiecha się. – U nas, w Doniecku, jest sto różnych narodowości, z różnych stron świata. Od XIX wieku przyjeżdżali do nas Rosjanie i Niemcy. Przyjeżdżali uciekinierzy i kryminaliści. Ale kto zaczął w kopalni pracować, już nie był obcy, tylko swój. Dlatego

taka mieszanka. Mój dziadek został rozkułaczony, do Doniecka przyjechał w 1929 roku. Został tu proletariuszem.

– Tu zawsze żyli Ukraińcy, zawsze! – nie zgadza się pani Olga z euromajdanu – moi rodzice, moi dziadkowie...

– Babcia pochodzi z Kurska, to w Rosji. Dziadek z Rostowa, też z Rosji. Może gdzieś w rodzinie znalazłby się jakiś Kozak – mówi Aleksandr Metiaszyn, który handluje na bazarze pirackim oprogramowaniem. – Ja bym zachód Ukrainy oddał Polakom, a tu, na wschodzie, sami byśmy się rządzili. Po co się do Europy pchać, gdzie są sodomici? Dla mnie to nienormalne!

– Tak, jesteśmy podzieleni – zgadza się wiceprzewodniczący Partii Regionów Siergiej Bogaczow – zawsze byliśmy. Ale to wszystko można jakoś rozwiązać, nie trzeba się dzielić. W Belgii niedawno przez dwa lata nie było rządu, nie mogły się dwa regiony dogadać. W końcu się dogadali. Tylko trzeba, żeby zachodnia Ukraina też uznała nasz rosyjski za język regionalny. A kiedy my to wprowadzamy, oni się burzą. Chcą, żebyśmy na siłę po ukraińsku rozmawiali. W Europie języki regionalne to norma. To co? Oni chcą do Europy, a nie szanują jej zasad? Pytam się kiedyś polityka z zachodniej Ukrainy, jakie jest najstarsze ukraińskie miasto. Mówi, że Kijów. Kijów?! A Pantikapaion? A Chersonez? V wiek przed naszą erą, antyczne miasta na Krymie, greckie kolonie. Mówią, że my zachodu nie uznajemy, a sami wschodu zupełnie nie znają.

– Urodziłem się w Rosji – mówi przedsiębiorca Bogdan Kurilec – chodziłem do rosyjskiej szkoły. Ukraińskiego uczyli mnie trochę rodzice. Po ukraińsku piszę, choć niezbyt gramatycznie. Nie jestem Ukraińcem, ale na pewno czuję się obywatelem Ukrainy.

Doniecka Republika

W sobotę na plac Lenina wyszli jeszcze donieccy separatyści: Donbaska Ruś, Rosyjski Blok, Doniecka Republika. Rozwiesili czarno-niebiesko-czerwone flagi z dwugłowym orłem i powiedzieli:

– Ukraina, Rosja, Białoruś to jedna Ruś! My, na wschodzie, pracujemy, a zachód się ciągle obija i protestuje. Dlaczego Aleksander Kwaśniewski siedzi w Kijowie, co robi tam europejska hołota? Niech wiedzą, że kto występuje przeciwko rosyjskiej duszy i językowi, ten śmierć na siebie ściąga! Brukselkę jedzą tylko brukselskie kozły!

W razie czego: stan wyjątkowy

Lenin z pomnika ma czapkę ze śniegu. W Doniecku sypie, pustoszeją ulice, pod Tarasem Szewczenką powiewają jeszcze flagi ukraińska i unijna.

– Byłem w Kijowie, jak tam pięknie! – ktoś przemawia.

– Nieście w świat, że u nas, w Doniecku, też protest! Też euromajdan! – woła kto inny.

Przechodnie cmokają, że megafon za głośny. W luksusowych sklepach na prospekcie Artioma panie w futrach i kapeluszach z szerokimi rondami kupują czekoladę z importu za 250 hrywien (92 złote) i mleko sojowe za 150 hrywien (50 złotych). Dudni muzyka z nocnych klubów.

– Co by tu zrobić z tymi euromajdanami? – zastanawia się przy oknie rady miasta wiceprzewodniczący Bogaczow. – Dyplomatycznie rozwiązać, dogadać się, a w razie czego: stan wyjątkowy

– Rozpędzić! – proponują ludzie na donieckich ulicach.

– Zwyciężymy! – zawoła garstka na euromajdanie pod Szewczenką.

– W razie czego stan wyjątkowy – zamyśla się Bogaczow – teraz trzeba nam pracować, a nie...!

„– Święte słowa – zgodził się Czerepanow. W związku z tym proponuję, żebyśmy wypili zdrowie jubilata" – czytam ostatnie

zdanie „Gazowego kontraktu” Bogaczowa, gdzie dziennikarz Iwan Czerepanow rozwiązuje korupcyjny spisek rosyjsko-ukraińskiej oligarchii.

– Po co pan w ogóle pisze pan te kryminały?

– Bo zauważyłem – mówi nieśmiało Bogaczow – że w kryminale więcej prawdy mogę powiedzieć niż na politycznym wiecu.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

URZĘDNIK NA TROPIE CELEBRYTY

Goniąc Gesslera

Pętla się zaciska, bal na „Titanicu” powoli dobiega końca

Z MATEUSZEM DALLALIM ROZMAWIA MARCIN KOWALSKI. ILUSTRACJA PIOTR SOCHA

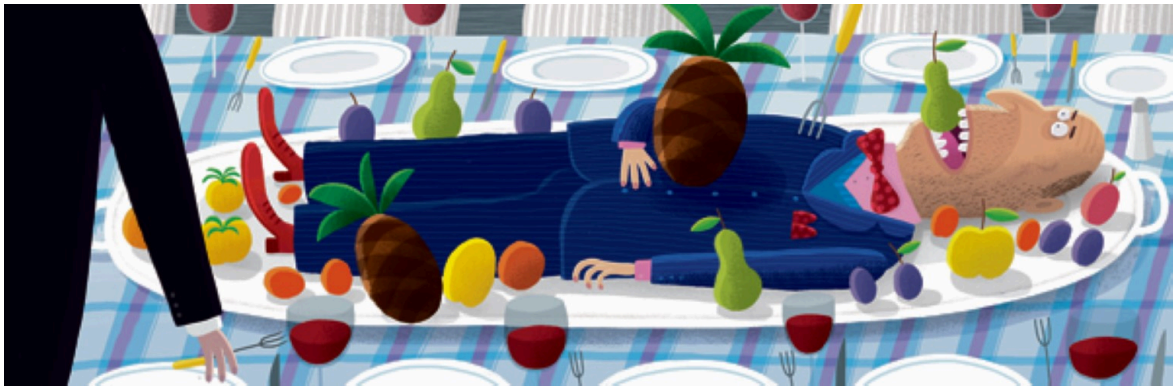

RYS. PIOTR SOCHA

Jadł pan kiedyś w restauracji Adama Gesslera?

– Raz w życiu, w namiocie za Rotundą w centrum Warszawy. Restauracją raczej bym tego nie nazwał. Zamówiłem bułgesslerkę, czyli dużą bułę z karkówką i smażoną cebulką. Zapłaciłem 8 zł. Poszedłem tam nie z głodu, potrzebowałem paragonu.

Po co?

– Żeby sprawdzić dane właściciela namiotu. Od dwóch lat szukam majątku i źródeł dochodu Adama Gesslera. Zalega Warszawie ponad 32 mln zł. Jestem urzędnikiem, mam obowiązek przyczynić się do tego, by warszawiacy ten dług odzyskali.

A poza tym bardzo bym chciał, żeby lista osób i firm poszkodowanych przez Gesslera w ciągu ostatnich 20 lat już się nie powiększyła.

Co pan wyczytał z paragonu za bułkę?

– Że knajpa w namiocie i w lokalu należy do spółki formalnie niepowiązanej z Gesslerem. Podobnie jak Restauracja Autorska Adama Gesslera w Katowicach czy restauracja Gessler – U Kucharzy w Sopocie, przy Monciaku. Nominalni właściciele tych lokali twierdzą, że Gessler jest tylko ich doradcą albo charytatywnie tworzy menu. Dlatego komornik nie może egzekwować od nich ani złotówki. To wyjątkowo cyniczne i bezczelne.

Gessler przez lata prowadzenia działalności gospodarczej wyrobił sobie nazwisko i markę handlową. Chyba nie udostępnia ich za darmo, z dobroci serca? Czy w ogóle ma jakiś majątek?

– Zacznijmy od kwestii formalnej – zajmuję się Adamem Zbigniewem Gesslerem, rocznik 1955. To ważne, ponieważ jego syn również ma na imię Adam, jest prezesem i wspólnikiem w kilku spółkach. Panowie ściśle ze sobą współpracują, sprytnie wykorzystują zbieżność imion. Prawo jest bezradne, bo w Polsce dzieci mają obowiązek wspomagać finansowo rodziców. A Gessler senior dostaje co miesiąc do ręki od Adama Szczęsnego kilkadziesiąt tysięcy złotych w gotówce. Oficjalnie nie posiada żadnego majątku, nie ma konta w banku ani nawet prawa jazdy. Jak na bezdomnego i bezrobotnego wiedzie całkiem udane życie. Nosi drogie ubrania, stołuje się w najlepszych restauracjach, śpi w najdroższych hotelach, jego głównym środkiem transportu są samoloty, a jeśli już jedzie gdzieś autem, to w grę wchodzi luksusowa limuzyna.

Miesiąc temu komornik zlicytował mu dom.

– Pętla się zaciska, bal na „Titanicu" powoli dobiega końca. 18 października próbował odwlec licytację domu i rzutem na taśmę złożył wniosek o wykluczenie całego składu sędziowskiego. Wielokrotnie stosował ten chwyt, często się udawało. Ale nie tym razem. Kiedy wniosek przepadł, nie czekając na orzeczenie, wybiegł z sali sądowej. Trudno się dziwić. Poniósł bolesną i symboliczną porażkę.

Zdążyliście spojrzeć sobie w oczy?

– Siedzieliśmy na sali obok siebie. Wie, kim jestem, ale udawał, że mnie nie widzi.

Trudno się dziwić – przez ostatnie dwa lata tropi go pan po całej Polsce w dzień i w nocy.

– Bez przesady, głównie w dzień, czasem muszę poświęcić popołudnie. Zaczęło się w maju dwa lata temu. Byłem wtedy specjalistą w dziale kontroli wewnętrznej Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami w dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy. W telewizji zobaczyłem konferencję prasową ministrów Joanny Muchy i Marka Sawickiego promujących Euro 2012. Razem z nimi wystąpił Adam Gessler, opowiadał o promocji Polski przez kuchnię podczas mistrzostw. Spoglądałem z niedowierzaniem, z tyłu głowy kołatała myśl, że ten facet ma potężne długi wobec miasta. Następnego dnia poprosiłem Małgorzatę Mazur, dyrektorkę ZGN Śródmieście, o możliwość przejrzenia dokumentacji związanej z zadłużeniem Gesslera. W segregatorze znalazłem raport sporządzony przez prywatnego detektywa – 40 stron opisu jego spółek i biznesów z konkluzją, że nie ma większych szans na windykację, ponieważ dłużnik nic nie posiada, choć prowadzi luksusowy tryb życia. To zdanie nie dawało mi spokoju. Jest dłużnikiem skarbu państwa, zalega podatnikom Warszawy ponad 32 mln zł, a pokazuje się w telewizji z ministrami, firmuje markowe restauracje, powstają o nim książki. Kim jest Adam Gessler? Geniuszem, który padł ofiarą urzędników, czy oszustem tak bezkarnym, że aż bezczelnym?

No właśnie: kim?

– Pierwszych ludzi oszukał już w latach 80. Ze szczegółami opisał to Adam Grzeszak, ówczesny reporter tygodnika „Motor", a dziś dziennikarz tygodnika „Polityka". Odszukałem te artykuły w Bibliotece Narodowej.

Co z nich wynika?

– Że Gessler w 1984 roku był współwłaścicielem zarejestrowanego w Ciechanowie Przedsiębiorstwa Powierniczo-Konsultingowego HAVIT GBH. Miał biuro w warszawskim hotelu Polonia w Alejach Jerozolimskich. Zjawiło się w nim kilkuset chętnych, którzy chcieli zmienić w swoich żukach, polonezach, a nawet trabantach silniki benzynowe na oszczędniejsze ropniaki. Wpłacili zaliczki w dolarach, ale zostały one wytransferowane na zagraniczne konto duńskiego partnera Gesslera. Kiedy klienci nie mogli się doprosić ani o silniki, ani o pieniądze, poszli na milicję. Gessler został aresztowany i w niezbyt chlubny sposób zadebiutował w głównym wydaniu „Dziennika telewizyjnego". Cztery miesiące później z aresztu wyciągnął go ojciec, Zbigniew Gessler, cukiernik i wpływowy działacz Stronnictwa Demokratycznego, poseł na Sejm PRL. Adam Gessler miał dużo szczęścia, władza uchwaliła amnestię i na tej podstawie sprawa została umorzona.

Czytałem, że Zbigniew Gessler był restauratorem pochodzącym z patrycjuszowskiej rodziny żydowskiej. Prawda?

– Syn dorobił taką legendę. Na stronie internetowej restauracji Gesslera w Hotelu Francuskim w Krakowie jest takie zdanie: „Adam Gessler, restaurator w czwartym pokoleniu, wielka postać europejskiej gastronomii". Żyje jeszcze całkiem sporo ludzi, którzy pamiętają Zbigniewa Gesslera. Miał on cukiernie przy Rynku Starego Miasta i na Marszałkowskiej oraz mały zakład w peerelowskim, obskurnym pawilonie na Bielanach. Starsi warszawiacy do dzisiaj wspominają jego wypieki. Restauracji nie prowadził nigdy.

Jeśli zaś chodzi o „patrycjuszowskie pochodzenie żydowskie" – ten motyw pojawił się w opowieściach Adama Gesslera, kiedy planował zrobić interes na rozlewaniu wódek. Rozpowiadał na lewo i prawo, że jest krewnym właścicieli znanej na świecie marki Altvater Gessler należącej do austriackiej rodziny Gesslerów. Interes nie wypalił, bo przedstawiciel rzeczywistych spadkobierców – Elek Gessler – aż z Nowego Jorku przyleciał do Warszawy, wynajął adwokata, a potem spotkał się z Adamem Gesslerem i postawił sprawę jasno: „Jeżeli nie przestaniesz się powoływać na nieistniejące pokrewieństwo oraz będziesz próbował wykorzystać markę Altvater do swoich celów, zapłacisz odszkodowanie". Poskutkowało. Adam Gessler skupił się głównie na prowadzeniu restauracji.

Ma wykształcenie gastronomiczne?

– Nie ma. Jest absolwentem Liceum Zakonu Pijarów w Krakowie. Wielokrotnie mówił publicznie, nawet przed sądem, że ukończył „reżyserię teatralną i filmową". To prawda. Studiował reżyserię, ale porzucił uczelnię przed obroną dyplomu. Dyrektor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego im. Juliusza Słowackiego w Koszalinie zlecił mu w 1987 roku wyreżyserowanie „Snu srebrnego Salomei". Na tym epizod reżyserski w jego życiorysie się kończy. Wrócił do Warszawy w 1988 roku i zaczął działalność w branży kulinarnej.

Trudno zliczyć bary i restauracje, które prowadził.

– Mnie głównie interesuje działalność w dwóch lokalach miejskich – przy Senatorskiej 37 (restauracja Gessler w Ogrodzie) i na Rynku Starego Miasta 21 (słynna restauracja Pod Krokodylem). Ale badam również inne wątki jego działalności, także poza Warszawą.

Jak można, wynajmując dwa lokale, zrobić ponad 32 mln zł długu?

– Pod Krokodylem to były tak naprawdę trzy lokale – w piwnicy Karczma Wojtkowice Stare 9, na parterze cukiernia i kawiarnia Przy Piecu, a na piętrze Dom Restauracyjny Gessler. Powierzchnia – 1,2

tys. metrów kwadratowych, łącznie 29 pomieszczeń w samym sercu Warszawy.

Schemat zadłużania był prosty. Przez pierwsze miesiące Gessler wywiązywał się z umowy, po czym nagle przestawał płacić. Na wezwania do zapłaty i do opuszczenia lokalu nie reagował. Twierdził, że ratusz nie rozliczył się z nim z nakładów poniesionych na remont lokali. Swój patent nazwał „odmieszkiwaniem".

Ale w sądach przegrywał prawomocnie wszystkie sprawy, bo nie był w stanie udowodnić swoich pretensji.

Po czasie okazało się, że chwyt z rzekomym nierozliczeniem nakładów był tylko pretekstem do prowadzenia działalności gospodarczej kosztem podatników.

Stołowali się u niego politycy, przywódcy państw i Kościołów, dyplomaci, biznesmeni, wpływowi dziennikarze. Dostać stolik graniczyło z cudem. Sława lokali Gesslera szła w Polskę dzięki telewizji publicznej, która tak chętnie udostępniała mu antenę.

Korzystał też z łaskawości komorników, którzy wykazywali się wobec niego niepojętą łagodnością. Z Krokodyla został eksmitowany w październiku 2007 r. – po 12 latach od zaprzestania płacenia czynszu. Do dziś publicznie oznajmia, że „nie jest nikomu nic winien". Sprawy sądowe odwlekał w nieskończoność, a w międzyczasie zarabiał wielkie pieniądze, z których samorząd nie ujrzał ani grosza.

Czyli jednak geniusz.

– Przecież to nie on gotował, tylko świetni kucharze, na których nie szczędził grosza.

Kucharz zawsze dostawał pensję w terminie plus premię, w przeciwieństwie do kelnerów czy sprzątaczek. Gessler miał dar wynajdywania wirtuozów kuchni i robił wszystko, żeby nie

popadać z nimi w konflikt. Co przy jego wybuchowym charakterze nie jest łatwe. Gorzej mieli inni pracownicy restauracji. No i dostawcy, którzy za swój towar często nie otrzymywali należności.

Innym podmiotom, od których wynajmował lokale, płacił?

– Kiedy czuł, że ma do czynienia z silnym partnerem, płacił. Tak było w Hotelu Europejskim na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, gdzie się mieściły słynne Przekąski Zakąski czy restauracja U Kucharzy. Spółka reprezentująca spadkobierców przedwojennych właścicieli nie pozwoliłaby na zaległości, a obie marki Gessler traktuje bardzo prestiżowo.

Ale już ze Stowarzyszeniem Filmowców Polskich, od których wynajmował kultowy Ściek przy Trębackiej 3 (gościła tam śmietanka aktorska, z Janem Himilsbachem na czele), nigdy się nie rozliczył, umowa została wypowiedziana. Podobnie ze Stowarzyszeniem Historyków Sztuki, od którego wynajmował piwnice dzisiejszej restauracji U Fukiera. Po bezskutecznych wezwaniach do uregulowania 150 tys. zł zaległości sprawa trafiła do sądu.

Identyczny los spotkał Związek Rzemiosła Polskiego przy ul. Miodowej 14: przez kilka lat nie mogli odzyskać swojego lokalu. Stracili na tym prawie 200 tys. zł.

Spośród wielu długów, jakie Gessler narobił w całej Polsce, jeden mnie szczególnie poruszył. W Warszawskiej Spółdzielni Inwalidów zamówił obrusy i ubrania do swoich restauracji za kilkanaście tysięcy złotych. Niepełnosprawni, skromnie zarabiający, wykonali zlecenie, ale należności – wtedy 8 tys. zł – nigdy nie zobaczyli.

Na jaką kwotę szacuje pan długi Gesslera?

– Będę ostrożny i podam sumę raczej niedoszacowaną niż przesadzoną – między 45 a 50 mln zł. Moja lista osób i podmiotów poszkodowanych przez Adama Gesslera liczy na razie 55 pozycji, przynajmniej raz w miesiącu ją aktualizuję. Najwięcej zalega miastu

Warszawa, ma spore zaległości podatkowe wobec skarbu państwa. Ciągle spotykam się z kolejnymi poszkodowanymi, każdy z przypadków weryfikuję.

Wierzyciele padli ofiarą biznesowych błędów czy oszustwa z premedytacją?

– Nie ma mowy o przypadku. Dokumenty i relacje ofiar jasno wskazują, że Adam Gessler działał celowo w imieniu swoim lub spółek, które kontrolował. Uczynił z tego sposób na dostatnie życie. Nie płaci kontrahentom zobowiązań za lokale, za towary i usługi liczone w miliony, ale też drobnych kwot, kilkusetzłotowych. Jeden z moich świadków widział robotnika błagającego na kolanach w knajpie pełnej ludzi o zaległe wynagrodzenie za przeprowadzone prace w lokalu – miał dzieci na utrzymaniu. Przecież wypłata dla takiego pracownika to rachunki z trzech, może czterech stolików w restauracji, mimo to nie dostał pieniędzy. Inwalidzi ze spółdzielni też ich nie dostali, i nie dlatego, że firma Gesslera miała puste konto.

W Kazimierzu Dolnym kupił w 1997 roku zabytkowy hotel – słynną Esterkę, zamierzał go remontować. Najął grupę architektów i archeologów. Po wykonaniu zlecenia nigdy nie ujrzeli wynagrodzeń.

Inny przykład – sprawa z 1995 roku, Gminna Spółdzielnia w Bielanach, powiat sokołowski. Gessler zamierzał prowadzić tam zajazd. Zlecił prezesowi GS-u remont lokalu. Najął ludzi, wykonali roboty. Gdy skończyli, oświadczył, że rezygnuje i za nic nie zamierza płacić. Straty GS-u wynosiły prawie 30 tys. zł. Pomimo wygranej sprawy w sądzie spółdzielnia nie mogła nic odzyskać, aż w końcu z tego powodu upadła. Ludzie poszli na bruk. W tym czasie Gesslerowi świetnie się wiodło, dzienne robił gigantyczne obroty. Tak działa jego system.

Gdzie jest policja, prokuratura, sąd?

– Po wielu latach bezruchu coś zaczyna się dziać. 29 listopada Adam Gessler został skazany na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu za

świadome wprowadzenie w błąd notariusza i za działanie na szkodę spółki. Wyrok mógłby być wyższy, jednak część zarzutów się przedawniła, bo sprawa dotyczy przestępstw popełnionych 13 lat temu. To już drugi wyrok skazujący w tym roku – w kwietniu za zniszczenie zabytkowych piwnic na Rynku Starego Miasta w Warszawie, będących pod ochroną UNESCO, dostał rok więzienia, również w zawieszeniu. Sprawa ciągnęła się przez 19 lat! Ostatnio „Puls Biznesu" poinformował, że śledczy z prokuratury badają, czy jedna ze spółek Gesslera nie uciekła z majątkiem na Cypr.

Wiem też o kilku innych postępowaniach, ale ze względu na dobro śledztwa nie mogę nic więcej powiedzieć.

Przyjdzie taki dzień, że przestanie się pan zajmować Gesslerem?

– Kiedyś na pewno, ale jeszcze go nie widać na horyzoncie. Ciągle mam coś do roboty. Przykład z ostatnich dni – 11 listopada Adam Gessler był szefem jury w konkursie na najlepszą potrawę z gęsi w Hotelu pod Orłem w Bydgoszczy. Dowiedziałem się o tym po fakcie, ale natychmiast zareagowałem. Ustaliłem, kto go zaprosił. Zapytałem, czy dostał jakąś gratyfikację. Poinformowałem dyrektorkę hotelu, że ten pan jest karany, ma olbrzymie długi, których nie spłaca, a także ciągnie za sobą fatalną reputację – wyjątkowo nietrafiony kandydat do uświetniania jakichkolwiek promocji.

Po co takie donosy?

– Nie donosy, tylko ostrzeżenia. Żeby nie było kolejnych poszkodowanych. Wyręczam dziennikarzy, którzy powinni w takich przypadkach reagować. W wielu miastach Polski już się nie boją pisać o Gesslerze, kilka lat temu było z tym różnie. Każde jego słowo wchłaniali jak gąbka, bez żadnej weryfikacji. A czasem wystarczy jeden telefon, żeby obnażyć kłamstwa.

W 2011 roku w książce Małgorzaty Pietkiewicz „Imperium Gessler od kuchni" mówił: „W związku z prezydencją Polska zobowiązana jest przyjąć w ambasadach najważniejsze osoby w danym państwie

europejskim. Ambasada polska w Sztokholmie przyjmie na oficjalnym obiedzie królową Sylwię wraz z małżonkiem. Mam zadanie ułożenia i przygotowania menu. Niedługo potem wydam z tej samej okazji w ambasadzie w Paryżu obiad dla Nicolasa Sarkozy'ego, będę też gotował dla premiera Irlandii na przyjęciu w ambasadzie w Dublinie. Przygotowuję menu bardzo polskie...".

Zapytałem w MSZ oraz w ambasadach, czy to prawda. Otrzymałem oficjalne dementi. Ambasador w Irlandii napisał: „Jestem zdumiony. Informuję, że Ambasada RP w Dublinie nie podejmowała współpracy z p. Adamem Gesslerem i nigdy nie miała takiej intencji. Co więcej, nigdy nie były w tej sprawie prowadzone żadne rozmowy. Zapewniam tym samym, że ponieważ znamy już uprzednią działalność p. Adama Gesslera, nie byłby on nigdy mile widziany jako współpracownik Ambasady RP w Dublinie".

Krótko mówiąc – lata, kiedy stołowała się u Gesslera elita miasta i państwa, minęły. W maju br. stracił restaurację w Londynie, którą prowadził od 2010 r. za pośrednictwem syna Adama Szczęsnego i przy pomocy pasierba, oraz wszystkie lokale przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Hotel Francuski w Krakowie ledwie zipie: opustoszały, zaniedbany, obskurny. Dzisiaj Gessler powoli jest traktowany jak zwykły śmiertelnik. Tylko dlaczego trzeba było na to czekać ponad 20 lat?

No właśnie. Dlaczego?

– Jakieś zdolności aktorskie i reżyserskie bez wątpienia posiada. Wyreżyserował i zagrał główną rolę w spektaklu, w którym czasem świadomie, a czasem nie grali wielcy tego świata. Nie będę wymieniał nazwisk, ale wśród ludzi hołubiących Gesslera można znaleźć polityków z pierwszych stron gazet i wszystkich opcji politycznych, znamienitych duchownych, dyplomatów, biznesmenów, wpływowych przedstawicieli mediów. To mu dawało poczucie nietykalności, zwiększało tupet i arogancję. Wielu poszkodowanych nie dochodzi swoich należności, bo wciąż mają

wrażenie, że nie mają szans w zderzeniu z kimś tak ważnym. Udzielam tego wywiadu również po to, żeby im powiedzieć, że są w błędzie. Gessler nie jest nadczłowiekiem.

Miał pan naciski, żeby odpuścić? Rady, żeby nie nadepnąć komuś na odcisk?

– Od początku mam wsparcie zwierzchników, nikt na mnie nie naciskał ani mi nie groził. Lokalnych układów nie znam, mam 35 lat, z czego 26 spędziłem za granicą – w Tunezji. Skończyłem w Tunisie romanistykę, pracowałem w polskiej ambasadzie jako tłumacz i asystent ambasadora.

Jest pan synem dyplomaty?

– Inżyniera elektryka – Tunezyjczyka, a od niedawna również Polaka – który pierwsze w życiu plastikowe, liche sandałki założył w wieku 13 lat – zima czy lato, biegał na bosaka. Do szkoły miał cztery kilometry, do studni – prawie dwa. Bywało, że z głodu jadł pustynne myszy.

Ojciec do Polski przyjechał w 1967 roku, Tunezja wyszukiwała wtedy uczniów, żeby wysłać ich na studia zagraniczne. Został zakwalifikowany do grupy najzdolniejszych. Wiedział, że nauka jest dla niego jedyną szansą. Polskiego nauczył się płynnie w rok. Był i pozostał humanistą, chciał studiować filologię, ale został skierowany na wydział elektryczny, specjalizacja – wysokie napięcie. Na Śląsku poznał moją matkę. Pobrali się, a kiedy skończyłem dwa lata, polecieliśmy do Tunezji. Mogliśmy zostać w Polsce i prowadzić w miarę dostatnie życie, ale był związany ze swoją starą matką, którą bardzo kochał, zobowiązał się do powrotu. Inni nie mieli takich skrupułów. Z grupy 50 osób, które z nim wyjeżdżały na studia, tylko dwie je ukończyły – zdecydowana większość pozostała w Europie.

Ojciec był w Tunezji dyrektorem dystryktu w Państwowym Przedsiębiorstwie Elektryczności i Gazu. To prestiżowe i podatne na korupcję stanowisko. Ale tato miał opinię nieprzekupnego, dziwaka, bo nigdy nie brał łapówek. Przez to żyliśmy skromnie.

Dlatego przyjechał pan do Polski?

– Zakochałem się w pięknej pianistce, która przyleciała do ambasady na koncert. Spędziła tydzień w Tunisie, ja się nią opiekowałem. Kiedy wróciła do Polski, nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Z czterema walizkami przyleciałem do Warszawy.

Na początku byłem bezrobotny, potem zostałem popychadłem w sklepie sportowym w centrum handlowym za kilkaset złotych na rękę. Dobra szkoła życia. Rozglądałem się za czymś w zawodzie. Znalazłem ogłoszenie, że szukają sekretarki w Zakładzie Gospodarowania Nieruchomościami Dzielnicy Śródmieście w Warszawie. Wysłałem CV, zaprosili mnie na rozmowę. Trafiłem do działu kontroli wewnętrznej, zostałem nie sekretarką, tylko inspektorem. W ramach obowiązków współpracowałem ściśle z działem windykacji, który „obsługiwał" wielu znanych i notorycznych warszawskich dłużników, jak np. Biuro Projektowe „Stolica" czy spółkę TAVITA.

Dwa miesiące temu, po siedmiu latach pracy w ZGN-ie, przeszedłem do Urzędu Dzielnicy Śródmieście, na stanowisko rzecznika prasowego.

Burmistrz Wojciech Bartelski zgodził się, żebym kontynuował sprawę Adama Gesslera. Mam jego poparcie. Więc kontynuuję.

Gessler nie stał się pańską obsesją?

– Niektórzy mogą tak myśleć. Nie śnię o nim po nocach, nie myślę o nim przy goleniu. Robię, co mogę, w ramach skromnych urzędniczych możliwości, by ukrócić jego bezkarność. Nie dostaję za to premii ani dodatkowego wynagrodzenia. Robię to z poczucia obowiązku – jako warszawiak, obywatel tego kraju i urzędnik. I dopóki zajmuję się służbowo tą sprawą, nie odpuszczę.

Ta bułgesslerka była chociaż smaczna?

– Bardzo smaczna. Jadłem i myślałem, co się wydarzyło w życiu Adama Gesslera, że tak zmarnował swój geniusz. Mógłby być

milionerem, a ma astronomiczne długi, zszargane na zawsze nazwisko i masę poszkodowanych ludzi na sumieniu.

PS *Próbowałem skontaktować się z Adamem Gesslerem i poprosić o komentarz do zarzutów stawianych przez Mateusza Dallalego. Telefonu komórkowego nie odbiera. Nagrałem się na pocztę głosową – nie oddzwonił. Wysłałem wiadomość SMS – nie odpowiedział. Poprosiłem wspólnego znajomego, żeby przekazał moją prośbę o rozmowę. Gessler mu odpowiedział, że nie jest tym zainteresowany*

Mateusz Dallali, urodzony w Warszawie, absolwent uniwersytetu w Tunisie. Urzędnik samorządowy – pracownik działu kontroli wewnętrznej i skarg Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami Dzielnicy Śródmieście, od niedawna rzecznik prasowy Urzędu Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

FOTONAJBLIŻSZE

Rzeczy, które znaczą

W sypialni jest szafa, w szafie ubrania, za ubraniami pudełko. Dwadzieścia lat temu zaczęła je zapełniać ważnymi przedmiotami

ZDJĘCIA BARTOSZ BOBKOWSKI, TEKST MARCIN WÓJCIK

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI

porzucony przez dziadka

Grzegorz, redaktor fotograficzny, fotograf

Strych krył skarby – maszynę do szycia, portfel skórzany. Dziadek uszył go za wczesnego Gierka. Nie wiadomo, dlaczego spadł za maszynę. Portfel przez lata leżał na podłodze, nie nosił ani banknotów, ani monet, minęły go denominacje, kolejki za Jaruzelskiego, reformy Balcerowicza. Grzegorz podniósł go dopiero u schyłku Kwaśniewskiego i schował w nim pierwsze zarobione pieniądze.

Dziadek oprócz portfeli szył buty i rękawice, ale po jego śmierci nikt w rodzinie nie przejął schedy. Grzegorz dba o portfel, zszywa tam,

gdzie popęka. Może tym sposobem wnuk nauczy się dziadkowego fachu?

stopa, pięść, sztuka

Szymon Białek, uczeń gimnazjum nr 78 w Warszawie

Tækwondo to koreańska walka. „Tæ" znaczy „stopa", „kwon" – „pięść", „do" – „sztuka". Szymon zainteresował się tækwondo na festynie, potem poszedł na treningi w swojej szkole. Od tego czasu rozciąga się codziennie, żeby nie stracić formy. Był na mistrzostwach w Bukareszcie, w Bratysławie. Może pojedzie na olimpiadę, bo tækwondo jest już dyscypliną olimpijską.

Ma ochraniacze na ręce, dłonie, nogi, stopy. Te na ręce i stopy mają czujniki rejestrujące siłę uderzeń. Za głowę są 3 punkty, z obrotu na tułów 2.

warszawa odpicowana

Juliusz Szalek, dziennikarz motoryzacyjny

Warszawa wyglądała kiepsko – poobijana, po brudnych szybach można było pisać palcem. Zobaczył ją w Poznaniu, niedaleko swojego mieszkania. Kosztowała 200 złotych. Nie przepłacił, choć było to w 96 roku, a samochód z 66.

Ujechał 4 kilometry i zagotowała się woda w chłodnicy. Poczuł wyraźnie, że będzie musiał poświęcić jej sporo czasu. A nie miał go aż tyle, bo matura na karku, dziewczyna chciała regularnych spotkań. Bał się, że będzie zazdrosna, ona, to znaczy dziewczyna.

Warszawę sprowadził do Warszawy, gdzie teraz mieszka; stoi w garażu, odpicowana. Dziewczynę też sprowadził, ale już nie jest jego dziewczyną, tylko żoną. Czasami stoją w garażu i patrząc na warszawę, wspominają Poznań.

podlotki i puchary

Mieczysław Kenig, hodowca gołębi z Garwolina

Do gołębnika wchodzi codziennie, żeby nasypać ziarna, posprzątać. Kiedy wyjeżdża, to wchodzi żona, jak wtedy, gdy pojechał do córki do Australii. Tak mu się podobało, że córka przedłużyła mu pobyt o tydzień. Gdyby nie przedłużyła, to pojechałby na wystawę gołębi pocztowych do Katowic. Koledzy pojechali bez niego i zawalił się na nich dach hali wystawowej. Aż w Australii mówili, że zginęło 65 osób. Gołębie pocztowe ma od 47 lat. Jeszcze było NRD, jak jeździł do Belgii po materiał zarodowy. Sławni bracia Janssen za parę podlotków żądali 100 tysięcy franków. Ale od nich nie kupił; kupił za 6 tysięcy marek, też ładne.

Jest prezesem Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych – Oddział w Garwolinie. Jest również sędzią na wystawach. Swoich pucharów nie zliczy, najstarszy jest z 1985. Ćwiczył kiedyś zapasy. Sport to rodzinna tradycja, bo brat też jest zapaśnikiem, bratanek pływakiem. „A wie pan, że nawet bokser Tyson ma gołębie pocztowe? Pocztowe go stabilizują".

kobieta w bokserkach (nasza okładka)

Urszula Skośkiewicz, instruktorka w Warszawskim Studiu Tańca

Lubi sukienki – zwłaszcza tę seledynową, ale najbardziej lubi bokserki. Nie jakiekolwiek, ale te, które dostała od przyjaciółki, przywiezione z Tajlandii, do boksu tajskiego. Nie, nie ma pojęcia o tym, że boks tajski to sztuka walki wykorzystująca łokcie i kolana. Ona wykorzystuje łokcie i kolana do tańca. Uczy, jak stawiać pierwsze kroki. Adepci przychodzą wyprasowani, ona w bokserkach. Gdy poleciała do Nowego Jorku, żeby doskonalić się w tańcu, zabrała bokserki. Uważa, że przyniosły jej szczęście, bo ją dostrzeżono.

A seledynowa sukienka? Sama sobie kupiła materiał, aż w Japonii. Sama sobie ją uszyła, wycięła prostokąt, potem nadała ludzkie kształty. Znajomi mówią, że mogłaby projektować. Ale dla innych

by tak nie zaprojektowała. Dla siebie szyła z pamięci, czuła w głowie igły drogę.

bilecik od prezydenta

Dorota Drozd, ekspert od PR

Zobaczyła w sklepie meble, pasowały jej do salonu. Ładne, z dwiema szafkami z szybką. W domu zrozumiała, że nie ma co za szybkę postawić; szklane ryby i kryształy wyszły z mody. Postawiła srebrny kubek. Kto wchodzi, chwali meble, ale kubka nie widzi. Ona widzi.

Dorota jako spec od PR przygotowywała wizytę Baracka Obamy w Warszawie. Chyba dobrze przygotowała, bo ludzie Obamy zostawili jej upominek zawinięty w złoty papier, z bilecikiem od prezydenta. Z wypiekami rozrywała papier. Zbladła, gdy zobaczyła kubek.

Koleżanki mówiły, że pewnie na kwiaty, na wodę, na długopisy. Wolała myśleć, że na kwiaty. Niedawno wyczytała, że kubek jest na likier miętowy. Taka pamiątka z USA, jak u nas talerz z Ćmielowa.

emocje między skarpetkami

Natalia Myszkowska, właścicielka agencji PR

W sypialni jest szafa, w szafie ubrania, za ubraniami pudełko. Dwadzieścia lat temu wzięła do rąk pudełko po butach taty – bo tata nosił 47, a ona 32 – i okleiła kolorowymi gazetami. Zapełniała je latami.

Gdy Natalia nosi 39, pudełko jest pełne. W nim m.in. liścik od szkolnego macho: „Wcale mnie to nie interesuje, że nie zwracasz na mnie uwagi”; kaseta, na którą nagrywała autorskie audycje dla koleżanek, a koleżanki nagrywały dla niej – taka zabawa w radio; wiersz od babci na siedemnaste urodziny: „Smukła gazelo/ Świat stoi otworem/ Tajemniczy ogród/ Przyciąga jak magnes”. Jest też liścik od narzeczonego, wyjątkowy, bo nie wiadomo, kiedy napisze

następny, tak normalnie pisze SMS-y. A ona pisze mu na kartkach, zostawia w kubku na pastę, między skarpetkami. Uważa, że to, co napisane odręcznie, wyraża emocje. Nawet błąd ortograficzny ładniej prezentuje się w kolorze atramentu niż druku.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

NAJBLIŻSI W SZEŚCIU KROKACH

Ile osób nam potrzeba, żeby przeżyć

Człowiek w swej istocie jest niepełny, nie może zrealizować siebie bez innych

Z PSYCHOLOGIEM BARTŁOMIEJEM DOBROCZYŃSKIM ROZMAWIA KATARZYNA BIELAS. ILUSTRACJA MATEUSZ KOŁEK

RYS. MATEUSZ KOŁEK

Co to jest więź?

– Cholerny świat! Jak padają takie pytania, mam od razu ochotę kląć i powiedzieć: „Nie, nie będziemy o tym rozmawiać, pomówmy o czymś prostszym, jak dodekafonia albo teoria względności”.

To może inaczej: czy inni ludzie są nam niezbędni?

– Człowiek jest z natury, jak mówił Arystoteles, a powtarzał to św. Tomasz z Akwinu, zwierzęciem społecznym, animal sociale. Indianie, którymi się pasjonuję, mówią, że jak kondorowi obetnie się wszystko po kolei: nogi, skrzydła, dziób albo wyłupie oczy, to on przestanie być kondorem, ale jeśli człowieka podobnie się okaleczy, on nie przestanie być człowiekiem. Przestaje być nim wtedy, kiedy zostaną mu zabrani inni ludzie.

Potrzebuje ich, żeby przetrwać?

– Człowiek w swej istocie jest niepełny, nie może zrealizować siebie bez innych.

Dlatego relacje międzyludzkie są dla nas tak ważne, interesujące, powiedziałbym też: dojmujące, bolące, powodujące egzystencjalne problemy.

Wszystko wskazuje na to, że inni ludzie są nam niezbędni nie tylko z powodów biologicznych, ale też w pewien o wiele bardziej tajemniczy sposób, który jest trudny do całkowitego zrozumienia. Generalnie, wiadomo, że jeśli niemowlętom zaspokoi się wszystkie podstawowe potrzeby, będą wygrzane, najedzone, wygodnie ułożone, ale nie będą dotykane przez innych ludzi, to jest wysoce prawdopodobne, że umrą.

Zawsze chodzi o fizyczną obecność?

– Czasami może być ona symboliczna. Mogę być jak latarnik, czytać książki i słuchać muzyki, ale w ten sposób też jestem z ludźmi, z Mahlerem, którego słucham, czy z Burroughsem, którego czytam. Jestem z ich myślami, nawet jeśli już nie żyją.

A pustelnicy?

– Ojcowie pustyni czy lamowie tybetańscy odizolowują się, latami nikogo nie widują i nie mają potrzeby, ale oni są też związani z ludźmi przez swoje motywacje. Modlą się, bo chcą dla ludzi dobra czy zbawienia, medytują, żeby wyzwolić wszystkie istoty czujące.

To jest zawsze problem intencji. Samotność i bliskość człowieka nie jest tożsama z fizyczną samotnością i z fizyczną bliskością. Problem polega na czymś zupełnie innym, ale boję się, że tu zbuntują się psychoterapeuci.

Co powiedzą?

– „Jeśli człowiek rozpaczliwie potrzebuje drugiej osoby i nie potrafi być sam, oznacza to, że jest niedojrzały w związkach. Człowiek jest

dojrzały tylko wtedy, jeśli może być sam, a jego pragnienie bycia z kimś nie ma patologicznego, obsesyjno-kompulsywnego charakteru".

To wszystko ma wiele płaszczyzn i jest bardziej skomplikowane.

Z czego nasza niepełność wynika?

– Być może z naszej przeszłości. Gdybyśmy byli borsukami zorganizowanymi jak zwierzęta niestadne, tobyśmy nie potrzebowali dopełnienia w stadzie, tylko co najwyżej w samicy albo samcu, z którymi bylibyśmy tylko chwilę. Ale nie jesteśmy borsukami, tylko ludźmi, jesteśmy stadni tak jak szympansy, do których jest nam najbliżej, wilki i wiele innych zwierząt. W stadzie jest hierarchia, są więzi, są przyjaźnie, sympatie, antypatie, frakcje i dużo innych tego typu rzeczy.

To ilu ludzi nam potrzeba?

– Przez jakieś 98-99 proc. naszego czasu jako gatunku funkcjonowaliśmy w hordach liczących 150-300 osób. Tam się uczyliśmy wszystkiego i wielką część tego, co się z nami dzieje dziś, da się wytłumaczyć tym, co się z nami działo wtedy. Np. to, że musimy ze sobą współpracować, wspólnie bronić się przed wrogami.

Do dziś w sposób naturalny dążymy do tego, żeby wiązać się z grupą liczną mniej więcej tak jak horda. W podobne grupy organizują się kibice, skini czy miłośnicy muzyki klubowej. Potwierdzają to badania Facebooka, mamy wielu znajomych, ale gdy grupy są za duże, dzielimy je. Np. z częścią się spotykamy osobiście, z niektórymi tylko piszemy maile i SMS-y, z innymi wymieniamy informacje tylko na portalach społecznościowych. Mamy kręgi ludzi bliższych i dalszych.

Na czym opierają się relacje?

– Ludzkie relacje podminowane są spuścizną biologiczną. Posługując się metaforą komputerowo-smartfonową, można powiedzieć, że mamy w sobie trzy bardzo ważne aplikacje. Pierwsza to

agresywność, druga – seksualność, trzecia – i może najważniejsza – to plemienność, o której mówiłem. W dużej mierze są one nieświadome, do końca ich nie kontrolujemy i wszystko wskazuje na to, że ludzkość nie docenia ich siły.

Kultura zachodnia do połowy XIX wieku rozwijała się w nieco huraoptymistycznym przekonaniu, że jesteśmy w pełni samoświadomymi podmiotami, znamy swój umysł i dzięki silnej woli jesteśmy w stanie panować nieomal nad wszystkim.

Tymczasem…

– …historia ludzkości pokazuje, że jest to, mówiąc najdelikatniej, niebezpieczna iluzja. Wystarczy spojrzeć na XX wiek, wojny, przemoc. W latach 30. naród poetów i myślicieli, jak mawiał Hłasko o Niemcach, nagle oszalał i zaczął atakować wszystkich innych, robić Holocaust. A ile było trzeba, żeby na Bałkanach zaczęło się dłubanie oczu, obozy koncentracyjne, palenie żywcem i tak dalej? I to robią tzw. cywilizowane narody. Podobnie jest z seksualnością. Bez przerwy mamy informacje o gwałtach, pedofilii, nie ma co epatować szczegółami, bo wielokrotnie było to już powiedziane.

Czy w hordzie wszyscy się znali?

– Znali, kontaktowali, ale nie musieli się wcale przyjaźnić. Ukształtował się jednak model, który pokazywał, że wspólnota jest najważniejsza. Lévi-Strauss opisywał Lakotów preryjnych, którzy nie uznawali kary śmierci. Kiedy ktoś popełnił ciężkie przestępstwo, krępowano go i zmuszano, żeby patrzył, jak niszczono mu namiot, łuki, dzidy, skóry, zabijano konie. Następnie, też na jego oczach, wszystko to mu odbudowywano lub nowe darowano.

Co to miało znaczyć?

– Miało dawać przestępcy szansę na przemianę, ale przede wszystkim pokazywało: jesteś całkowicie od nas zależny. Jesteśmy razem, ty jesteś częścią nas, i jeśli nie jesteś w stanie współpracować, to jesteś martwy, właściwie cię nie ma. Jeżeli

delikwent był niepoprawny, następną karą było wydalenie z plemienia. Jeśli ktoś taki nie spotkał innych banitów, z którymi stworzył grupę, praktycznie nie miał szansy na przeżycie.

Niektórzy antropolodzy twierdzą, że Aborygeni australijscy nie mieli kiedyś nawet świadomości swego odrębnego bytu jako jednostki, byli tylko częścią wspólnoty.

W prehistorii byliśmy nomadami. Lévi-Strauss opisuje przypadki zostawiania starych ludzi, którzy już nie są w stanie łożyć na rzecz grupy, stają się dla niej ciężarem. Grupa zostawiała im garść jedzenia, trochę wody i szła dalej. Dla nas dzisiaj jest to zwyczaj barbarzyński, ale mogę sobie wyobrazić, że kiedyś taki nie był ani dla zostawiających, ani dla zostawianych.

Taka osoba też jest częścią grupy.

– Ale właśnie zostawienie jej leży w nadrzędnym interesie wspólnoty.

W naszą kulturę też wpisane jest, że w pewnych sytuacjach powinniśmy poświęcić życie na rzecz wspólnoty. Takie zachowanie odbierane jest jako ważne, ci, którzy tak postąpili, są czczeni jako herosi i bohaterowie, śpiewa się o nich pieśni.

Jak ludzie próbują dawać sobie radę z wrodzonymi aplikacjami?

– Na ogół się je lekceważy, myśli, że da się je łatwo opanować, na przykład plemienność za pomocą uniwersalizmu. Będziemy tworzyć świadomość obywatela, demokraty, liberała albo nie będziemy w ogóle o tym mówić, licząc, że mentalność plemienna sama zniknie. Tymczasem ludzie wyposażeni w aplikację plemienności organizują się w grupy, które walczą z tą uniwersalnością za pomocą nacjonalizmów, szowinizmu, źle pojętej lokalności.

Niemówieniem próbuje się też często zanegować seksualność.

– Nie zawsze się neguje, można ją uznawać, jak dzieci kwiaty mówić, że seksualność jest wspaniała, ale nie widzieć związanych z

nią problemów. Tymczasem ona pozostaje dalej nieokiełznana.

Jako społeczeństwo jesteśmy hipokrytami. Potępiamy różne formy seksualności niezgodne z prawem czy obyczajem, a jednocześnie nasza kultura cały czas podsyca seks, agresję, przemoc. Nie stymuluje sił dążących do powściągliwości, uprzejmości, szacunku, delikatności, wrażliwości na niuanse. Afirmuje nagie siły, instynkty.

Problem polega na tym, że siła wrodzonych aplikacji to w dużym stopniu energia ślepa. Schopenhauer jako pierwszy wyraźnie mówił o ślepej woli, że ona nas pcha i dąży do wyładowania, nie bacząc na koszty nie tylko ofiar, ale i tych, którzy jej podlegają. Wielokrotnie stykamy się z sytuacją, że kiedy z różnych powodów osłabnie zdolność do samokontroli, powiemy komuś: „Ty czarnuchu, żółtku, pedale".

Polor cywilizacyjny to cieniutka warstewka, wystarczy jedno mocniejsze uderzenie i natychmiast wszystko się sypie, z powrotem są obozy koncentracyjne, rzezie, gwałty, beczkowanie noworodków. Ale pojawiają się także akty niesłychanej odwagi, zasłaniania własną piersią, poświęcenia, spłonięcia żywcem po to, żeby oświetlić drogę wędrującym, jak to robili mnisi buddyjscy w Wietnamie.

Wróćmy do więzi. Czy wczesny związek matka – dziecko to początek wszystkich następnych?

– Istnieją uczeni bardzo różnych orientacji, którzy zgodziliby się z tym, że właśnie wtedy pojawiają się wzorce wszystkich innych więzi.

Odwołując się do współczesnej sytuacji, można by powiedzieć, że uczymy się w rodzinie. Ale kiedyś ludzkość, w większości przypadków, nie żyła w rodzinach. Przez wiele tysięcy lat panował promiskuityzm, dzieci nie znały ojców, przypuszczalnie ludziom nieznany był związek między kopulacją a ciążą. Dzieci żyły w

gromadzie, a relacji uczyły się od najbliższych, często rodzeństwa matki, jej rodziny.

W psychologii mówi się, że w najwcześniejszym okresie życia wyrabia się coś, co nazywa się praufnością – to może być też pranieufność – a pierwsze relacje generalizują się na świat. Dziecko na podstawie wczesnych relacji wyrabia sobie obraz rzeczywistości – że jest ona przyjazna, przewidywalna, potrzeby są zaspokajane. Dostosowuje się do tej sytuacji, uzyskuje w ten sposób poczucie bezpieczeństwa, komfortu. Być może w wyniku tego wytwarza się coś, co ludzie nazwali miłością.

Czyli?

– Pewna trwała relacja połączona z odpowiedzialnością i wzajemnym świadczeniem sobie usług. Często jest ona powiązana z seksualnością. Żeby wychować dziecko, trzeba lat, rodzice muszą mieć motywację, nie mogą się zniechęcić byle niepowodzeniem, a temu sprzyja seks, który podtrzymuje więź.

Miłość może być też całkowicie jednostronna, w relacji matka – dziecko przez długi czas stroną, która daje, jest przede wszystkim matka.

Teoretycznie można by powiedzieć, że nie ma silniejszej więzi niż więź między matką a dzieckiem, choć z drugiej strony mamy ogromną liczbę dzieciobójstw, przemocy wobec dzieci, porzuceń, kompletnego braku więzi.

Czy dzieci, dorastając, powtarzają to, co widziały?

– Tu znowu trzeba oddzielić wzorce życia od rzeczywistości. W hordach, w społecznościach plemiennych dzieci robiły dokładnie to samo, co ich rodzice tej samej płci, syn chciał być taki jak jego ojciec, zachodziła pełna identyfikacja międzypokoleniowa. Dziś jednak różnica między tym, co robią dzieci, a tym, co robią rodzice, może być niewyobrażalna, a możliwości wyboru sposobu funkcjonowania jest wiele.

Rodzice nie mają tak wielkiego wpływu na dzieci jak dawniej. O wiele większy ma grupa rówieśnicza. Dzieci mogą teraz obserwować, uczyć się z bardzo wielu źródeł jednocześnie. Żyjemy, by przywołać Zygmunta Baumana, w płynnej nowoczesności, możemy realizować siebie na tyle sposobów, że w badaniach trudno o jakiekolwiek jednoznaczne wyniki. W związku z tym o sposobach, w jaki ludzie ze sobą są, w jaki nawiązują więzi, jak są one podtrzymywane, jak się rozpadają, często po prostu wiemy niewiele. Mnie np. zawsze fascynował związek Konstantego „Kota" Jeleńskiego z malarką Leonor Fini i Stanislao Leprim, włoskim malarzem. Przetrwał 30 kilka lat, do śmierci jednego z zainteresowanych.

Nie był to typowy trójkąt.

– Był związkiem dwóch gejów z lesbijką – lub trzech osób biseksualnych, jeśli ktoś lubi takie etykiety. To było coś złożonego, okazuje się, że pewni ludzie lgną do siebie, potrzebują siebie i są w stanie funkcjonować w zupełnie niezrozumiałej dla innych konfiguracji.

Mamy normy, wzorce, a potem na arenę wkracza mroczna siła zwana życiem i wszystko się rozjeżdża.

W jakim kierunku?

– Pojawia się coraz większa psychoróżnorodność, w analogii do bioróżnorodności.

Nie wiem, co będzie za 10 czy 20 lat, wszystko może się zmienić. Co pewien czas ujawniają się nowe sposoby realizowania potrzeby bycia razem: tzw. wielomiłość (poliamoria), żyjemy razem – mieszkamy osobno (living apart together), rodziny patchworkowe, przyjaźnie podszyte erosem (friendship with benefits). Pewnie możliwe są jeszcze inne konfiguracje, których nawet dzisiaj sobie nie wyobrażamy. To się jednak rozgrywa niemal w całości poza świadomością człowieka. Badania pokazują na przykład, że Polki i Polacy na emigracji (np. w Wielkiej Brytanii) przejawiają zupełnie

inne zachowania seksualne niż w kraju. A zadecydował o tym sam tylko kontekst kulturowy. My oboje mamy to szczęście, że żyliśmy na styku dwóch systemów społecznych, możemy porównać, jak były konstruowane relacje w latach 70., 80., a jak teraz.

Na to nie wpłynęła ewolucja, za krótki czas. Pana zdaniem było całkiem inaczej?

– Okazuje się, że byt określa świadomość, to zwycięstwo Marksa zza grobu. To, co wydaje nam się osobistym wyborem, preferencją, fascynacją, w sporej mierze wynika z panujących stosunków ekonomicznych i społecznych.

W szarych latach 80. relacje międzyludzkie były w samym centrum życia. Np. w moim środowisku właściwie trwała nieustająca impreza, ludzie bez przerwy się spotykali, przychodzili do siebie i dyskutowali do świtu o filmach, książkach, płytach.

Szczególnie w stanie wojennym, kiedy wyłączono telefony.

– W latach 80. w ogóle normą było, że ludzie odwiedzali się bez zapowiedzi i zasiadywali się bez żadnego dbania o to, czy to komuś nie przeszkadza. Gospodarz nie mówił: „Słuchaj, teraz mam inne pilne zajęcie". Ideałem było znaleźć sobie partnera czy partnerkę, stabilną pracę, mieć mieszkanie.

Teraz nawet z bardzo bliskimi osobami umawiamy się z dużym wyprzedzeniem i często po kilka razy spotkanie przekładamy. Relacje międzyludzkie zeszły na dalszy plan.

Wtedy czymś wspaniałym było ustabilizowanie się w jakikolwiek sposób, kiedy wokół szalał chaos.

Dziś tak nie jest? Ludzie też chcą się stabilizować.

– Relacje, jak twierdzi mój lewacki mistrz Guy Debord, autor „Społeczeństwa spektaklu", stały się w kapitalizmie utowarowione. Coraz więcej ludzi przywiązuje wagę do tego, czy im się opłaca być z kimś blisko, czy on, ona jest atrakcyjną znajomością nie tylko z powodów psychologicznych, ale bo np. pracuje w ważnym miejscu

takim jak telewizja czy urząd miasta, jest cenionym lekarzem lub wpływowym politykiem. W ten sposób kontrolujemy się nawzajem, jeśli ktoś źle się ubiera, traci pracę, partnera albo zachoruje, może nagle zostać sam.

W relacjach ogromna część rzeczy dzieje się poza nami i często mimo najlepszych chęci wszystkich stron nie wychodzi. Z punktu widzenia kapitalizmu zachwycający jest związek człowieka z iPhone'em. Cieszysz się nim rok, jak już ci minie, wyrzucasz go i wchodzi następny iPhone. A potem słyszymy, jak modelka mówi: „To obciach, że mam już dwa lata tego samego chłopaka".

Jesteśmy tylko produktem?

– W każdych warunkach jest pewna niewielka liczba ludzi, która potrafi to przeskoczyć, czyli jest w stanie zbudować związek, miłość, przyjaźń, więź, to tajemnicze coś, co łączy ludzi niezależnie od warunków.

Proszę zauważyć, jak trudne jest np. podtrzymywanie związków, które straciły podłoże geograficzno-instytucjonalne.

Dzisiaj, kiedy jest Skype, Facebook…

– To dalej jest trudne. Coś, co było spontaniczne, naturalne, wynikało z entuzjazmu, nagle wymaga wysiłku. Moim zdaniem nic nie zastąpi bezpośrednich, spontanicznych relacji.

Ale liczy się też zwykła chemia i inne bardzo tajemnicze sprawy. Są tacy, którzy mówią, że kwestia bliskości między ludźmi zależy od podobnych rytmów, bo nasze timingi są wtedy zgodne, mamy podobne doświadczenia, łatwo się odnajdujemy. To jest odwieczne pytanie o związki erotyczne i inne – czy bardziej fascynujące jest podobieństwo czy odmienność? No i znowu tysiące mądrych psychologów latami głowi się, bada, a efekt jest taki: dobrze, żeby było trochę tego i trochę tamtego. To jest trudna sprawa, Ameryki tutaj nie odkryjemy.

Dla mnie najbardziej tajemnicze są wieloletnie, trwałe związki, nie bardzo wiadomo, na czym to polega. Można to albo zaafirmować, powiedzieć: „Patrzcie, przekroczyli wszystkie ograniczenia ludzkości, są nieomal bytami nadludzkimi". Można to też zdeprecjonować i powiedzieć, że warunki im sprzyjały, albo że nie rozstali się, bo mają za słabą wolę, przeżyli razem 50 lat, mimo że się nienawidzą.

Czyli pan nie wie?

– To jest naprawdę kłopotliwa sprawa. Wolę szukać odpowiedzi na pytanie, ilu ludzi nam potrzeba, żeby przeżyć, niż na pytanie, jak się tworzy coś tak intymnego jak więź.

Ewolucja, marksizm, psychologia… Ilu w końcu trzeba tych bliskich do przeżycia? Panu osobiście ilu potrzeba?

– Długoletnie badania nad tym, co czyni ludzi szczęśliwymi, pokazują, że o wiele ważniejsza jest odpowiedź na inne pytanie: dla ilu ludzi to my jesteśmy niezbędni? I ilu ludzi może liczyć na nasze wsparcie? To jest prawdopodobnie najważniejsza liczba, w jakiej możemy wyrazić nie tylko możliwość naszego przeżycia, ale i doznawania szczęścia. I tu, paradoksalnie, jeśli tylko potrafimy sprostać tym oczekiwaniom, to im więcej, tym lepiej…

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

WSZYSTKO, CO CHCIELIBYŚCIE WIEDZIEĆ O WAJRAKU

Podglądacz to właśnie ja!

Mógłbym podglądać ludzi, ale w porównaniu ze zwierzętami ludzie są przewidywalni, nudni i mało różnorodni

ADAM WAJRAK

FOT. LESZEK HOLF-ZYCH

Szczerze? Jestem leniem, podglądaczem oraz plotkarzem.

Nie lubię wstawać rano, więc do lasu chodzę zwykle po południu i uwielbiam zimę, bo wówczas zwierzaki aktywne są cały dzień. Nie lubię daleko łazić. Nie ma znaczenia, czy jestem w Puszczy Białowieskiej, w Tatrach, Bieszczadach czy na Spitsbergenie, na którym zwykle nie odchodziłem dalej niż 500 metrów od traperskiej chatki, w której mieszkałem. Zresztą po co miałbym daleko łazić, skoro wszystko, co fascynujące, czyli niedźwiedzie, liski, foki i jednego renifera oraz gigantyczną kolonię ptaków, miałem pod nosem. To samo mam w Teremiskach, małej wsi w sercu Puszczy Białowieskiej, w której mieszkam razem z Nurią.

Nuria, w której jestem zakochany po uszy, jest piękną Hiszpanką oraz biolożką zajmującą się takimi ciekawymi tematami jak duże drapieżniki, ale też jeszcze ciekawszymi, jak padlinożerstwo. Wielu rzeczy o zwierzętach dowiaduję się właśnie od niej. Nie poznaliśmy się w lesie w trakcie tropienia wilków, tylko na balandze u naszej przyjaciółki Haliny. Nuria jest moją żoną, ale gdyby w Polsce można było zawierać związki partnerskie, tobyśmy zawarli taki

związek. Ale ponieważ związków nie ma, wzięliśmy ślub, który trwał 8 minut, kosztował nas 80 złotych, było na nim dwoje świadków i my w T-shirtach. Kiedy poznałem Nurię, mieszkałem w Warszawie, ale w Warszawie jest mało zwierząt, zresztą podobnie w Sewilli, z której pochodzi Nuria, więc wybraliśmy na wspólne miejsce życia Puszczę Białowieską. Nuria robiła tu doktorat z wykorzystania przez zwierzęta padliny, a ja jako dziennikarz piszący o zwierzętach nie mógłbym sobie wyobrazić lepszego miejsca do pracy. Po paru latach pomieszkiwania w różnych wynajętych domach udało się nam niedrogo kupić dom w Teremiskach, w którym mieszkamy do dziś.

Mam tu żubry przed domem, wilki kawałek dalej i jeszcze te wszystkie ptaki, ślimaki, owady oraz kunę w ogródku. Tak naprawdę mazurki i wróble są tak samo dla mnie fascynujące jak wilki albo żubry. Lenistwo daje mi tę ważną przewagę nad resztą fotografów i obserwatorów przyrody, że nie gonię przed siebie nie wiadomo gdzie, ale idę sobie powoli i się rozglądam. Poznaję znakomicie okolicę i mieszkające tu zwierzaki. Niektóre, takie jak żubry z naszej okolicy, poznaję po twarzach (bo dla mnie mają twarze, a nie pyski). One chyba też mnie poznają. Wilki też mają twarze i każda jest inna. Ponieważ wszystko w pobliżu znam na wylot, od razu dostrzegam nawet najmniejszą zmianę. Czy się nudzę? Wcale nie, bo w przyrodzie ciągle coś się zmienia i nie ma mowy o nudzie i rutynie. Każdy rok, każdy miesiąc i dzień są inne.

Dzięki temu, że nie łażę daleko, wiem, że najciekawsze rzeczy dzieją się tuż za rogiem. Tylko żeby je dostrzec, trzeba być wścibskim podglądaczem. To właśnie ja! Mógłbym oczywiście podglądać ludzi, ale w porównaniu ze światem przyrody ludzie są przewidywalni, nudni oraz tragicznie mało różnorodni. A podglądając zwierzęta lub to, co dzieje się w przyrodzie, mogę sobie skakać od sikorki do bociana, od kuny do żubra lub jelenia. Mogę próbować rozszyfrować świat śluzowców, czyli takich niby-grzybów, które pełzają, albo dowiedzieć się, ile zgniłych liści zagrzebują żuki leśne na jednym hektarze lasu. Mogę pisać o skandalicznych obyczajach,

jak porzucanie przez samicę dzięciołka ojca z dziećmi, skokach w bok sikorek modrych albo o orgiach żab moczarowych lub seksie ropuch. I nikt się nie obrazi. Chociaż kiedyś pewien prawicowy publicysta się oburzył, że opisując zwyczaje godowe żab, deprawuję młodzież.

Oczywiście podglądać muszę w miarę dyskretnie, tak by nie spłoszyć i nie skrzywdzić moich bohaterów. Co prawda zwierzęta w przeciwieństwie do ludzi nie napiszą sprostowania albo nie wytoczą sprawy w sądzie, ale nie chcę być dla nich uciążliwy, bo bardzo je lubię. Na szczęście zawsze gdzieś obok jest Nuria, która – gdy się zapominam i zaczynam być męczący dla jakiegoś zwierzaka – natychmiast zwraca mi uwagę.

A plotkarstwo? No cóż, zawsze byłem dzieckiem słabowitym i chorowitym. Nie grałem w piłkę, słabo się biłem, uczniem nie byłem wybitnym, ale uwielbiałem gadać i opowiadać. Z czasem robiłem to coraz lepiej. W 1991 roku zacząłem pisać do „Gazety Wyborczej" i zostałem dziennikarzem. Bardzo mi się to spodobało, bo to oznaczało, że mogę uprawiać takie szlachetne plotkarstwo. Mógłbym plotkować o ludziach. Pisać o politykach albo o gwiazdach. Mógłbym czaić się z aparatem, żeby zrobić zdjęcie politykowi albo jakiejś gwieździe z wózkiem lub z zakupami. Mógłbym biegać po Sejmie, by zdobyć tę jedyną informację, ale dzięki Bogu nie muszę tego robić.

Po pierwsze, konkurencja jest dużo mniejsza i znacznie łatwiej się wybić jako dziennikarz od zwierząt.

Po drugie, dziki, kuny i sikorki są jednak od ludzi ładniejsze.

Kalendarz 2014: Dzięki lenistwu, podglądactwu i plotkarstwu zrobiłem zdjęcia, z których powstał „Kalendarz Przyrodniczy" na 2014 rok, który w sobotę 14 grudnia będzie dostępny z „Gazetą". Większość zdjęć z kalendarza została zrobiona w okolicy Teremisek, a nawet w bezpośrednim sąsiedztwie naszego domu, a jedno – to z drącymi się małymi jaskółkami – nawet na nim

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

MOI POLSCY PAŃSTWO

Filipińska gosposia w twoim domu

Na pierwszej rozmowie powiedziałam madame, że nie umiem gotować. Odparła, że to nie problem, bo przecież ona umie

IWONA GŁOWACKA

FOT. ALBERT ZAWADA

Po niedzielnej mszy w parku w Warszawie – Imee, Junalyn i Rona

Na Filipinach jesteśmy bohaterkami. Kobietami sukcesu. Dzieci są nam wdzięczne – Riza ma na sobie czarne futro do połowy łydki, skórzane spodnie. Usta pociągnęła miedzianozłotą szminką. Starannie upięła włosy.

Jest niedziela. Przed chwilą skończyła się msza po angielsku w kaplicy Niepokalanego Poczęcia przy ul. Radnej w Warszawie.

Dwadzieścia kilka kobiet, rodaczek i koleżanek po fachu Rizy, zebrało się wokół zakonnicy w szarym habicie, siostry Yolandy, też Filipinki.

Riza wkrótce skończy 46 lat. Najmłodsza Junalyn ma 25 lat. O trzy lata starsza jest jej kuzynka Marites – o pucołowatej, dziewczęcej twarzy, w szortach ledwie zakrywających pośladki i kabaretkach.

Filipinka nie pokaże, że cierpi

Rona w pierwszych słowach chwali się, że jej pracodawcą jest znany polski piłkarz i działacz sportowy, dlatego co roku spędzają dwa miesiące w Grecji.

Rona ma 34 lata, ale doświadczenie godne pozazdroszczenia. W Hongkongu wytrzymała tylko dwa tygodnie (przez złych pracodawców). W Dubaju przez dwa lata robiła zastrzyki pewnej staruszce. Nie miała prawa do wolnego dnia, posiadania komórki ani samodzielnego wychodzenia z domu. Przez pięć lat na Cyprze wydała fortunę na telefony do syna. W Warszawie właśnie kończy się jej trzyletni kontrakt.

– Filipinka za granicą musi być silna i skupiona na pracy – tłumaczy Rona.

Według Imee filipińskie gosposie zawdzięczają popularność swej pokorze: – Nie znam żadnej, która skarżyłaby się pracodawcom. Cokolwiek nam się każe, przytakniemy z uśmiechem.

Siostra Yolanda, która od trzech lat dba o relacje wśród filipińskiej kobiecej diaspory w Warszawie, widzi to tak: – Jesteśmy z natury uczuciowe i wrażliwe. Łatwo nas zranić. Ale Filipinka nie da po sobie poznać, że cierpi. Zniesie i osamotnienie, i trudy pracy. To kwestia wiary w Boga i miłości do rodziny.

Żadnej pracy się nie boi

Junalyn studiowała inżynierię chemiczną, ale przeniosła się do szkoły pielęgniarskiej, bo – jak mówi – przed wyjazdem za granicę chciała nauczyć się, jak być miłą i cierpliwą.

Imee studiowała biznes i administrację. Była robotnicą w fabryce. Handlowała jedzeniem na ulicy. Jej rodzice nigdy w życiu nie wyjechali na urlop.

Shemay marzyła o pracy w centrum handlowym, ale nie wyszło. Do trzydziestki nudziła się w malezyjskim call center i japońskiej firmie w dziale kart kredytowych. Potem ją zwolnili. Nie żałuje.

Rona ma licencjat z nauczania początkowego, ale oblała egzamin zawodowy. Nigdy nie pracowała na Filipinach.

Riza: – Jak przekroczysz trzydziestkę i nie masz studiów, nie znajdziesz pracy na Filipinach. Pracowałam kiedyś w restauracji, dzieci podrosły, trzeba było płacić za szkołę.

Wyjeżdża za granicę

W przypadku Rizy była jeszcze kwestia domu.

Mężowi Rizy Paulowi spodobała się koleżanka z pracy. Ta sama, którą upatrzył sobie szef. Paula wylali. Wziął adwokata. Firmę było stać na lepszego. Sprawę przegrał. Żeby zapłacić prawnikowi, sprzedał dom. Mieli już wówczas cztery córki i syna. – Zrobiłam wszystko, żeby wyjechać.

Oboje z mężem znaleźli pracę w Wietnamie. Teściowie zaopiekowali się wnukami.

– U pierwszej madame, Francuzki, zajmowałam się dziećmi – opowiada Riza. – Kiedy wracali do Francji, nie potrzebowali niani, więc polecili mnie przyjaciółce, która mieszkała w Polsce – mojej obecnej madame. Zgodziłam się. Kiedy chcesz pracować za granicą, nie możesz wybierać. Chwytasz okazję.

Wyjazd do pracy z polecenia to oszczędność 2-4 tysięcy dolarów. Tyle pobiera filipińska agencja za znalezienie kontraktu.

43-letnia Imee na Polskę zdecydowała się świadomie. – Może to głupie, ale chciałam być w ojczyźnie Jana Pawła II. Odwiedziłam już Częstochowę, Kalwarię Zebrzydowską i Łagiewniki.

Zanim tu trafiła, na Filipinach prowadziła razem ze wspólniczką mały biznes. Zarobiła na niego na Cyprze w latach 90. Imee wniosła kapitał, ale na interesach się nie znała. Gdy wspólniczka zmarła, poczuła, że znowu chce wyjechać. Zgłosiła się do agencji pośrednictwa pracy.

– 5 września 2010 roku przyjechałam do Polski zbierać pieczarki. Było nas 50. Nie zapłaciłyśmy pełnej kwoty agencji, więc nas zostawili bez pracy. Jak dopłaciłyśmy, wysłali nas do pakowania mięsa gdzieś w okolice Łodzi. Pracowałyśmy tam trzy miesiące i skończyły się wizy. Myślałam, że agencja je przedłuży, ale w międzyczasie zniknęła. Cztery miesiące czekałyśmy w hotelu. Zadzwoniłam do naszej ambasady, przyjechałam do Warszawy i zaczęłam nawiązywać kontakty z Filipińczykami. Jedna dziewczyna w kościele znała rodzinę, która szukała kogoś do pomocy w domu, a ja desperacko potrzebowałam wizy.

Pozostałe Filipinki pouciekały do Austrii, Włoch, Francji, Hiszpanii i Szwajcarii. Zarezerwowały nawet dla mnie miejsce w autokarze, ale nie dałam rady. Rodzice mówili mi: wracaj, nie pakuj się w taki bałagan.

Dobrze wypada na rozmowie o pracę

Imee: – Rozmowę miałam w niedzielę, a w poniedziałek zaczęłam pracę. Pani mnie polubiła, chociaż wiedziała, że trudno będzie mnie zalegalizować.

Marites: – Zatrudnili mnie po jednej rozmowie na Skypie. Pytali, czy lubię zwierzęta i czy wiem, że tu zimno.

Riza: – Na pierwszej rozmowie powiedziałam madame, że nie umiem gotować, bo w domu robił to mąż. Odparła, że to nie problem, bo przecież ona umie. Teraz sprzątam po niej kuchnię. Nakrywam do stołu. Wyprowadzam psa. Czworo starszych dzieci zabiera do szkoły taksówka, ja idę do przedszkola z najmłodszą. Doglądam kota, królika i dwóch chomików. Sprzątam jadalnię, salon, salę telewizyjną, pokój zabaw, cztery sypialnie, garderobę i trzy łazienki. Piorę i prasuję dla ośmiu osób. Wykonuję każde polecenie madame.

Przy okazji Riza uczy języka. Najmłodsza córka madame pierwsze zdania składała po angielsku.

Dla pracodawców anglojęzyczna niania to inwestycja w dzieci. Wszystkie Filipinki znają ten język ze szkoły, choć Marites przeprasza za błędy gramatyczne, a Junalyn wstydzi się akcentu. W zamerykanizowanym filipińskim systemie po tagalsku uczy się tylko wiedzy o społeczeństwie i kulturze.

Jest szczęśliwa u polskiej rodziny

Junalyn: – Lady jest Polką, jej mąż Kanadyjczykiem. Zajmuję się domem, wstaję do dzieci w nocy, pilnuję przy pracy domowej. Mówią, że jestem ich starszą siostrą. Ostatnio zabrali mnie na narty do Val d'Isere.

W standardowej umowie filipińska gosposia ma zagwarantowaną niepracującą niedzielę i święta. Junalyn ma też wolny poniedziałek.

Marites skarży się, że pierwsza Polka źle ją traktowała. Za 250 dol. miesięcznie kazała jej sprzątać u siebie i w domu koleżanki.

Filipińska gosposia dostaje na rękę zwykle 500 dol. Pracodawca zapewnia wyżywienie, własny pokój i odprowadza składki do ZUS.

Rona też nie od razu dobrze trafiła: – Pierwszej rodziny w Polsce nie polubiłam i oni nie polubili mnie. Chłopcy byli mali, nie mówili po

angielsku. Znalazłam inną i teraz jestem szczęśliwa. Państwo są ze mnie zadowoleni. Chcieliby, żebym zawsze dla nich pracowała.

Riza chwali się płatnym miesięcznym urlopem raz w roku i opłaconym przelotem na Filipiny. Zarabia dwa razy więcej niż u pierwszej francuskiej madame w Wietnamie i o jedną piątą lepiej niż jej koleżanki zatrudnione u Polaków.

Imee pracuje u polskiej rodziny z trójką dzieci i też czuje się wyróżniona: – Nie mam tyle pracy co inne Filipinki. U mojej pani od poniedziałku do piątku, od ósmej do szesnastej, domem zajmuje się Polka. Wszystkimi obowiązkami dzielę się z nią po połowie. Bóg naprawdę mi błogosławi.

Rozmawia z mężem przez Skype'a

Marites: – Spędziłam z mężem tylko trzy lata. Przyjechałam do Polski w lipcu 2009 roku – 11 miesięcy po urodzeniu drugiego syna. Teraz starszy ma sześć lat, młodszy pięć, ale wciąż mnie pamiętają. Wysyłają mi SMS-y: „Mamo, kocham cię". Opiekują się nimi mąż i teściowa.

Czy brakuje jej bliskich?

– Nie, nie jestem osobą, która jakoś wyjątkowo tęskni za rodziną.

Imee jest sceptycznie nastawiona do małżeństwa. – Ledwie wyjdziesz za mąż, już masz tego drugiego dość – kwituje. Opowiada, że jej 70-letni rodzice stale się sprzeczają. Na Filipinach nie udziela się rozwodów, a klasy średniej nie stać na kościelne unieważnienie małżeństwa.

Rona przyznaje, że bywa zazdrosna o męża. Nie widzieli się od siedmiu lat, ale codziennie rozmawiają na Skypie: – Jestem wdzięczna Bogu, że mimo rozłąki wciąż się kochamy. Jego znajomi mu nie wierzą. Pytają, czemu tak żyje.

Poznali się w Dubaju. – Pracowałam tam z kuzynem. Kiedyś zażartowałam: znajdź mi kogoś. Dał mój numer koledze. Wysyłaliśmy sobie SMS-y i zdjęcia. Dzwoniliśmy do siebie. I się zakochałam. Po raz pierwszy zobaczyliśmy się na lotnisku przed wylotem na Filipiny. Pojechaliśmy do jego rodziców, potem do moich. Pobraliśmy się. Urodziłam syna. Kiedy skończył dwa lata, wyjechaliśmy ponownie.

W maju będą świętować dziesiątą rocznicę ślubu.

– Zaplanowaliśmy z tej okazji wspólny urlop na Filipinach i przeprowadzkę do nowego domu. Jestem tym taka podekscytowana!

Rona spędzi z mężem 48 dni. Po powrocie do Warszawy dostanie podwyżkę. A mąż nie wróci już do pracy w Katarze, ale zajmie się synem.

– Moja mama trochę go rozpuściła, ale i tak jestem z niego dumna. Koleżanki mówiły, że jak jadą na Filipiny, to dzieci od nich uciekają. A mój się przytulił i usiadł mi na kolanach.

Otacza się swoimi

Po mszy siostra Yolanda upewnia się, czy każda z kobiet wie, jaki jest plan dnia, zna adres i ma z kim jechać.

Zakonnica stawia sprawę jasno: – To ja niańczę ten babiniec.

Dwanaście lat temu jeden z polskich banków potrzebował księgowych i informatyków ze specyficzną wiedzą. Przyjechali z Filipin, zadomowili się, posłali dzieci do szkoły amerykańskiej. Potem filipińską kolonię zasilili szoferzy, kucharki i sprzątaczki kilku warszawskich placówek dyplomatycznych. Potem doszły filipińskie żony polskich mężów, pracownicy sezonowi sprowadzeni do fabryki szkła, kobiety do zbioru owoców, nianie i pomoce domowe. Razem

ponad pięćset osób. Do 2009 roku nie mieli w Polsce ambasady. Musieli polegać na sobie.

– Oni wspierają nas w razie kłopotów, a my zapewniamy towarzystwo ich niepracującym żonom – mówi siostra Yolanda. Zanim wstąpiła do franciszkanek misjonarek Maryi, pracowała na Filipinach w banku centralnym. Potem zakon wysłał ją na dziesięć lat do Rosji. Stamtąd na Krym. Od trzech lat mieszka na warszawskim Mokotowie. Ma ciepły uśmiech i charyzmę, dzięki której panuje nad rozbawionymi Filipinkami. Dziewczyny chichoczą, podśpiewują, przekrzykują się i klaszczą.

Tej niedzieli siostra Yolanda rozdaje im kartki z pytaniami: Jak rozumiesz idealną wspólnotę? Wymień jej najważniejsze przymioty. Co zrobisz, żeby ją zbudować? Wymień konkretne działania.

Odpowiadają, zerkając sobie przez ramię. W międzyczasie siostra tłumaczy mi, że zapewnia dziewczynom warunki, by mogły się wygadać, wyrzucić z siebie zazdrość, oduczyć rywalizacji. I żeby nie czuły się samotne. Tu wolno rozładować emocje płaczem, jeśli pracodawca zamknął paszport w komodzie, podniósł głos, otwarcie skrytykował. Spotkania nazwała roboczo „Jak być kobietą".

Po szesnastej przenosimy się na przyjęcie do Dondona i Che. On pracuje w banku. Ona spodziewa się ich czwartego i piątego dziecka. Stąd impreza na jej cześć i prezenty dla bliźniąt.

Daje sobie czas

Junalyn: – Nie chcę całe życie być gosposią. To męczące. Poza tym jak wyjdę za mąż, do pracy wyjadą siostry.

Ona jest najstarsza z siódemki rodzeństwa.

Imee: – Daję sobie jeszcze jakieś trzy do pięciu lat. Teraz szukam pracy w przedszkolu, bo już umiem radzić sobie z dziećmi. Na

Filipinach inaczej je dyscyplinujemy. Kiedy tu przyjechałam, bałam się, że jak krzyknę na dziecko, to ono nakrzyczy na mnie.

Ucieszyłoby ją 3 tysiące złotych pensji netto.

Riza: – Powtarzam dzieciom: macie skończyć studia, nie będziecie musiały pracować za granicą. Dwie córki wyszły już za mąż. Trzecia pomaga mi, bo pracuje w Singapurze. Jest nauczycielką. Najmłodsza jest w szkole średniej. To znaczy, że jeszcze osiem lat pracy przede mną.

Skończy wówczas 54 lata.

– Na razie nie daję rady nic odłożyć. Wysyłam dzieciom na wszystko, o co poproszą. Nawet jeśli tego nie potrzebują. Madame mówi, że muszę się nauczyć oszczędzać, czy mi się to podoba, czy nie. Że rodzinę muszę nauczyć wydawać sensownie. Ale mnie to cieszy, bo dla nich pracuję.

Bliscy czekają też na balikbayan boxes – niepodlegające ocleniu paczki z zabawkami, kosmetykami, jedzeniem, ubraniami, a nawet elektroniką. Dalsi krewni na prezenty przy okazji przyjazdu na Filipiny.

Mąż Rizy wrócił z Wietnamu do rodzinnego Quezón City. Nie pracuje. Za przesłane przez żonę pieniądze udało mu się odkupić dom. Kiedy finalizował transakcję, akurat nie było jej na Filipinach, więc nie figuruje w akcie własności.

Pytam, czy myślała o pracy w innym kraju. – Mam tu dobrą rodzinę, papiery. Po co miałabym jechać gdzie indziej?

Obserwuje i ocenia

Na imprezie u Che spotykam wreszcie Shemay. Inne Filipinki pół żartem, pół serio mówiły mi o niej, że trochę szalona. Ma 38 lat, troje dzieci na Filipinach, a za mąż nie wyszła.

Z miejsca deklaruje, że chce mieć ze mną zdjęcie. Potem opowie, czego dowiedziała się o Polsce w ciągu pięciu miesięcy pobytu.

Wprawnym gestem poprawia długie, proste włosy. Filuternie mruży oczy i szeroko się uśmiecha. Zrobione.

W zamian dowiaduję się, że Polacy za dużo pracują i innych przeciążają obowiązkami.

I że są zimni, mimo że katolicy. Japończycy to buddyści, a są mili.

I że pracowała nawet u takiej Polki, która też nie lubiła Europejczyków.

Że polscy sir i madam (mówi tak, bo ich szanuje) niby rozmawiają z nią jak z koleżanką, ale traktują ją jak pomoc domową.

Że kraj jej się podoba, bo taki otwarty. Można spojrzeć na faceta i się z nim całować.

Że zarabia tu tylko 500 dolarów. Ale jak zdobędzie trochę doświadczenia, to pojedzie do dobrego kraju: do Anglii albo do Kanady.

I że jak leciała do Polski, to wiedziała tylko, że tu bieda i komunizm.

Ale jak wylądowała, to już nie było tak źle.

Autorka jest studentką Polskiej Szkoły Reportażu

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Listy

Nie zawsze możliwe jest zbliżenie się do bliskich

P odejmowałam próby zbliżenia z moim tatą wielokrotnie – bez rezultatu. On mnie po prostu nie widzi, widzi cały swój świat: nowej kobiety, „nowej córki", nowych wnucząt, a ja jestem w innym wymiarze – ciągle oceniana, krytykowana.

Zadzwoniłam dzisiaj do ojca, bo mi się przyśnił. Chciałam usłyszeć jego głos i miałam nadzieję, że ucieszy się z mojego telefonu. Myliłam się. Znowu usłyszałam w głosie pretensję, że długo nie dzwoniłam, że w końcu przypomniałam sobie o ojcu. Pomyślałam, że telefony przecież działają w dwie strony. Dlaczego tak trudno mojemu 73-letniemu tacie zadzwonić do swojej jedynej 47-letniej córki? Jestem już zmęczona budowaniem naszych relacji opartych na wysłuchiwaniu przeze mnie jego trosk, chorób, pretensji, że nie dzwonię, recept, jak żyć, co jeść, jak zażywać leki, co jest dobre i niedobre. Najsmutniejsze jednak w moich relacjach jest to, że on mnie po prostu nie widzi, widzi cały swój świat: nowej kobiety, „nowej córki", nowych wnucząt, a ja jestem w innym wymiarze – ciągle oceniana, krytykowana. W ostatniej mojej rozmowie słyszałam tylko, że nie mam szacunku do niego, do jego kobiety, że powinnam ją szanować za to, że jest. Mój tato oczekuje ode mnie szacunku, sympatii do siebie i do ludzi, których nie znam. Jakie to przykre, kiedy ciągle musisz zasłużyć na ojca miłość, ciągle uważać, co mówisz do niego, aby nie obrazić jego dumy, jego ego. Chciałabym być wysłuchana bez porad, rad, komentarzy i krytyki.

Chciałabym być kochana bezwarunkowo. Chciałabym nie być porównywana i mieć możliwość usłyszeć radość w głosie, kiedy zadzwonię po dłuższej przerwie. Chciałabym też, żeby przeprosił mnie za wszystko, co mi zrobił, a było tego sporo. Mojej mamy już nie ma na świecie od wielu lat, tęsknię za nią, ale właściwie jej nie znałam. Była umęczona 32-letnią walką z chorobą najtrudniejszą na świecie – stwardnieniem rozsianym. Nie zawsze możliwe jest zbliżenie się do swoich bliskich. Podejmowałam próby zbliżenia się z moim tatą wielokrotnie – jak widać, bez rezultatu. Dzisiaj mówię „dość" – buduję teraz i jutro z moimi najbliższymi: córką i mężem.

Dorota Ż., pasjonatka jogi i zdrowego stylu życia, szczęśliwa mama dorosłej już córki i kochana żona

Dlaczego w polskich szpitalach boli?

Anna Kleszcz poskarżyła się Unii Europejskiej, że pacjenci w polskich szpitalach niepotrzebnie cierpią (rozmowę Grzegorza Sroczyńskiego z Anną Kleszcz opublikowaliśmy w „DF" z 18 lipca 2013 – „Wyłam. Oni pytali: co za śmieć tu leży?". Część lekarzy lekceważy stosowanie odpowiednich środków przeciwbólowych, np. zużycie morfiny w Polsce jest dziesięciokrotnie niższe niż w Niemczech. Kleszcz spędziła w szpitalach ponad rok z powodu ropnia kręgosłupa, co wiązało się z niewyobrażalnym cierpieniem. W całej sprawie nie chodzi o oszczędności w służbie zdrowia. Państwo polskie, skazując Annę Kleszcz na wycie pod łóżkiem, zaoszczędziło dziennie zaledwie 3 złote i 86 groszy (tyle kosztuje dawka bunondolu).

Petycja Anny Kleszcz do Parlamentu Europejskiego została właśnie przyjęta do rozpatrzenia. Komisja Petycji zwróciła się do Komisji Europejskiej o „wstępne zbadanie różnych aspektów przedstawionego problemu". Jeśli chcesz, aby nasi europosłowie zainteresowali się tą sprawą i dopilnowali dalszego ciągu, napisz do nich. Na przykład tu: jerzy.buzek@europarl.europa.eu, andrzej.grzyb@europarl.europa.eu,

danuta.jazlowiecka@europarl.europa.eu,
tadeusz.cymanski@europarl.europa.eu, dyrektor@pawelzalewski.eu

Uwaga! W mailu koniecznie wymień numer petycji Anny Kleszcz 0232/2013

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

TALKO. JA TU TYLKO SPRAWDZAM

Jak przywrócić dźwięk?

LESZEK K. TALKO

Najgorsza jest ta chwila, kiedy słyszysz: „Może jednak zadzwonisz do specjalisty?".

Bo są jednak obszary męskie i żeńskie, no są. Te męskie się skurczyły i właściwie ograniczają się do samochodu i komputera. Choć nie, jest gorzej – w samochodzie zmieniam raz na rok opony i dolewam płynu do wycieraczek – udając, że to nie wiadomo co. Pozostał więc komputer.

I właśnie się zepsuł. Od tygodnia nie ma dźwięku.

Wykonałem już wszystkie magiczne czynności, które na co dzień załatwiają sprawę. Kilka razy zresetowałem komputer, sprawdziłem, czy wszystkie wtyczki są wciśnięte, delikatnie potrząsnąłem obudową i nic. Naprawdę nie trzeba mi sugerować, że może to ja wyłączyłem głos.

Zajrzałem do internetu. Sprawa nie wydaje się skomplikowana. Po prostu nie mam driverów do karty dźwiękowej. Wgram sobie te drivery i komputer odzyska głos. Te drivery bierze się z płyty, która była dołączona do komputera.

A jednak nie wgram, chociaż po dwóch godzinach znalazłem tę płytę. Była w opakowaniu koncertu trzech tenorów. Otóż drivery na płycie nie pasują do karty dźwiękowej. I tak się podobno często zdarza. Ma się inną kartę i inne drivery, i już. Setki osób spotkała podobna przykrość i opisały to w internecie. No i co dalej?

Człowiek nieustannie poszerza horyzonty, poza tym jakoś mi przyjemniej, kiedy pomyślę, że nie jestem jedyny, który zarywa drugą noc, szukając tych driverów. Jest nas legion.

I pomyśleć, że jeszcze wczoraj nie wiedziałem, że jest program, a nawet kilka programów, których jedynym zadaniem jest wyszukiwanie odpowiednich driverów do odpowiednich urządzeń. Dziwnym trafem każdy z nich kosztuje 29,99 dolara po atrakcyjnej przecenie z 59,99 dolara.

Przy okazji instalacji dowiaduję się, że brakuje mi jeszcze 11 innych driverów, które zniknęły na tyle dyskretnie, że nie zauważyłem ich braku, a być może będę ich kiedyś potrzebował. Więc może się opłaci?

Zwłaszcza że obiecałem żonie, że komputer za chwilę będzie gotowy.

Wstyd klienta przed przyznaniem się do porażki jest powodem stałego wzrostu firm komputerowych. Bo co robi facet, który

spędził już drugą noc na próbie uruchomienia głosu w komputerze, co miało zająć pięć minut? Kupuje program, który ma w kilka minut usprawnić to, nad czym się biedził tyle godzin.

Co robi ten facet, gdy okazuje się, że program co prawda zainstalował osiem driverów, ale trzech nie, a wśród tych trzech znajdował się akurat ten od głosu?

To moment, gdy nie można się wycofać, tylko trzeba brnąć dalej i kupić kolejny program do znajdowania driverów, już w wersji „pro", za 39,99 dolara, w pewnej zbudowanej na piasku nadziei, że „pro" magicznie zadziała.

Oczywiście nie zadziałał. Twierdzi, że jestem „fatal error", i apeluje do poczucia wspólnoty. Czy chcę podzielić się swoim beznadziejnym przypadkiem, by następne wersje programu mogły sobie z nim dać radę?

Mają jednak gorącą linię, na którą mogę spróbować zadzwonić. Jeśli tylko mieszkam w Stanach Zjednoczonych, a nie mieszkam.

Dlaczego nie zawiozę sprzętu do fachowca?

Dlatego, że skoro siedzę trzy dni nad czymś, co miało zająć pięć minut, byłoby to przyznaniem się do porażki i uszczerbkiem na męskiej dumie. Ale po trzech nocach duma mi zmalała.

Pierwszy komputerowiec proponuje, żeby wymienić kartę dźwiękową. To będzie najprostsze. Poza tym ta nowa karta dźwiękowa jest znacznie ulepszona w porównaniu ze starą z czasów, gdy jeszcze działała, i gdybym tylko chciał podłączyć większą liczbę głośników albo subwooferów, nie miałbym żadnych kłopotów. Warto by wymienić też płytę główną, żeby wykorzystać wszystkie atuty nowej karty.

Chciałbym po prostu, żeby był głos. To komplikuje sprawę.

Drugi komputerowiec mówi, że to robota na kilka minut. Nie trzeba nowej karty. Wgra drivery na poczekaniu.

Komputerowcy mieszkają i pracują w niedużych mieszkaniach, w których gromadzą zepsute komputery w salonie, w drugim pokoju natomiast trzymają małe dziecko, które bez ustanku płacze, mimo że siedzi z nim żona komputerowca. Nie mam dużej próbki badawczej, ten jest dopiero drugi, ale podobieństwa są znaczące.

Analogie idą dalej, nie mam wyjścia, muszę je analizować, kiedy on wgrywa te drivery. Żony mają do komputerowców pretensje, że nie wynieśli śmieci lub nie wyszli z psem, bo, o czym zapomniałem wspomnieć, komputerowcy mają nieduże psy, które głośno szczekają, usiłując przekrzyczeć dziecko.

Choć nie udaje im się.

Wszystko to sprawia, że poczekanie, na którym wgrywane są drivery, staje się trudne w piątej minucie. Sam bym wyszedł z tym psem, żeby nie słuchać odpowiedzi na czwarte już pytanie: kiedy komputerowiec zamierza wyjść z tym psem, który przecież zaraz się zsika.

Komputerowcy odpowiadają na to, że przecież to tylko kilka minut, żony mówią, że słyszą to ustawicznie i już mają dosyć. A dziecko płacze.

W ciągu około 25 minut żony zdołały przyjść z płaczącym dzieckiem cztery razy i poprosić o przewinięcie go, znalezienie czapeczki, podanie i podgrzanie butelki i ponoszenie na rękach.

Na wszystkie te prośby komputerowcy konsekwentnie odpowiadali: „za chwilę”, natomiast ja, zdaje się, byłem przezroczysty i tego nie zniosłem.

Trzeci komputerowiec miał kota. Dziecko było dziewczynką. Żona chciała, żeby uśpił to dziecko.

Wszyscy komputerowcy zniechęcali się, choć mówili, że tak ad hoc sobie poradzą z tymi driverami. Ile można instalować te cholerne drivery? Zwłaszcza że teraz nie tylko nie ma dźwięku, ale w dodatku komputer zawiesza się przy starcie. Tłumaczyli, dlaczego tak się dzieje, ale nie rozumiem. Z internetu przychodzi kiepskie pocieszenie. Gdzieś na świecie tysiące ludzi chodzą ze swoimi komputerami do komputerowców i usiłują odzyskać dźwięk. Niektórym się udaje, inni jednak trafiają na kolejnych komputerowców. Nie wiadomo, czy mają oni dzieci.

To komputerowanie w ogóle im się nie opłaca. Policzmy: biorą ode mnie po 20 albo 40 złotych za kilka godzin pracy. Co prawda nie udaje im się nic naprawić, więc pewnie dlatego tak mało. Ten trzeci, z kotem, nawet odwiózł mi komputer samochodem, a to przecież kilkanaście kilometrów. Inna sprawa, że wyglądał na takiego, który zaraz wyjdzie po papierosy i wróci za 30 lat, kiedy płaczące dziecko będzie już spore. Wydawał się najbardziej profesjonalny i wziął 50 złotych. Mówił, że siedział nad komputerem trzy godziny w nocy, i rzeczywiście wygląda, jakby nie spał. Ale może to przez dziecko. Komputer nadal nie ma głosu, ale już się nie zawiesza. Można go włączyć, to duży sukces, choć z drugiej strony złośliwi powiedzieliby, że to po prostu powrót status quo.

Dzień piąty to czas, gdy do głowy przychodzą najbardziej szalone pomysły. A może kupić nowy komputer? Z dźwiękiem? Albo wytoczyć sprawę sądową producentom? Nie wiem tylko czego. Komputera, karty, programów, które miały to naprawić?

I jeszcze: czy dźwięk w komputerze jest mi niezbędny? Zastanówmy się. Kiedy piszę, w ogóle nie jest potrzebny. Kiedy przeglądam wiadomości, właściwie też nie jest potrzebny. Przydaje się, gdy włączam film. Ale jest wiele filmów, które nie potrzebują głosu. Na przykład te o śmiesznych zwierzętach, które spadają z tapczanu, albo o kotach, które wpadają do wanny.

Najśmieszniejsze są te koty. Jeden skacze na obracający się u sufitu wiatrak i fruwa dookoła pokoju. Można się w ciszy popłakać ze śmiechu.

Przypadkiem spotkałem kolegę. Mówi, że istnieje coś takiego jak zewnętrzna karta dźwiękowa. Wkładam ją do złącza USB, podłączam kabelek i mam dźwięk w dwie sekundy. Czemu sobie nie kupię, zamiast się irytować?

Kupiłem za 10 złotych, wygląda jak pendrive. W dwie sekundy odzyskałem dźwięk.

Wtedy zadzwonił ten trzeci komputerowiec. Powiedział, że przespał się z tematem i ma pomysł. A gdyby przeinstalować system? Straciłbym wszystkie dane, ale odzyskałbym dźwięk.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

ŻYCIE W KOMIE

Sam na sam z manekinem

Bałem się much. Leżałem bez ruchu i patrzyłem, jak chodzą po oparciu łóżka. Siadały mi na ręce. W każdej chwili jedna z nich mogła mnie zabić

TEKST KATARZYNA SANKOWSKA-NAZAREWICZ, ILUSTRACJA ANNA REINERT

FOT. ANNA REINERT

Pamiętam ostatnie chwile przed komą: styczniowy mroźny wieczór, przed północą wróciłem do domu, usiadłem przed komputerem. I usłyszałem gwizd, z każdą sekundą coraz głośniejszy, rozsadzał mi głowę. Spadłem z krzesła. Zadzwonił telefon. Nie mogłem wstać, więc pociągnąłem kabel i zrzuciłem go na podłogę. Zdążyłem jeszcze powiedzieć: jest źle, przyjedź.

Między jawą a snem

Tuż przed. – Mam na imię Grzegorz. Przed śpiączką żyłem zwyczajnie: pracowałem jako informatyk, później przez pół roku mieszkałem w Irlandii, brałem dorywcze zlecenia. Cieszyłem się, bo w końcu było mnie na coś stać. Po powrocie do Polski chciałem kupić mieszkanie. Podróżowałem. Spotykałem się z dziewczyną. Nie

wiadomo, dlaczego koma mnie dopadła. Ciało nie wysyłało żadnych sygnałów ostrzegawczych.

Tuż po. – W śpiączce nie wiadomo, co dzieje się naprawdę, a co jest wyobraźnią. Miałem dziwne sny. Na przykład: akcja dzieje się na lotnisku. Leżę na łóżku. Nagle spada mi temperatura. Nakrywają mnie, żebym się jeszcze bardziej nie wyziębił. Każą wytrzymać do samolotu, ale jest coraz gorzej. Umieram. Opuszczam swoje ciało i widzę, że wiozą mnie do kostnicy. Ruszam ręką i wszystko znów jest OK. Sen się urywa. Albo inny: widzę salę, w której leżę, ktoś leży na łóżku obok i uśmiecha się do mnie jak opętany. Co chwila wstaje do toalety, wraca, kładzie się, zaczyna się śmiać, wstaje i wychodzi. I tak w kółko.

Słyszałem rozmowy lekarzy przy moim łóżku. Wiedziałem, kiedy odwiedza mnie siostra, rozpoznawałem ją po krokach na korytarzu. Żyłem między jawą a snem. I było mi wszystko jedno, co będzie dalej.

Grzegorz kojarzył też zapachy i dźwięki. Przyjemne i te, których nienawidził.

Ale koma jest dla niego tajemnicą. – Nigdy nie wiadomo, jaki bodziec sprawi, że coś ci się w mózgu odblokuje. Może to będzie smak kropli cytryny wlewanych na język? Albo piosenka, którą lubiłeś w poprzednim życiu, sprzed śpiączki. Dobrze pamiętam smak lizaka, którego wkładali mi do ust. Malinowy.

Przebudzenie

Ze śpiączki obudził się równie niespodziewanie, jak w nią zapadł. Po kilku tygodniach otworzył oczy. Na sali intensywnej terapii zrobiło się poruszenie. Pielęgniarka zadzwoniła po lekarza, dała znać rodzinie. Po przebudzeniu nie wiedział, gdzie jest, jaki jest dzień. Ale kojarzył, słyszał, widział i wszystko pamiętał. Umysł podpowiadał: jest dobrze, wychodzę na prostą.

Jedna rzecz go niepokoiła. Nie mógł skupić wzroku na konkretnym punkcie. I nie rozumiał, dlaczego nie może mówić, ruszyć ręką ani nogą. Ale myślał, że to pewnie wina leków, pewnie to „puści" i za kilka dni po prostu wyjdzie ze szpitala i będzie jak dawniej.

Kolejne konsultacje lekarzy, odwiedziny rodziny. Dni mijały, nic się nie zmieniało. Wszyscy wokół już wiedzieli, że to zespół zamknięcia, czyli sprawny umysł zamknięty w pancerzu z ciała, nad którym nie ma się władzy. Albo inaczej: biegły umysł w niefunkcjonalnym opakowaniu.

O diagnozie powiedziała mu siostra. Nie rozumiała, co stało się Grzegorzowi, nikt też niczego jej nie wyjaśnił. Godzinami sprawdzała w internecie, czym jest zespół zamknięcia i udar niedokrwienny pnia mózgu i móżdżku. I opisała to Grzegorzowi, jak umiała. Jego pierwsza myśl: o kurwa, resztę życia spędzę jak Robocop.

Leżak

Dni miały wyznaczony rytm. Rano myła go salowa, zmieniała pieluchy. Potem pielęgniarze przerzucali bezwładne ciało na boki i oklepywali je, żeby nie było odleżyn. Przez pierwsze trzy miesiące od udaru schudł 40 kilogramów. Jadł przez sondę włożoną do nosa, sikał przez cewnik, oddychał przez rurkę tracheo.

– Czasem czułem, jak na ręce siada mi mucha, idzie w kierunku ramienia i dalej, wchodzi na policzek. Wiedziałem, że jeśli wpadnie do rurki wystającej z gardła, to będzie koniec.

W ciągu dnia rehabilitanci ćwiczyli mu ręce i nogi. Sadzali na łóżku. Głowa, tułów bezwładnie opadały. Masaże wodne, elektrostymulacje. Bombardowanie impulsami. Nic się nie zmieniało. Poza zmianą statusu pacjenta – ze „śpiocha" na „leżak".

Wspomnienia przychodziły nocą. Zwykłe rzeczy z poprzedniego życia: spotkania z dziewczyną, sobotnie wyjazdy na ryby, smak

frytek z McDonalda.

– Chciałem krzyczeć, wyszarpać z siebie to wszystko. Ale nie poruszałem się na łóżku nawet o milimetr.

Którejś nocy głowa bezwładnie zsunęła mu się z łóżka. Nie mógł nic zrobić. Leżał w bezruchu i modlił się o pomoc. Po kilku godzinach obok sali przechodziła pielęgniarka i zauważyła go. Pomyślał wtedy, że jest jego aniołem.

Nie takiej bezsilności bał się najbardziej. Myślał o przyszłości – widział czarną dziurę.

– Kiedyś wydawało mi się, że na wszystko mam czas. Rodzina, sensowna robota, dom – to przyjdzie. A tu nagle wszystko odpłynęło, ruch ręką okazał się niewykonalny.

Raz na tak, dwa na nie

Po przebudzeniu rodzina zaproponowała prosty sposób komunikacji: jedno mrugnięcie powiek na tak, dwa na nie. Później wprowadzili bardziej skomplikowany system. Siostra recytowała alfabet, a on mrugał na wybraną literę. Zaczynała alfabet od nowa, on wybierał kolejną literę. Powstawały wyrazy i całe zdania. W pancerzu z ciała zrobił się mały wentyl, informacje powoli zaczynały biec w obie strony. Nie musiał już tylko słuchać odwiedzających, mógł zadawać pytania, mówić, co czuje i czego chce.

Pierwsze dwanaście miesięcy od udaru to ciągła rehabilitacja: w Bydgoszczy, Poznaniu, Warszawie. Nauka jedzenia, picia, przełykania. Ćwiczenia mimiki. Pionizacja. Omdlenia z wysiłku. Nauka wstawania. Znowu omdlenia. I kolejne załamania.

Przyszły pierwsze efekty: po trzech miesiącach samodzielny ruch ręką. Po roku pierwszy krok z balkonikiem i pierwsze wypowiedziane słowo.

– Czułem, że jestem szczęściarzem. W szpitalu dawali mi kilka procent szans na przeżycie, a jeśli nawet jakimś cudem się uda – miałem tylko mrugać oczami. Podobno komórki układu nerwowego się nie regenerują. To, że teraz mogę ruszyć ręką, to zasługa rehabilitacji. Setek godzin spędzonych na podnoszeniu, opuszczaniu, zginaniu i zaciskaniu ręki. Czy o zespole zamknięcia mówi się do momentu, kiedy wykona się pierwszy świadomy ruch? Tego nie wiem. Ale to zamknięcie w jakimś sensie będzie we mnie do końca.

Ludzie

Znajomych może podzielić na tych z pierwszego życia i tych z życia po śpiączce. – Na początku po udarze wszyscy się interesowali, przychodzili, pomagali. Później to powszednieje, a ty zostajesz sam, z ciałem jak manekin. 90 procent tamtych znajomości nie przetrwało. Mój związek sprzed śpiączki też się rozpadł.

Byli też inni. Wujek, który przychodził czytać mu książki. Uwielbiał to. Uciekał wtedy myślami jak najdalej od szpitalnego łóżka. Pielęgniarki kazały mu wysyłać buziaczki, żeby ćwiczył mimikę. Poprosiły lekarzy, żeby wyjąć Grzegorzowi sondę, i karmiły go na zmianę. Godzinami. – Smak szpitalnej zupy zapamiętam do końca życia. Ale smak miał wtedy małe znaczenie, najbardziej liczyła się nauka przełykania. Dopiero pół roku później delektowałem się ulubionym twisterem z KFC.

Był też starszy mężczyzna, od którego usłyszał: „Nie będę leżał z pampersem na jednej sali". Za każdym razem dzwonił po fizjoterapeutę i razem odprowadzali Grzegorza do toalety.

– To wyjątki, popychające do przodu. Ogólnie jednak jest tak, że jeśli jeździsz na wózku i niewyraźnie mówisz, ludzie traktują cię, jakbyś był upośledzony. Na przykład: siedzisz na korytarzu. Podchodzą przypadkowe osoby i wpychają twój wózek do windy. Na protesty przytakują tylko głową. Później zawożą cię do pielęgniarki cztery piętra wyżej, bo nie wiedzą, co z tobą zrobić. Albo rehabilitanci. Często zwracają się jak do debila: A TE-RAZ PÓJ-

DZIE-MY DO TEJ SA-LI. Prawie krzyczą, bo skoro ty odpowiadasz niewyraźnie, to znaczy, że niedosłyszysz. Na początku wściekałem się, później odpuściłem i nawet wszedłem w rolę: udawałem, że nic nie rozumiem. Świetnie się bawiłem.

spioch.org.pl

Po dwóch latach nauczył się samodzielnie jeść, myć i siadać. Wtedy postanowił, że już czas żyć samodzielnie. W nowym mieszkaniu jest łóżko na pilota, poręcze pomagające przesiadać się z wózka na kanapę, na krzesło pod prysznicem. Ale dawni przyjaciele już nie zaglądali, a małe mieszkanie coraz bardziej przypominało pancerz, w jakim znalazł się po przebudzeniu ze śpiączki.

Lekiem na samotność było założenie bloga dla „leżaków" i opiekunów „śpiochów". Prawa ręka kiedyś lubiła gotowanie, majsterkowanie, zmienianie biegów w samochodzie, teraz leżała bezwładnie na oparciu wózka. Lewa mozolnie wstukiwała w klawiaturę swoją historię. I porady dla tych, którzy też nagle obudzą się z poczuciem, że ich ciało zniknęło, został tylko zdziwiony umysł.

Kasia i Eryk

Brat Kasi, Tomek, prowadził całkiem zwyczajne życie. Pracował w firmie logistycznej, miał żonę, córkę, lubił weekendowe wyjazdy na działkę. Nagle rozbolała go głowa i pojechał do szpitala. Już z niego nie wyszedł o własnych siłach. Zapadł w śpiączkę, a po wybudzeniu lekarze zdiagnozowali u niego zespół zamknięcia.

Po udarze brata Kasia zaczęła szukać informacji o komie i tak trafiła na blog spioch.org.pl. Zaczęła wymieniać maile z Grzegorzem. Z pierwszego spotkania zapamiętała jego spokój i słowa: będzie dobrze, będzie dobrze.

– Tomek miał rodzinę i wszystko stracił. Gdyby nie on, nie spotkałabym Grzesia. A nawet jeśli jakimś dziwnym trafem by do tego doszło, nie wiem, czy bylibyśmy razem. Spojrzenie na osoby

niepełnosprawne zmienia się o 180 stopni, jeżeli ten problem dotyczy kogoś z najbliższego otoczenia. Widziałam, jak Tomkowi rozpada się życie. Z dnia na dzień. Chociaż został tym samym facetem, bo przecież umysł ma w pełni sprawny. Tylko na zewnątrz wszystko się zmieniło – mówi Kasia.

Po roku od pierwszego spotkania zamieszkała z Grzegorzem. Dziś mają dwuletniego synka Eryka. Ta ciąża była dla niej zaskoczeniem. – Zupełnie, jakbym nie wiedziała, skąd się biorą dzieci. Pamiętam reakcję Grzegorza: – A co, myślałaś, że jak moje plemniki jeżdżą na wózku, to też są niepełnosprawne?

Dziś ich życie skupia się wokół syna i rehabilitacji. Kasia wychodzi przed siódmą do pracy, wcześniej pomaga Grzegorzowi w ubieraniu. Do wieczora Erykiem zajmuje się ojciec.

Nic lepiej nie mobilizuje do rehabilitacji niż małe dziecko. Raz Eryk bawił się na kanapie. Wpadł za łóżko i się zaklinował. Płakał. Grzegorz był z nim wtedy w domu sam. Odsunięcie kanapy zajęło mu kilkadziesiąt minut. Po wszystkim czuł się, jakby przebiegł maraton.

– Dzięki temu, że miałem rehabilitację, daję sobie radę. Ale żeby dostać się na rehabilitację, trzeba czekać nawet dwa lata. A co robić w tym czasie? Trzeba kombinować, składać papiery w kilka miejsc naraz, załatwiać ćwiczenia w domu. Żeby był efekt, trzeba by codziennie przez dwie godziny ćwiczyć z rehabilitantem. Nigdy takich warunków nie miałem, pewnie dlatego wychodzę z tego już ponad sześć lat.

Osiągalne, nieosiągalne

Odkąd obudził się ze śpiączki, po kolei odkreślał kolejne rzeczy z listy „nieosiągalnych”:

mówienie (cicho i niewyraźnie, pamiątka po rurce tracheo),

wstawanie z łóżka (możliwe dzięki poręczom na ścianie),

założenie koszulki, spodni, skarpetek (trwa około godziny, ale daje radę),

mycie zębów (tylko szczoteczką elektryczną),

prysznic (na krzesełku w brodziku, bez większych problemów),

golenie się (golarką elektryczną),

zrobienie kanapki (od 15 minut do pół godziny),

ugotowanie prostego obiadu (2 godziny, wszystkie składniki muszą już być wyjęte z szafek i czekać obok kuchenki),

jedzenie zupy (powoli, trzeba uważać, żeby się nie zachłysnąć),

karmienie syna (bez problemu, Eryk to uwielbia),

obsługa komputera (tylko lewą ręką, ale program może napisać) – przejście z balkonikiem 10 metrów (trwa pięć minut, po wszystkim jest cały mokry),

wychodzenie z domu (trudne i trwa długo, ale wykonalne).

Pewne rzeczy jednak cały czas są poza zasięgiem. Od tych błahych – jak wyjście do pobliskiego McDonalda na lody (bo po drodze jest kładka) czy wjechanie na plac zabaw przed blokiem (bo piach), po takie, o których marzy nocami. Dzisiejsze sny Grzegorza w niczym nie przypominają tych surrealistycznych, z czasu śpiączki. Zawsze jest w nich w pełni sprawnym człowiekiem: chodzi, biega, jeździ samochodem. Najbardziej lubi, kiedy śni mu się, że gra z synem w piłkę.

Kasia ciągle myśli o tym, jak różny finał mają podobne zdarzenia. – Żona mojego brata nie wytrzymała, zabrała dziecko, są w trakcie rozwodu. Dla Tomka słowo motywacja dzisiaj nie istnieje. A

Grzegorz wrócił do życia, został ojcem. Wciąż wierzy, że będzie dobrze. I będzie dobrze.

Autorka jest studentką Polskiej Szkoły Reportażu

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

DOBRE, BO Z WIELKOPOLSKI

Najlepsze bryki są z Gostynia

Jeździł nimi Göring, George Bush senior i królowa Danii. A sułtan Omanu z okazji urodzin zamówił sobie czterdzieści

MIROSŁAW WLEKŁY

FOT. BOGDAN MARCINIAK

Od lewej: Henryk Glinkowski i jego synowie – Krzysztof, Damian i Hubert

Fakty, od których zagranicznych producentów powozów konnych boli głowa:

95 procent bryczek produkuje się w Polsce,

przez Polaków światowy gigant w branży, firma Kühnle Kutschenmanufaktur z Niemiec, cienko przędzie, a z 80 pracowników zostało czterech,

największa firma na świecie, z której wyjeżdża tysiąc wozów rocznie, znajduje się pod Gostyniem w Wielkopolsce,

bryczkami z Gostynia (tu powstaje 99 proc. polskiej produkcji) obwozi się turystów w Rzymie, Wiedniu i Krakowie. Jeździł nimi George Bush senior i królowa Danii. Rosyjscy oligarchowie kupowali je na prezenty dla kontrahentów. Sułtan z Omanu z okazji swoich urodzin zamówił 40 bryczek do wielbłądów, a także specjalne bryczki do ciągnięcia przez 40 koni.

Polowiec dla Göringa

W latach 60. Walenty Kołak, rocznik 1909, obiecuje sobie, że będzie prowadzić warsztat, dopóki nie wyda córek za mąż. Obie urodziły się, kiedy miał ponad 40 lat. Pracować musi jeszcze po siedemdziesiątce.

Przed II wojną światową jest podkuwaczem koni w wojsku, potem kowalem w Gostyniu. W czasie wojny buduje powozy do rozwożenia chleba. A w 1956 roku w Krobi pod Gostyniem zakłada własny warsztat.

O pięć lat starszy Jan Andrzejewski zakład w Gostyniu otwiera już w 1926 roku. Wcześniej jest kołodziejem u Niemca – gdy ten plajtuje, kupuje od niego kamienicę z zakładem kołodziejskim. Andrzejewski potrafi zrobić wszystko, co z drewna: dyszle, skrzynie,

koła. Konstruuje też bryczki. Dla hrabiów albo bogatych gospodarzy. W czasie wojny zakład przejmują Niemcy i Andrzejewski na ich zlecenie robi m.in. polowiec dla Göringa.

Po wojnie komunistyczna władza nie lubi koni. Woli konie mechaniczne. Jazda w siodle albo powożenie bryczką kojarzy się z jaśniepańską Polską przedwojenną.

Bryczki oprócz Jana Andrzejewskiego produkuje jeszcze tylko Bogajewicz w Pniewach (też Wielkopolska). Odbiorcami są przede wszystkim pegeery. Lokalni komunistyczni dygnitarze nie mają jeszcze samochodów, jest więc zapotrzebowanie na proste wozy dla czterech osób do objeżdżania i inspekcji pól. Zanim ktoś zamówi bryczkę u prywaciarza, musi jednak wykazać, że takich pojazdów nie produkuje żadna państwowa firma. Nie produkuje.

Wielkopolanie mają mnóstwo pracy. Ci z okolic Gostynia łączą siły. Kołak zajmuje się kowalstwem. Andrzejewski z Grzymisławskim – drewnem. Tapicerką – Koplin, a malowaniem – Kubacki. Bryczka z Gostynia, zanim trafia do pegeerów lub stadniny koni, przechodzi przez kilka warsztatów.

Do lat 70. prywaciarze remontują też cygańskie tabory.

Co obiecał Glinkowski teściowi?

Henryk Glinkowski poznaje Walentego Kołaka, swojego przyszłego teścia, w 1977 r., gdy on dochodzi już do siedemdziesiątki. W warsztacie ma palenisko, wiertarkę, młot mechaniczny i zestaw ręcznych narzędzi.

Glinkowski obiecuje Kołakowi, że po pierwsze – będzie dobrze traktował jego córkę, a po drugie – unowocześni jego produkcję. Nie spodziewa się, że zakład o powierzchni 50 m kw. rozwinie w fabrykę bryczek zajmującą 5600 m kw. i zatrudniającą 120 pracowników. Sam wymyśli specjalne narzędzia i przyrządy do produkcji bryczek, na przykład zawijarkę do resorów, formy do

nalewania kół, urządzenie do zwijania felg, przyrząd do zginania szprych.

Trwa współpraca: Henryk Glinkowski z Krobi (zięć Walentego), Bolesław Andrzejewski z Gostynia (syn Jana) i Kazimierz Kołak z Podrzecza (bratanek Walentego). Mają niewielkie warsztaty w promieniu kilkunastu kilometrów. Dzieci jeszcze śpią, gdy ojcowie wychodzą do pracy.

W 1986 roku Andrzejewski z Glinkowskim zielonym „maluchem" jadą do Berlina Zachodniego. Żaden nie mówi po niemiecku. Mówią trochę po rosyjsku (ale dopiero na miejscu przekonają się, że w RFN to język zupełnie nieprzydatny). Tylne siedzenie ugina się pod ciężarem zapasowych części (w razie gdyby „maluch" szwankował). Za nimi jedzie znajomy, który nagrał niemieckiego klienta. Volkswagenem golfem ciągnie przyczepę z bryczką: jest to polowiec, wersja myśliwska, porządnie odkuta, starannie odmalowana, z ładnymi wykończeniami z drewna.

Jadą prosto do klienta, prawdopodobnie pierwszego odważnego Niemca, który ryzykuje zakup bryczki w Polsce. Niemiec nie dość, że proponuje cenę czterokrotnie wyższą od polskiej, to jeszcze zaprasza rzemieślników na śniadanie.

Ten egzemplarz sprzedaje się łatwo, ale inni Niemcy wciąż nie chcą polskich bryczek. Bo tanie. A więc: awaryjne, źle wykończone, po prostu: byle jakie. Tak myśli Europa jeszcze na początku lat 90. (i w pewnym stopniu ma rację, bo polscy producenci wciąż nie mają dostępu do wysokiej jakości surowców i materiałów).

Niemcy wciąż boją się przyjeżdżać do Polski (bo okradną, napadną, zabiją). Bryczki z Gostynia zaczynają więc sprowadzać polscy emigranci. To oni organizują pierwsze polskie stoisko na targach Equitana w Essen.

Henryk jedzie tam i z zazdrością przechodzi koło stoiska Kühnle Kutschenmanufaktur, światowego potentata w produkcji bryczek.

Nie ma odwagi wstąpić, zagadnąć, przedstawić się. W dodatku wciąż nie zna niemieckiego, a zagraniczni koniarze lekceważąco spoglądają na jego stoisko (choć zaciekawieni są niskimi cenami). Nie domyśla się nawet, że podczas kolejnych targów potentat zapraszać będzie Glinkowskiego na kawę na swoje stoisko, a potem – między innymi za sprawą jego firmy – podupadnie.

Spełniamy wszystkie życzenia

– Po 1989 r. wciąż produkowaliśmy pięć razy taniej niż Europa – wspomina Dariusz Andrzejewski, syn Bolesława. – Powoli zaczęli do nas przyjeżdżać zagraniczni dilerzy – naliczali sobie solidne marże, a i tak sprzedawali u siebie o wiele taniej od konkurencji.

Andrzejewski w 1990 roku przy pomocy ojca otwiera własny interes. Obaj w ciągu kilku lat produkcję zwiększają dziesięciokrotnie.

W Niemczech na początku lat 90. bryczka kosztuje 25-30 tys. marek. W Polsce tylko 4-5 tys. W dodatku Polacy spełniają każde życzenie klienta. Skandynawowie chcą mieć bryczki lekkie. Niemcy wolą klasyczne, nie zależy im na wadze, ale na dobrej cenie. Zwracają uwagę na dokładność wykończenia. Francuzi po prostu chcą, by dobrze się nimi powoziło.

Kiedy Glinkowski na początku lat 90. z zazdrością ogląda stoisko Kühnle Kutschenmanufaktur, nie wie jeszcze, co oznacza słowo „brand” (marka). Wytłumaczą mu to ponad dekadę później jego synowie. To wtedy Niemcom zacznie zależeć, by bryczki miały logo firmy Glinkowski. Bo z logo dobrze się sprzedają. I nawet będą twierdzić, że są dobre, bo polskie! Najlepiej z Gostynia.

Firma Kołaka produkuje bryczki od 1969 roku. – W połowie lat 90. odwiedził mnie jeden bauer – opowiada Kazimierz Kołak (tak w Wielkopolsce nazywa się Niemców). – Do dzisiaj to oni są moimi najważniejszymi odbiorcami.

Właśnie wrócił z warsztatu. – Jakiś czas temu najwięcej bryczek sprzedawałem w Hiszpanii, głównie w Sewilli – mówi Kołak. – Hiszpański diler zamawiał dwieście sztuk rocznie, część wysyłał do Meksyku i Ameryki Południowej. Z kolei pośrednicy włoscy sprzedawali je do krajów arabskich. Sporo kupowali Amerykanie. Popyt był taki, że ile bym nie wyprodukował, tyle sprzedałem. Tysiąc sztuk? Nie ma sprawy. Klienci zawsze się znaleźli.

– Zdarzało się, że na biurku miałem jednocześnie 200-300 zamówień – wspomina Glinkowski. – Nie wiadomo było, kogo najpierw obsłużyć. Dilerzy wpłacali zaliczki, żeby mieć pewność, że ich nie pominiemy.

Dlaczego w Gostyniu?

Polacy produkują bryczki sportowe, eleganckie powozy turystyczne i wytworne karety. Metalowe i drewniane, zazwyczaj z jesionu, bo jest twardy i elastyczny. Ceny: od 5 tysięcy złotych do dziesiątek tysięcy euro. Wciąż o 20-30 procent taniej niż u nielicznej konkurencji na Zachodzie.

Liczbę producentów bryczek w okolicach Gostynia trudno określić, bo niektórzy działają pod szyldem „ślusarstwo" lub „PPHU". A że nie ma oddzielnej branży (zazwyczaj warsztaty rejestrowane są jako „produkcja pozostałego sprzętu transportowego gdzie indziej niesklasyfikowanego"), trudno zwrócić się do GUS po oficjalne statystyki. Jeszcze inni produkują na lewo. W Urzędzie Miasta Gostynia szacują, że w okolicy zarejestrowanych producentów bryczek jest 20. Ale firm kooperujących i działających nielegalnie o wiele więcej. Pracę przy bryczkach w okolicach Gostynia może mieć nawet 5 tysięcy ludzi.

Dlaczego akurat w Gostyniu?

– Przez naśladownictwo – uważa Hubert Glinkowski, syn Henryka. – To jak w Swarzędzu: tam wszyscy teraz produkują meble, albo w Pleszewie, gdzie słyną z kotłów. Ze starych warsztatów odchodzili

pracownicy i zakładali swoje. Z kilku firm bryczkarskich zrobiło się kilkadziesiąt.

Ludzie w regionie zaczęli kształcić się na tokarzy, spawaczy, frezerów.

Francuz jedzie za pługiem

Grzegorz Wojtkowiak i Piotr Gruchot – dwaj ślusarze. Firmę G-W Bogusławki założyli w 1992 roku. Pierwszą bryczkę zaprojektowali, szkicując ją na pudełku papierosów. Robili ją dla czołowego belgijskiego zawodnika w powożeniu. Zażyczył sobie powozu na wzór tych z Kühnle Kutschenmanufaktur. Nie chcieli robić plagiatu. Długo przekonywali go do własnej konstrukcji. A kiedy przekonali, Belg na ich bryczce zdobył mistrzostwo swego kraju. Sami są projektantami, sami testują, sami wprowadzają nowe rozwiązania. Z ich zakładu wyjeżdża tylko 40 bryczek rocznie, ale za to produkują wszystko, co związane z końmi. Na przykład: rozrzutnik do obornika napędzany siłą konia oraz inne maszyny i urządzenia używane na polu i w lesie.

– Na świecie wraca moda na konie i na naturę – tłumaczy Gruchot. – Szczególnie we Francji i w Niemczech w gospodarstwach ekologicznych znów uprawia się pola przy pomocy koni. W porównaniu z dawnymi czasami zmieniło się jedno: teraz rolnik nie idzie za pługiem czy inną maszyną, ale jedzie na specjalnym przodku roboczym, za którym zaczepiane są różne maszyny rolnicze. Jego firma produkuje też boksy dla koni, stajnie, przeszkody, wózki do przewożenia uprzęży oraz kompleksowe wyposażenie stajni.

Skóra nawet pomarańczowa

Henryk Glinkowski zatrudnia 120 pracowników. Rocznie jego fabrykę opuszcza około tysiąca bryczek.

Właśnie trwa produkcja powozu Trainingswagen V – numer 21 983 (zanim zaczęli je liczyć, Glinkowski wyprodukował około 4 tysięcy

powozów). Każdą bryczkę przed sprzedażą fotografują z czterech stron, zdjęć w firmowej bazie jest ponad 60 tysięcy.

Bryczki są tak zaprojektowane, by po rozmontowaniu w kontenerze cztery mieściły się w miejscu jednej. To sprawa kluczowa, bo zamorski transport najbardziej podbija cenę.

Glinkowski ma swoich przedstawicieli w 23 krajach. Stamtąd bryczki rozjeżdżają się po całym świecie. Do USA, Australii, Japonii, Brazylii, Chile czy Omanu.

– Zdarza się, że grube ryby przyjeżdżają osobiście – ciągnie Hubert Glinkowski, syn. – Każdy ma swoje widzimisię. Na przykład pomarańczowa skóra. Niemal każde życzenie spełniamy.

Na powozach Glinkowskiego ścigają się mistrzowie świata. I spora część wszystkich zawodników. Glinkowski miał nawet własną drużynę w powożeniu. Zlikwidował ją w 2008 roku z powodu światowego kryzysu.

Chińszczyzna pęka

Do 2007 roku sprzedaż wciąż rosła. Potem rzemieślnicy z Gostynia na własnej skórze przekonali się, że świat zaczął oszczędzać. W niektórych zakładach produkcja spadła o połowę. Inne, jak Glinkowski, od kilku lat utrzymują ją na tym samym poziomie.

Dziś Niemcy przyjeżdżają do Gostynia z listą producentów i odwiedzają wszystkich. Coraz częściej kupują u tego, który sprzeda im najtaniej.

Glinkowski wprowadził więc nową serię bryczek: wykonanych z nieco tańszych materiałów, ale równie solidnych. Produkuje je pod inną marką. Są o 20-30 procent tańsze. W kryzysie sprzedają się świetnie.

Przestał się też opłacać handel z Amerykanami, bo drastycznie spadł kurs dolara.

Ale ceny trzeba było obciąć jeszcze przed kryzysem. Powód: rosnąca konkurencja.

– Jeden czy drugi diler z Niemiec czy Francji pokazał nasze bryczki Chińczykom, którzy teraz próbują nas kopiować. W internecie znalazłem ogłoszenie, w którym Chińczyk proponował tysiąc wózków do uprzęży, chwaląc się zdjęciem naszego produktu – opowiada Piotr Gruchot.

– Wydawało się, że jak w każdej branży zaleją rynek – mówi Hubert Glinkowski. – Ale nie. Bo to produkcja zindywidualizowana. Oni chcieliby sprzedawać setki identycznych bryczek. Ale na to klientów na świecie nie ma. Do tego ich powozy pękają, farba odchodzi. Chińczycy na razie nie mają z nami szans.

Sen z oczu producentów bardziej spędza czarny rynek. Nie chiński czy światowy. Ale miejscowy, gostyński.

– Konstruują w garażach, pakują na lawetę i jadą do Niemiec szukać klienta – opowiada Hubert Glinkowski. – Albo firmę mają zarejestrowaną, ale sprzedają bez faktury.

Pracowite Poznaniaki

Ale interes ciągle się kręci. – Bo jesteśmy poznaniaki – mówi Piotr Gruchot. – Najbardziej pracowici i najbardziej wytrwali wśród Polaków.

Bryczkarzom woda sodowa do głowy nie uderzyła. Synowie potentata Glinkowskiego siedzą przy trzech niewielkich biurkach w gabinecie wielkości średniego pokoju. Kazimierz Kołak też nie wygląda na biznesmena, biuro ma małe, szare, po wielkopolsku oszczędne, choć dilerzy sprzedają jego bryczki w całej Europie. Ostatnio dostał zamówienie z Sycylii.

Glinkowski był właśnie w Danii, bo woli odwiedzić każdego nowego dilera, zanim zacznie z nim współpracę. Mówi, że pracowitość wyssał z mlekiem matki. Ale reszty nauczył się od Niemców: że w zakładzie musi być porządek, że jak się klientowi uściśnie rękę, to trzeba słowa dotrzymać, że liczy się zewnętrzny wizerunek.

W jego firmie pracuje trzech synów. Hubert, który skończył administrację na uniwersytecie w Poznaniu, zajmuje się sprzedażą. Krzysztof, politolog, zajmuje się finansami. Damian, inżynier, nadzoruje produkcję i kontrolę jakości.

Ich dziadek Walenty Kołak zmarł w 1988 roku. Do końca doglądał zakładu prowadzonego przez zięcia.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

JAK SIĘ ROBI JOLKĘ

Wolę żeń-szeń niż tatarak

Beyoncé nie mogę przeciąć deserem. Ale Almodóvara mógłbym skrzyżować z wróżką

Z LESZKIEM RYDZEM, AUTOREM JOLEK W „DUŻYM FORMACIE”, ROZMAWIA DOROTA BORUSZKOWSKA

FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI

Leszek Rydz, 35 lat, absolwent Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, pracuje jako sekretarz w Urzędzie Gminy Głogów

Pamięta pan swoją pierwszą krzyżówkę?

– Niestety, nie. W domu zawsze były krzyżówki, rebusy, łamigłówki. Rodzice rozgryzali te trudniejsze, ja zaczynałem od zadań w kąciku „Abrakadabra" w „Świecie Młodych", później przyszedł czas na miesięcznik „Rebus". Na początku nie zawsze wiedziałem, jak niektóre zadania rozgryźć. Gdy się nie udawało, czekałem na numer z rozwiązaniami. Jako student wysłałem kilka samodzielnie ułożonych zadań do pism szaradziarskich. Jedno mi opublikowano i tak się zaczęła przygoda z układaniem. Od tego czasu minęło 16 lat.

Zanim zaczął pan układać jolki, najpierw je pan pewnie rozwiązywał.

– Tak, jeszcze te przygotowywane przez Jacka Szczapa dla „Magazynu Gazety Wyborczej". Zwłaszcza na niektórych

wykładach… Lubiłem też krótkie zadania w „Gazecie Telewizyjnej” na każdy dzień tygodnia. Szkoda, że już ich nie ma.

Ułożył pan 50 jolek dla „Dużego Formatu”. To przyjemność czy ciężka praca?

– Układanie zadań szaradziarskich to wielka frajda. Lubię też aspekt towarzyski tego hobby – turnieje, biesiady, konkursy…

Proszę się pochwalić sukcesami na turniejach! Które trofea pan najbardziej ceni?

– Dwukrotnie udało mi się zdobyć tytuł szaradziarskiego wicemistrza Polski. Mam na koncie sporo tytułów mistrzowskich zdobytych na zawodach w różnych miastach, m.in. w Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie, Gdańsku. Chętnie uczestniczę także w rozgrywanym raz w roku Turnieju Kompozycji Krzyżówki – może kiedyś uda mi się go wygrać...

Przy układaniu krzyżówek korzysta pan z jakiegoś komputerowego szablonu?

– Komputer przydaje się do wyszukiwania i sprawdzania niektórych haseł, pisowni czy znaczenia. Do pracy nad krzyżówką używam przede wszystkim kartki, ołówka i gumki.

Rysuje pan najpierw diagram czy pisze hasła?

– Najpierw spisuję słowa. Dwa, trzy, od których zaczyna się układanie całego diagramu.

Ja w jolce najpierw szukam słów najdłuższych. Pan też takie wybiera przy układaniu?

– Nie, za to zawsze uważnie liczę znaki, bo ogranicza mnie diagram – 20 x 20 kratek. Szukam takich słów, które można najciekawiej objaśnić, ale też takich, które zawierają na przykład znaki charakterystyczne dla polszczyzny. Czyli wolę „żeń-szeń” niż „tatarak”.

To jakie objaśnienie by pan wymyślił dla „żeń-szenia”?

– Może po prostu króciutko: „korzeń”. Generalnie wolę słowa żywe, używane na co dzień, np. nazwy własne, które przedkładam nad

encyklopedyczne rzadkości. Takich staram się unikać. Tak samo jak nagromadzenia wyrazów z jednej dziedziny wiedzy. To ma sens tylko w krzyżówkach tematycznych.

Zagląda pan do internetowych leksykonów dla krzyżówkowiczów?

– Nigdy!

Ale pana objaśnienia tam są. Chociaż nie wszystkie, tylko te łatwiejsze. Nie da się np. jeszcze znaleźć hasła do objaśnienia z 7 listopada: „Jeśli zbankrutuje, to pójdzie z torebkami". Kto to? Bo „Kojarzy się ze szkockim więzieniem" to chyba „krata"?

– Jak najbardziej „krata". A ten od torebek to „kaletnik".

Skoro nie szuka pan inspiracji w Google'u, to pewnie jest pan obstawiony książkami.

– Bez tego ani rusz! Na okrągło wertuję Uniwersalny Słownik Języka Polskiego PWN, słownik ortograficzny, leksykony Kopalińskiego. Ale nie odcinam się zupełnie od internetu. A jeśli zaglądam do Wikipedii, to staram się sprawdzać zawarte tam informacje także w innych źródłach.

Wróćmy do jolki. Ma pan już słowa i pomysły na ich objaśnienia, pora je wstawić do diagramu.

– Zanim to zrobię, muszę sprawdzić, czy szyków w krzyżowaniu nie pokrzyżują mi niepolskie litery. Np. ostatniej litery słowa „Beyoncé" nie mogę przeciąć słowem „deser", bo w nim nie ma kreseczki nad „e". Za to „o z kreską" ze słowa „Almodóvar" mógłbym już wykorzystać, krzyżując je z „o kreskowanym" w słowie „wróżka".

Ale w słowie „Almodóvar" nie ma „o kreskowanego", tylko „o" z akcentem, to jak to się panu krzyżuje z „wróżką"?

– Błędu nie ma, takie są zasady kompozycyjne. Nieścisłości wykrywa korekta i redakcyjny adiustator. Sam korzystam z jego sugestii, gdy zdarza mi się zapętlić w objaśnieniach.

A czytelnicy wytykają błędy, proponują objaśnienia?

– Od pierwszej jolki! Bardzo sobie takie uwagi cenię. Jedna z czytelniczek, ciesząc się z powrotu jolki do „DF", uznała jednak, że za mało jest objaśnień na inteligencję, typu „ptaszek w listkach". I zarzuciła mi, że większość haseł jest przepisana żywcem z Google'a.

A tak było?

– Staram się nie przekroczyć pewnej granicy trudności. Jolka jest objętościowo duża. Czytelnicy muszą odgadnąć około 110 słów wraz z miejscem ich wpisywania w diagramie i wydaje mi się, że gdyby jeszcze duży procent objaśnień potraktować z przymrużeniem oka, jolka dla wielu mogłaby się okazać zbyt czaso-i pracochłonna. Myślę też, że dużo więcej satysfakcji z rozwiązywania daje nieużywanie wyszukiwarek internetowych. Ale to indywidualna decyzja rozwiązującego.

Były też uwagi bardzo merytoryczne. Np. że Prozerpina to nie pani Neptunowa, ale Plutonowa.

– Mitologicznie rzecz biorąc, Prozerpina nie była żoną Neptuna. Jednak proszę zauważyć, że w objaśnieniu nie ma słowa „żona". Chodziło mi o to, by objaśnienie nawiązywało nie do mitologii, ale do pewnego popularnego rytuału. Prozerpina nagminnie jest towarzyszką – niech będzie, że żoną – Neptuna w czasie tzw. chrztów nadmorskich czy zaślubin z morzem, czyli obyczaju przyjmowania przybywających nad morze kolonistów czy letników do grona wilków morskich. Te chrzty najczęściej odbywają się pod okiem Neptuna i Prozerpiny.

Uważa pan, że jolki w „DF" są łatwe, trudne czy bardzo trudne?

– Raczej trudne. Staram się czytelników nie rozpieszczać. Zresztą sam mam przy jolkach niezłą zagwozdkę.

Nie umie pan wymyślić jakiegoś objaśnienia?

– Z objaśnieniami nie mam problemów, natomiast pojawia się pewien ciekawy problem technologiczny – jako że rozwiązania są przesyłane SMS-ami, nie mogą zawierać tzw. polskich znaków. W

przypadku jolki zakumulowanej naprawdę trudno znaleźć ciekawy cytat czy sentencję, w której takich liter brakuje. A swoją drogą ciekawe, czy czytelnicy rozpoznają źródła poszczególnych cytatów.

Ile czasu rozwiązywałby pan jolkę takiej trudności jak ta z „DF”?

– Pojęcia nie mam. Pewnie co najmniej godzinę.

A jak długo układa pan taką jolkę?

– Kilka godzin. Najdłużej trwa wymyślanie objaśnień i sprawdzanie ich. Sporo – układanie słów w diagramie. I znów sprawdzenie całości. A staram się wciąż podnosić poprzeczkę. I sobie, i czytelnikom.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

PARTYZANCI MIEJSCY

Prawo bogatych do robienia smogu

HANNA GILL-PIĄTEK

Dzień dobry, miłego dnia życzę – pan Jerzy pozdrawia mnie za każdym razem, nieważne, ile razy dziennie się widzimy. Jak zawsze stoi w bramie i na mój widok wyciąga zgrabiałe czerwone dłonie z kieszeni. – Może pani poczęstować? – Mogę. Zimno dziś, nie idzie pan do domu? – Tam nie mam cieplej, a tu zawsze jakiś papieros się

trafi, człowiek od żaru ogrzeje ręce. Ale na lato rzucam, bo to świństwo jest.

Znów zima, przyjdą mrozy. Niektórzy mogą schronić się w ciepłych domach. Nie wszyscy. Rosnące ceny energii sprawiają, że ogrzewanie staje się luksusem, na który w Polsce nie każdego stać. Żeby ściąć koszty, trzeba zainwestować w ocieplenie mieszkania czy domu, kupić oszczędny kocioł, wymienić instalację. Albo wrzucać do pieca co popadnie. Węgiel, choć jest nadal najtańszym paliwem, też swoje kosztuje. A i podłączeni do miejskich sieci także nie mają powodów do uciechy. Bałwochwalcy wolnego rynku, którzy rozsiedli się w samorządach, w wielu miastach doprowadzili do prywatyzacji ciepła. W efekcie rosną rachunki, co uderza w najsłabszych ekonomicznie. Łódź czy Warszawa są tego dobrym przykładem.

„Kraków odetchnie" – tę dobrą wiadomość przyniosły niedawno media. Radni sejmiku wojewódzkiego pod koniec listopada przyjęli zakaz palenia węglem w krakowskich piecach. To doskonała wiadomość, bo smog będzie znacznie mniejszy. Ale mimo obietnic, że miasto odda najuboższym nawet 100 proc. kosztów wymiany instalacji, to biedni zapłacą najwięcej. Paliwa płynne czy gazowe nie są tanie. Nie wiem, ile mieszkań da się podłączyć do sieci miejskiej, szczęśliwie niesprywatyzowanej. W zabytkowych budynkach, których tu bardzo dużo, przeprucie rurami grubych ścian będzie pewnie niemożliwe. Uroczą puentą obrad było wyłączenie z zakazu kominków opalanych drewnem. Klasa średnia zabezpieczyła swoje prawa. W finale mamy obrazek jak z Dickensa: dostatni mieszczuch ubierający choinkę w towarzystwie rodziny i radujący się trzaskającym ogniem, a w bramie krakowski odpowiednik pana Jerzego. Miasto może sfinansować mu ekologiczny gazowy piec, ale pan Jerzy za gaz nie ma z czego zapłacić. Radni nie zajęli się też samochodami, choć według ekspertów 30 proc. smogu nad Krakowem pochodzi z rur wydechowych.

Ubóstwo energetyczne to problem kompletnie w Polsce nierozpoznany. Choć nikt nie prowadzi jeszcze szczegółowych badań, z danych GUS wynika, że co trzeci Polak wydaje na ogrzewanie ponad 10 proc. dochodu. Taką definicję ubóstwa energetycznego przyjęto dekadę temu w Wielkiej Brytanii. Tam dostrzeżono problem i ustalono, że w pokoju dziennym powinno być co najmniej 21 st. C, w innych pomieszczeniach – 18. Jeśli kogoś na to nie stać, wchodzi w system dopłat, który funkcjonował, zanim rząd Camerona nie zaczął powoli go rozmontowywać. Podobny problem ma w Polsce wiele rodzin z dziećmi czy osób starszych. Kraków zadbał o ekologię, szkoda, że kosztem najbiedniejszych. Smog, który wytwarzają bogatsi, paląc w kominkach i jeżdżąc samochodami, jest, zdaje się, nienaruszalny.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

INNY TOCHMAN

Z Ziemi Świętej

WOJCIECH TOCHMAN

Jordania w grudniu nie jest tak ciepła, jak myślałem. Leje tu jak w naszym listopadzie. Na pustyni, przy granicy z Syrią, lód przeszywa człowieka do kości. I nie jest tu tak bogato, jak się spodziewałem.

Kto by pomyślał, że przeciętny poddany tutejszego króla ma dwa razy mniej niż przeciętny Polak. Wystarczy się rozejrzeć – sporo tu biednych. Liche sklepiki, liche drogi, stare samochody, ciemne miasta. Nie ma ropy ani ciężkiego przemysłu, są nikłe zasoby wody, wąski dostęp do morza, 4 procent powierzchni kraju nadaje się do uprawy czegokolwiek. Oliwki, ogórki, bakłażany – sądząc po bazarze w Ammanie – to podstawowe płody rolne. No i pomidory. Ich słodycz – rozkosz w Europie zapomniana – to tylko jeden z powodów, dla których warto ten spokojny kraj odwiedzić. Kolejne? Wspaniałe krajobrazy, rzymskie zabytki, miejsca znane z Biblii, uprzejmość i otwartość gospodarzy. Jakby wszystkim zależało, by goście dobrze i bezpiecznie się tutaj czuli.

W 1922 roku Jordania liczyła 200 tys. ludzi. W 1948 roku – 400 tys. Teraz – 6,5 miliona. Ponad połowa obywateli ma niejordańskie korzenie. Bo Jordania od dziesięcioleci przyjmuje uchodźców, głównie z Palestyny. Ale dziś spotkamy tu przymusowych wędrowców z Sudanu, Somalii, Iraku i, rzecz jasna, z Syrii.

Każdy z nas to wie, ale powtórzmy: w ciągu niecałych trzech lat Syrię opuściło ponad 2,5 miliona ludzi. Uciekają przed bombardowaniami, snajperami, aresztowaniami i torturami. Uciekają, by chronić dzieci, córki. Prawie 600 tysięcy wybrało Jordanię. Codziennie robi to kilkuset kolejnych. Idą przez pustynię: ciężarne żony, mężowie, duże dzieci i małe. Potykają się, płaczą. Walizki, koce, materace – każdy objuczony jak wielbłąd. Czasem trzeba dźwigać nosze i prosić Allaha, by ranny na nich nie umarł. Głodni, wystraszeni, wycieńczeni, ranni, chorzy, w żałobie. Jordania ma dla nich miejsce.

Na dziesięciu Jordańczyków – jeden Syryjczyk. Tylko co piąty trafia do któregoś z obozów zbudowanych przez wysokiego komisarza narodów zjednoczonych ds. uchodźców. Najczęściej to Zaatari: zamknięty teren na pustyni, trzy na cztery kilometry, plus minus sto tysięcy ludzi. Pilnuje ich wojsko i policja. Można wyjść, na ściśle wyznaczony czas, po uzyskaniu pozwolenia. Choć za utrzymanie

obozu płaci ONZ, to dzięki kilku państwom arabskim (Katar, Arabia Saudyjska, Oman i Kuwejt) mówi się o najnowocześniejszym w historii świata obozie dla uchodźców. Bo są tu metalowe kontenery. Wcześniej ich podobno nigdzie nie było. Były namioty. A teraz białych mieszkalnych pudełek stoją tutaj tysiące. Wojenna blaszana metropolia. I szmaciana, bo wciąż wielu nie dostało kontenera, muszą się zadowolić namiotem. Kiedy leje deszcz, błoto się wlewa do środka i moczy ich cały tułaczy majątek.

Idzie śnieg i mróz, brakuje piecyków.

Pierwszy asfalt, druty na słupach, prąd. Każdy może go sobie podciągnąć na dziko. Nie ma wodociągu. Woda przyjeżdża w cysternach, ścieki ze zbiorowych umywalni wyjeżdżają w szambiarkach. Ale ludzie wolą prywatność, więc koło kontenerów stawiają własne prymitywne toalety. Ścieki wojennego miasta idą w ziemię.

Zakaz pracy, brak gotówki, zespół stresu pourazowego, bezsenność, depresje, psychozy, moczenie nocne wśród dzieci i wśród dorosłych, napięcie, przemoc domowa, przemoc sąsiedzka, złodziejstwo, obozowa mafia i walki klanowe – nie wszyscy uchodźcy mają na to siłę. A i kontener to wątpliwa wygoda – osiem metrów kwadratowych na rodzinę. Dlatego 400 tysięcy Syryjczyków stara się mieszkać w Jordanii bardziej po ludzku. Od Jordańczyków wynajmują mieszkania i pokoje. Nie wszystkim wystarcza na komorne. Bo i poza obozem uchodźcom nie wolno pracować. Mieszkają na kredyt albo, i tak się zdarza, za darmo.

Tysiące Syryjczyków koczują nieludzko: śpią od miesięcy w własnoręcznie uszytych namiotach, przy drogach doliny Jordanu, gdzie najwięcej szklarni, pól i nielegalnej pracy. Z dorosłymi pracują dzieci, bo nie chodzą do szkoły. Wynagrodzenie o połowę niższe niż dla pracowników miejscowych.

Jordańczycy boją się, że przybysze zabiorą im pracę i wodę. Przybysze narzekają, że nie wszyscy gospodarze rozumieją ich ból, że z ich cierpienia czerpią korzyści. Tak bywa. Ale jest też współczucie, życzliwość i zrozumienie. Choć ONZ pokrywa koszty minimalnego wyżywienia uchodźców i ich podstawowego leczenia, to Jordania – i jako państwo, i jako społeczeństwo – nie po raz pierwszy zdaje trudny egzamin z ludzkiej solidarności i odpowiedzialności za innych. I sporo za to płaci. Może warto od Arabów z Jordanii uczyć się miłości bliźniego, miłości do sąsiada. Na wszelki wypadek. Diabli wiedzą, co nasi słowiańscy bracia sami sobie jeszcze zgotują. Lepiej być przygotowanym. Jeden uchodźca na dziesięciu Polaków? 4 miliony na przykład zza Buga? Przy każdym polskim wigilijnym stole zbłąkany wędrowiec? Białorusin? Ukrainiec? Gość w dom, Bóg w dom? Choć naszym sąsiadom życzę jak najlepiej, tu, nad Jordanem, ta myśl mnie nie opuszcza.

Wesołych Świąt!

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI